

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 11/614 1998



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

St. FICOWSKI: **U PROGU XXI STULECIA**

R. KACZMAREK:

WYCHOWANIE DO KAPITALIZMU

A. MENCWEL:

WOBEC ROSJI – SPLOT CZY GWAŁT?

A. STROŃSKA:

PIERWSZY ZAJAZD W PRZEMYŚLU

SPIS RZECZY

Stanisław Ficowski:	<i>U progu XXI stulecia: nędza i bogactwo</i>	3
Robert Kaczmarek:	<i>Wychowanie do kapitalizmu</i>	12
Andrzej Mencwel:	<i>Wobec Rosji – splot czy gwałt?</i>	23
Andrzej Stach:	<i>Bałtyckie dylematy</i>	36
WIERSZE		
Adam Tadeusz Bąkowski:	<i>Naczynie, natchnienie</i>	48
Tadeusz Chabrowski:	<i>Oset</i>	49
Mirosław Dzień:	<i>Anatomia dorastania: wierność. – Powiedziałeś</i>	49
Wojciech Kawiński:	<i>Po długiej rozmowie</i>	51
Leszek Szaruga:	<i>Ostatnie tchnienie</i>	52
Grzegorz Wróblewski:	<i>Propozycja na czerwiec. – Ptaki nadlatujące dzisiaj od strony morza. – Wieloletnia znajomość</i>	53
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Tomasz Mianowicz:	<i>Szósty kanclerz</i>	54
SPRAWY I TROSKI		
Anna Strońska:	<i>Pierwszy zajazd w Przemyślu</i>	67
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Głosy i pieniądze</i>	78
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	85
Ewa Berberyusz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	98
KRONIKA KULTURALNA		
Krzysztof Czyżewski:	<i>Za trudny dla nas ten Mickiewicz?</i>	109
Jan Kazimierz Kapera:	<i>Jan Lebenstein – kronika amerykańska</i>	114
Sławomir Żurek:	<i>Głos odchodzącego pokolenia</i>	126
–	<i>Krakowskie Forum Rozwoju</i>	128
Eugeniusz Kupper:	<i>Gdański zegar astronomiczny</i>	130
CI, CO ODESZLI		
Stefania Kossowska:	<i>Aniela</i>	131
KSIĄŻKI		
Henryk Siewierski:	<i>Dialog ponad przestrzeń</i>	133
Justyna Ziarkowska:	<i>Tłumacz prawdziwy</i>	135
Marian Stępień:	<i>Zakończenie sagi</i>	139
Andrzej Maria Borkowski:	<i>„Kožuchy w chmurach” czyli smakowanie sztuki</i>	144
Zbigniew T. Wierzbicki:	<i>„Wypominki” do wypomnienia</i>	146
POLEMIKI		
Andrzej Stach:	<i>O Polakach w Niemczech</i>	148
–	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	151
Jerzy Grot-Kwaśniewski:	<i>Kronika australijska</i>	154
A. Albrecht, B. (Bob) Borowicz L., B. Puchalska-Hibner, Z.J. Starostecki:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
Władysław Żeleński:	<i>Sprostowanie</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad/November 1998

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr Jan Bądkowski, Frankfurt/M, Niemcy – Pamięci Matki, w 8-mą rocznicę Jej śmierci – DM 300,00	F. 924,94
Teodor i Fanni Blachutowie, Ottawa – zamiast kwiatów na trumnę prof. Adama Podgóreckiego, zmarłego w Ottawie 18.07.1998 – dol. can. 30,00	F. 105,00
Dla uczczenia pamięci inż. Fryderyka Topolskiego i dr. Andrzeja Semkowa – Wojciech, Caroline i Noemi Topperman, Downsview, ON, Canada –	F. 250,00
Dla uczczenia pamięci niedawno zmarłej Matki, Zofii Drabkowskiej (<i>secundo voto</i> Blum) – córka Maria Drabkowska-Kaczmarek, Bale-Comeau, Que, Canada – dol. can. 100,00	F. 350,00
Dla uczczenia pamięci Zbigniewa Rogozińskiego (Jana Rogo), artysty-malarza, byłego więźnia obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, zmarłego 7.08.1998 w miejscowości Värmdö (Szwecja) – grono współwięźniów i przyjaciół – SEK 1950,00	F. 1.380,00
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego, w Dzień Zaduszny – Żona	F. 150,00
François Prause, Chiangmai, Tajlandia – po raz 44-ty	F. 300,00
Ewa i Krzysztof Rutkowsy, Paryż – zamiast kwiatów na grób Adeli Marii Żeleńskiej (Pani Mysi), w pierwszą rocznicę Jej śmierci	F. 250,00
Zamiast życzeń Świątecznych i Noworocznych – Władysław Żeleński, Paryż	F. 500,00

DZIĘKUJEMY

INSTRUMENTALNY
INSTRUMENTALNY

U progu XXI stulecia: nędza i bogactwo

W czasie pierwszych dziewiętnastu wieków naszej ery liczba ludności świata wzrosła o około 1,3 miliarda, a ciągu jednego wieku, który dobiega końca, o 4,4 miliarda. Eksplozja demograficzna XX stulecia nie przebiegała z jednakową intensywnością na całym świecie. Przeszło 4/5 olbrzymiego przyrostu powiększyło zaludnienie biednego, zafanego gospodarczo Południa, zwanego do niedawna Trzecim Światem, a teraz „krajami rozwijającymi się” zgodnie z niezbyt fortuną terminologią ONZ. Gwałtowny wzrost liczby mieszkańców tego obszaru przyczynił się do dramatycznego pogłębienia i tak już wielkich różnic w warunkach i standardach życia biednego Południa i bogatej Północy. Spośród 6 miliardów ludności świata u kresu XX wieku 80% to mieszkańcy krajów Południa, których udział w globalnym produkcie światowym wynosi zaledwie 20%. Dochód narodowy na głowę w 63 krajach, zamieszkałych przez 2/3 ludności Południa, wynosi średnio 490 dolarów, to znaczy zaledwie 1,3 dolara dziennie, a ponad 800 milionów ludzi cierpi głód. Przeszło 1,2 miliarda nie ma dostępu do czystej, zdrowej wody. Około 840 milionów pełnoletnich obywateli to analfabeci. Zamożna Północ ma swoje kłopoty. Poczynając od połowy lat 70-tych w wysoko rozwiniętych krajach tego obszaru nasila się polaryzacja dochodowa i socjalna, narasta marginalizacja społeczna, szybko zwiększa się liczba ludzi bezrobotnych, niepotrzebnych, wyłączonych ze społeczeństwa, owych *exclus*. A w Europie Środkowej i Wschodniej i we Wspólnocie Niepodległych Państw w latach 90-tych gwałtownie

zwiększyło się rozwarstwienie i dramatycznie pogorszyła się sytuacja materialna wielu mieszkańców. Oczywiście pod względem rozmiarów, nasilenia i dotkliwości nędza Południa jest tragedią tak wielką, że nieporównywalną z pogorszeniem się sytuacji części ludności Północy, gdzie zresztą i kryteria ubóstwa są inne.

Polaryzacja z jednej strony dobrobytu, a nawet bogactwa, a z drugiej strony biedy, a nawet nędzy, zarówno pomiędzy Północą i Południem, jak i wewnątrz poszczególnych krajów tych dwóch obszarów, powiększa się dramatycznie od kilkudziesięciu lat. W 1960 roku dochód 20% ludności świata zaliczanej do górnej, zamożnej grupy, był 30 razy większy aniżeli dochód 20% ludzi należących do grupy najbiedniejszych, a w 1994 roku ten wskaźnik polaryzacji wzrósł do 78, tzn. luka dochodowa powiększyła się przeszło 2,5-krotnie w tym stosunkowo niedługim czasie i rośnie dalej.

Czy XXI stulecie przyniesie dalsze zaostrenie tych tendencji, czy też jest szansa na ich zmianę, na pokonanie głodu, nędzy i zacołania?

Na obszarze Południa dotychczasowe, bardzo szybkie tempo przyrostu naturalnego ulega ostatnio wyraźnemu zwolnieniu. Ale nawet przyjmując, że ta tendencja okaże się trwała, obecny, gwałtownie powstały potencjał ludzki Południa będzie źródłem olbrzymiego, dalszego wzrostu masy mieszkańców tego obszaru, licząc w liczbach bezwzględnych. Z projekcji demograficznych Banku Światowego wynika, że ludność Południa wzrośnie w okresie 2000-2030 o 2,3 miliarda, a w ciągu następnych 70 lat o dalsze 2,5 miliarda, osiągnąca na koniec XXI stulecia stan około 9,6 miliarda, tzn. dwukrotnie wyższy aniżeli obecny. Poprawę sytuacji gospodarczo-społecznej tak wielkich mas ludzkich biednego Południa mógłby przynieść tylko wzrost gospodarczy, którego rozmiary i charakter zapewniałyby zatrudnienie i godziwy zarobek tym wszystkim, którzy już szukają pracy i tym, którzy niebawem powiększą ich zastępy.

W ostatniej dekadzie XX wieku kapitalizm pokonał komunizm i realny socjalizm. Okazał się gospodarczo bardziej sprawny. Przeszła do historii próba urzeczywistnienia odgórnego, centralnie planowanego i kierowanego projektu polityczno-gospodarczo-społecznego, obejmującego duży obszar,

a w przyszłości mającego objąć cały świat. Dzięki postępowi technicznemu, zwłaszcza w elektronice, informatyce, łączności i komunikacji, skojarzonemu z liberalizacją międzynarodowych przepływów towarów, kapitałów i inwestycji, rozszerzyła się i umocniła rynkowa gospodarka globalna. Stworzyliśmy światowy, globalny, najbardziej sprawny, najbardziej wydajny w dotychczasowej historii człowieka system gospodarczy. Czy będzie on zdolny zapewnić szybki wzrost gospodarczy na całej planecie, dać pracę i zarobek nieustannie rosnącym masom ludzkim i umożliwić zaspokojenie ich potrzeb?

Niezbędny, szybki wzrost gospodarczy, przy obecnym zacołaniu i przeludnieniu Południa, wymaga olbrzymich kapitałów, inwestycji i wiedzy. Tego wszystkiego jest tam brak, a dotychczasowy dopływ inwestycji z Północy jest znikomy w stosunku do potrzeb i koncentruje się w kilkunastu krajach Azji i Ameryki Południowej. Konieczny jest transfer z Północy podstawowych czynników rozwoju gospodarczego w olbrzymich ilościach i przez dłuższy okres. Czy kraje Północy zgodzą się na tak wielki transfer, który uniemożliwiłby utrzymanie ich dotychczasowego tempa wzrostu gospodarczego, konsumpcji i standardów życia? A jeżeli zgodziłyby się, to czy szybki wzrost gospodarczy Południa, zamieszkałego przez czterokrotnie, w niedalekiej przyszłości pięciokrotnie, a pod koniec przyszłego stulecia siedmiokrotnie większą liczbę ludności aniżeli na Północy, nie spowoduje przekroczenia granicy wzrostu przede wszystkim na skutek wyczerpania się nieodnawialnych zasobów naturalnych Ziemi i zanieczyszczenia, zniszczenia środowiska naturalnego?

Problem granic wzrostu gospodarczego jest dyskutowany od dawna. Wybitni eksperci, opierając się na bogatym materiale i operując najnowocześniejszymi technikami analitycznymi, dochodzą do wniosku, że: „Jeżeli obecne trendy rozwojowe w zakresie zaludnienia, uprzemysłowienia, zanieczyszczenia środowiska, produkcji żywności i wyczerpywania się zasobów naturalnych nie ulegną zmianie, to w którymś momencie przed upływem stu lat osiągniemy na naszej planecie granice wzrostu”. Poglądu tego nie podziela większość polityków, biznesmenów i wielu ludzi techniki, uważając go za zbyt daleko idący, a nawet katastroficzny i nieuzasadniony w świetle dotychczasowej historii gospodarczej świata.

Zarzucają oni autorom tego poglądu, że nie uwzględniają w dostatecznym stopniu możliwości jakie stwarza postęp naukowo-techniczny, który nieustannie rozwiązuje coraz to nowe, rodzące się problemy i będzie w stanie wyeliminować również zagrożenia jakimi straszy się nas, podnosząc temat granic wzrostu. Przyjmując nawet, choć z wielkim oporem, ten optymistyczny pogląd, nie sposób jednak uciec od pytania: czy obecnie jest realny transfer kapitału, inwestycji i wiedzy z Północy na Południe w rozmiarach niezbędnych dla zapewnienia szybkiego wzrostu gospodarczego, zatrudnienia olbrzymiej i rosnącej masy mieszkańców Południa i polepszenia ich bytu? Czy istnieją w obecnie funkcjonującym systemie polityczno-gospodarczo-społecznym Północy siły, które chciałyby i były zdolne skłonić ten system do ograniczenia wzrostu gospodarczego i ekspansji konsumpcyjnej Północy, do przesunięcia olbrzymich środków finansowych i materialnych oraz zasobów wiedzy na Południe dla realizacji wielkich inwestycji infrastrukturalnych i wytwórczych, i wreszcie do przedstawienia profilu produkcji na odmienny wzorzec, służący zaspokojeniu masowych potrzeb biednych mieszkańców Południa? Wydaje się, że takich sił dziś na Północy nie ma i nie widać ich w zasięgu najbliższego horyzontu czasu: ani wśród wielkiego, wpływowego biznesu, ani wśród świata pracy i szarych obywateli, ani wśród polityków.

Dla transnarodowych korporacji, głównych i najbardziej wpływowych aktorów globalnej sceny gospodarczej, najważniejszym i najcenniejszym nabywcą ich produktów i usług jest mieszkanięc Północy. Na 20% ludności świata zamieszkującej kraje Północy przypada około 80% światowego dochodu, co oznacza nie tylko, że mieszkańcy tego obszaru są odbiorcami przeważającej części globalnej produkcji, lecz również i to, że są klientami zamożnymi, kupującymi produkt o dużej wartości dodanej, zapewniający wysoki zysk. Wprawdzie ten zamożny rynek ulega nasyceniu, ale promocja i reklama tworzą nowe potrzeby, a nauka i technika nowe produkty. Transnarodowe korporacje w dążeniu do maksymalnego zysku starają się jak najbardziej zwiększyć swą sprzedaż, której rozmiary zależą w dużym stopniu od skutecznego marketingu, promocji i agresywnej reklamy o globalnym zasięgu. Wielki biznes powierza promocję tym stacjom telewizyjnym,

które przodują w sztuce reklamy i docierają do największej liczby potencjalnych nabywców, a ponieważ przedsiębiorstwa telewizyjne dążą również do maksymalizacji swego dochodu, więc dla zapewnienia sobie jak największej ilości przynoszących duży zysk zamówień reklamowych od potężnych i bogatych korporacji starają się przy pomocy najbardziej atrakcyjnych programów zgromadzić przed ekranami jak największą liczbę widzów. A jak wskazuje doświadczenie, to nie programy „nudne”, propagujące szlachetne ideały, odwołujące się do ogólnoludzkiej solidarności, sprawiedliwości społecznej, współczucia dla biednych i pokrzywdzonych są poszukiwane na ekranie przez widzów, lecz te, które w scenariusze sensacji i budzących dreszcz emocji wplatają wątek osobistego sukcesu za wszelką cenę i przynoszącego szczęście bogactwa. To one zapewniają rosnącą masę widzów a jednocześnie i masę odbiorców agresywnej, nieustannej reklamy. To tu, w telewizji, gdzie splatają się interesy wielkiego biznesu i mass mediów (które są przecież też wielkim biznesem), tworzą się wzorce zachowań, postaw, stylu życia, kształtują się nowe pojęcia wartości statusu społecznego, mierzonego zdolnością nabywcą człowieka i jakością jego konsumpcji. Siłom, które tworzą te wzorce, nie zależy na ograniczaniu potrzeb i konsumpcji zamożnych społeczeństw; przeciwnie, działają one konsekwentnie w kierunku ich rozbudzenia, nasilenia, ekspansji. Jest im całkowicie obcy, a nawet sprzeczny z ich interesami, formułowany coraz częściej przez zaniepokojonych, dalekowzrocznych intelektualistów z różnych stron świata i przez ich stowarzyszenia, postulat ograniczenia konsumpcji mieszkańców zamożnej Północy, zmiany stylu życia, wpajania społeczeństwu zasad odwołujących się do ogólnoludzkiej solidarności i sprawiedliwości społecznej.

Oceniając siłę oporu wielkiego biznesu wobec koncepcji ustawienia gospodarki światowej frontem do potrzeb Południa, trzeba zdawać sobie sprawę, że taka przemiana w takiej skali wymagałaby daleko idącej restrukturyzacji produkcji z bardziej zyskowej, o dużej zawartości wiedzy i techniki, na mniej zyskową, dostosowaną do potrzeb biednych ludzi Południa, prowadziłaby do drastycznego ograniczenia produkcji niektórych, znakomicie dziś prosperujących branż, a nawet do likwidacji niepotrzebnych w zmienionych warunkach

zakładów wytwórczych. Południe może więc stanowić dla transnarodowych korporacji dodatek do ich wielkich interesów na Północy, ale z ich punktu widzenia rozwój Południa nie może dokonywać się kosztem ograniczania wzrostu gospodarczego i przynoszącej olbrzymie dochody konsumpcji bogatej Północy.

Przeciwnikiem transferu kapitału, inwestycji i wiedzy z Północy na Południe jest również świat pracy zamożnych krajów, zwłaszcza, że nie mogą one poradzić sobie z dużym bezrobociem. A taki wielki transfer prowadziłby do osłabienia aktywności gospodarczej Północy i dalszego pogarszania się sytuacji na rynku pracy. Również trudno wyobrazić sobie aby mieszkańcy Północy zaakceptowali chętnie program gospodarczy, który zmierzałby do ograniczenia ich konsumpcji i powstrzymania procesu podnoszenia standardów życia.

A skoro świat biznesu, świat pracy i masy obywateli Północy byłyby przeciwne programowi restrukturyzacji gospodarki pod kątem widzenia potrzeb Południa, to oczywiście takiej akcji nie podjęliby się politycy krajów zamożnych, którzy zabiegają o głosy wyborców, a ich horyzont polityczny jest wyznaczany terminarzem wyborczym. Dalekosiężna, szeroka wizja świata jest obca dzisiejszym politykom. Zresztą trzeba przyznać, że o taką wizję coraz trudniej w świecie gdzie faktyczna władza przesuwana się od polityków do wielkich finansowych i produkcyjnych korporacji transnarodowych, których celem jest opanowanie jak największej części globalnego rynku i maksymalizacja zysku, a nie realizacja dalekosiężnych koncepcji społeczno-gospodarczych.

A nawet gdyby transfer kapitału, inwestycji i wiedzy z Północy w niezbędnych rozmiarach był realny i gdyby rządy zamożnych krajów pomogły w stworzeniu, sfinansowaniu i uruchomieniu na Południu koniecznej dla absorpcji tego transferu infrastruktury ludzkiej i materialnej w dziedzinie edukacji, informatyki, komunikacji, łączności, energetyki, finansów, administracji centralnej i lokalnej – co przecież nie jest możliwe gdy rządowi krajów Północy brakuje w ich budżetach środków na sfinansowanie potrzeb socjalnych własnych obywateli – to stanęlibyśmy wobec problemu, którego rozwiązania, jak na razie, nie widać. Wzrost gospodarczy

przebiega obecnie przy coraz mniejszym wkładzie ludzkiej pracy. Technika stworzona przez siebie energią zastąpiła energię mięśni, a teraz uzbraja roboty w ludzką inteligencję. Automatyzacja, robotyzacja i informatyzacja coraz bardziej eliminują człowieka z procesu produkcji, zwłaszcza nisko kwalifikowaną i niewykwalifikowaną robociznę, którą w olbrzymich i rosnących rozmiarach dysponuje Południe. A wielka, wschodząca gwiazda postępu naukowo-technicznego, biotechnika, zapowiada wprawdzie bogactwo żywności, lecz ogranicza udział pracy ludzkiej w jej produkcji i zagraża egzystencji milionów rodzin wiejskich Południa.

Nie widać również szans na to, aby sektor usługowy Południa mógł – tak jak to się dzieje w zamożnych Stanach Zjednoczonych – wchłonąć siłę roboczą, dla której brak jest miejsc pracy w produkcji towarowej. W biednych krajach Południa grupa ludzi zamożnych, na których popyt może liczyć sektor usługowy, stanowi niewielką część społeczeństwa, gospodarstwo domowe jest w dużym stopniu „samoobsługowe” (często łącznie z transportem) a kobieta w dalszym ciągu wykonuje swe tradycyjne usługowe obowiązki domowe. W tych warunkach rozwój sektora usługowego jako obszaru gospodarczego, absorbującego obecny i przyszły nadmiar siły roboczej nie jest, jak na razie, realną perspektywą.

Jeżeli wzrost gospodarczy, uruchomiony dzięki transferowi kapitału, inwestycji i wiedzy z Północy, nie zapewniłby zatrudnienia i zarobku wielkim rzeszom mieszkańców Południa, to kto kupowałby produkowaną masę towarów i usług? Olbrzymiej skali operacja nie tylko nie osiągnęłaby zamierzonego celu społecznego, lecz również okazałaby się koncepcją pozbawioną realizmu ekonomicznego.

Zarysowany spłot problemów demograficznych, gospodarczych i społecznych uświadamia ogrom wyzwań wobec których stoimy u progu XXI stulecia i naszą wobec nich bezradność. Można na ten temat pisać tomy, lecz dramat naszego świata zamyka w jednym zdaniu dokument ONZ przygotowany w związku ze Światowym Szczytem w sprawie Rozwoju Społecznego (Kopenhaga, 1995): „Wśród materialnego postępu bez precedensu, ludzka nędza osiągnęła niewyobrażalne wymiary...”

Polaryzacja społeczno-gospodarcza mieszkańców Ziemi

zaostrza się i nie widać szans na powstrzymanie tego procesu i zmniejszenie obszaru ubóstwa. Czy jednak, eksponując problem narastających nierówności społecznych, nie dramatyzujemy przesadnie i niepotrzebnie obecnej kondycji świata? Nierówności nie są przecież zjawiskiem nowym; ród ludzki zna je od tysięcy lat. Nie sięgając dalej wstecz, przypomnijmy, że o nierównościach między ludźmi mówi Biblia, a w Ewangelii Św. Mateusza została sformułowana społeczna prawidłowość, a jednocześnie i prognoza: „Albowiem wszelkiemu, który ma, będzie dane i obfitować będzie, a temu, który nie ma, i to, co zda się mieć, będzie odebrane”. Skoro tak zawsze było, a nierówność i bieda są jakby nieodłączną cechą rozwoju gospodarczo-społecznego, to czy i teraz nie pozostaje nam nic innego jak zaakceptować je jako coś naturalnego, jako zjawisko, które ulega wprawdzie ewolucji, ale jest trwałe, a może nawet konieczne dla zapewnienia dynamizmu rozwojowego, i nie stanowi zagrożenia ani dla dzisiejszego, ani dla jutrzejszego świata. Obraz, zarysowany na poprzednich stronach, przemawia za odrzuceniem takiego uspokajającego poglądu. Gospodarczo-społeczna polaryzacja i marginalizacja, które dziś nękają świat, są w swych rozmiarach, kształcie i tempie narastania nieporównywalne z przeszłością i groźne dla przyszłości, zwłaszcza, że na obszarze Południa następują brzemiennie w skutkach, gwałtowne zmiany w geografii nędzy i w świadomości społeczno-politycznej jego mieszkańców.

W wyniku eksplozji demograficznej i migracji ludności z obszarów wiejskich do ośrodków miejskich, liczba mieszkańców miast Południa wzrosła gwałtownie z niespełna 300 milionów w 1950 roku do niemal 2 miliardów obecnie, a przewiduje się, że w 2025 roku osiągnie 4 miliardy, przy wyraźnej tendencji do koncentracji w wielkich aglomeracjach. Te miliardy ludzi będą żyły w miastach nieprzygotowanych do wchłonięcia tak wielkiej, napływowej, przeważnie biednej, a nawet nędznej, fali ludzkiej. Proces tak gwałtownej urbanizacji w warunkach niedorozwoju gospodarczego Południa oznacza, że olbrzymia masa ludzi wegetuje, i będzie wegetować, w coraz gorszych, często koszmarnych warunkach: stłoczona, bez przyzwoitego dachu nad głową, bez czystej, zdrowej wody, bez podstawowej infrastruktury sanitarnej

i socjalnej, a w dużej części bez pracy i stałego zarobku. Wielkie skupiska miejskie są, i będą stawać się coraz bardziej, nie tylko obszarami koncentracji nędzy, frustracji, gniewu i nienawiści olbrzymich mas ludzkich, lecz także tkanką społeczną sprzyjającą organizacji i rozwojowi różnych form protestu, nacisku, agresji i przemocy.

Równocześnie z urbanizacją, środki masowego przekazu, a przede wszystkim telewizja, rozszerzają horyzont obserwacji mieszkańców Południa poza najbliższe sąsiedztwo, pokazują im cały ich kraj i świat. Widzą oni dostatek, bogactwo i szczęśliwe życie innych, tak bardzo kontrastujące z ich życiem i beznadziejnością. Ale widzą również, że w swej biedzie, głodzie i nieszczęściu nie są odosobnieni, bo takich jak oni są miliony w różnych stronach świata. Narasta świadomość krzywdzącej przepaści pomiędzy biednym i bogatym, i protest przeciw temu. A jednocześnie wielkie rzesze ludzi, zwłaszcza młodych, dowiadują się i coraz częściej słyszą o demokracji, o równości szans, o sile kartki wyborczej i prawach człowieka.

Te wszystkie zmiany i przeobrażenia, zachodzące na tle zarysowanym na poprzednich stronach, nadają nową jakość zarówno scenie polityczno-społecznej wewnątrz poszczególnych krajów Południa, jak i scenie globalnej. Nie wiemy jak, w tych nowych warunkach, potoczy się stara jak świat historia biedy i dostatku, nędzy i bogactwa. I nie próbujemy pisać jej scenariusza, bo ona zrealizuje swój własny, dziś niewyobrażalny.

Stanisław FICOWSKI

Autor artykułu jest b. pracownikiem a następnie wielokrotnym konsultantem ONZ (Europejska Komisja Gospodarcza w Genewie, Afrykańska Komisja Gospodarcza w Addis Abebie i Tangerze, Komisja Gospodarcza dla Azji Zachodniej w Bejrucie, oraz UNCTAD w Genewie).

Wychowanie do kapitalizmu

Wielki skok

Zanim przyszłoroczne lato przyniesie syntetyczny, rocznicowy opis osiągnięć i niedostatków pierwszych dziesięciu lat, warto zatrzymać się na psychologicznej sytuacji społeczeństwa w kolejnym marszu, tym razem do kapitalizmu – na jego nadziejach i sposobach adaptacji, umiejętności rozpoznania własnych sprzeczności i stawiania czoła nowym zagrożeniom, krótko mówiąc zdolności przyswojenia sobie rynkowych zasad zaradności i dominacji w stosunkowo krótkim czasie.

Poświęcimy temu cykl artykułów, których inspiracją stał się kolejny epizod wychowania Polaków do kapitalizmu, jakim były perypetie reformy podatkowej. Tonację początkową podał z okopów Unii Wolności jej szef, nieunikniony minister finansów III Rzeczypospolitej, lecz wcale nie jest powiedziane, że jego będzie triumfalna koda, jeśli sądzić po zwartych szeregach przeciwników podatku liniowego, którzy tym razem robią wrażenie ludzi bardziej świadomych stawki i lepiej inspirowanych, niż w obliczu wcześniejszych inicjatyw administracyjnego kapitalizmu Leszka Balcerowicza. Spór o podatki otwiera nowe perspektywy dla świadomości politycznej społeczeństwa interpelowanego w sprawie prywatnych pieniędzy i wartości ustrojowych po dziesięciu latach doświadczeń i z jednym, i z drugim.

Rozważania o duszy wychowywanej do kapitalizmu godzi się rozpocząć opisem impulsu, który przyszedł z zewnątrz, wymiółł znaczną część polskiej sceny politycznej i obywatelskiej, olśnił młode pokolenie i starych cwaniaków, i wiedzie

dzisiaj taniec narodowych preferencji i indywidualnych marzeń, snując ośnowę kultu powodzenia i spożycia. Ponieważ jednak krzepnięcie nowego kultu musi się odbywać kosztem starych, więc zwarcie pomiędzy nimi stało się nieuniknione.

Marzenia

O ile inne kraje ukształtowane zostały przez handel lub przedsięwzięcia imperialne, gospodarowanie albo wojnę, to Polska wzięła się z marzeń: zachowawczych w Rzeczypospolitej szlacheckiej, niepodległościowych w okresie zaborów, o ustroju bez kartek w PRL-u, a otwarcie konsumpcyjnych po upadku Polski Ludowej. Rosnące możliwości nabywania dóbr nakręcają dzisiaj optymizm społeczeństwa, z lekką drażnieniem niepewnością, dokąd to wszystko zmierza, lecz niezawodnie rozgrzewanego wskaźnikami sprzedaży samochodów, sprzętu elektronicznego i wycieczek zagranicznych.

Perspektywę tego optymizmu wyznacza pozbawiona kompleksów, przejęta z amerykańskich filmów indywidualna zaradność, podstawa systemu wartości, który już nie zadawała się wyjaśnianiem dróg zbawienia, lecz sam zbawia szybko, konkretnie i w najbardziej beznadziejnych sytuacjach. Trzeba tylko wierzyć we własne siły i wytrwać w postawie pozytywnej.

W uzupełnieniu dochodzą zza oceanu pisma i wydawnictwa z receptami na wszystkie problemy. Za przykład posłużyć może europejska oferta klubu książki z Pensylwanii, którą właśnie znalazłem w skrzynce na listy, gdzie obok długiej listyfikacji na każdą okazję znajdziemy też samo życie: „Dlaczego chrześcijaństwo musi się zmienić lub upaść”, „500 najważniejszych budynków od X wieku do dziś”, „Ku wielokrotnemu orgazmowi”, „9 kroków do finansowej niezależności”, „Jak rozmawiać z kimkolwiek kiedykolwiek gdziekolwiek”, „Jak Proust może zmienić twoje życie”, „Naturalny sposób na przezwyciężenie depresji, nadwagi i bezsenności”... Amerykanie zajmują się sprawami powszechnymi, dotyczącymi wszystkich, a Francuzi tylko sobą, odpowiedział mi poważny wydawca krajowy na pytanie dlaczego na rynku tłumaczeń widać głównie autorów amerykańskich.

Wreszcie silnie przez Amerykanów stymulowany strumień wynalazków nabiera wartości sam przez się, obiecując szczęście przez rozwój techniki i ubóstwienie poprzez kulturę wirtualną. Ta pokusa oczywistego nihilizmu, wyzwolenia technologii kosztem wolności człowieka, znajdzie licznych adeptów w społeczeństwie, gdzie latami tłumiono spożycie.

Kulturę amerykańską wyróżnia brak rozterek i nieograniczony optymizm, w pełnej zgodzie z rozmiarami wewnętrznego spożycia i planetarnymi sukcesami armii i kapitału. W ten sposób rozprzestrzenia się blask białej gwiazdy, jaśniejącej na tle upadłych imperiów i zgasłych punktów odniesienia. Odtąd nie masz na świecie kraju bardziej amerykańskiego niż Polska, gdzie koniec PRL-u urzeczywistnił wielki sen o niepodległości, oddalił w prehistorię postulat poświęcenia się dla narodu i przyniósł uderzający dowód na to, że marzenia się spełniają.

I w istocie marzenia, które tym razem mówią o szybkim wzbogaceniu się, zaczęły służyć jako środek rozpoznawania rzeczywistości i dowartościowania osoby. I, podobnie jak wcześniejsze pieśni o pracy wyzwolonej, o społeczeństwie bezklasowym i o zbawieniu przez wspólnotę, także i dzisiejszy hymn materialnego szczęścia, technologicznej emancypacji i porządku handlowego, uwalnia od lęku i od potrzeby myślenia.

Oswoić mit

W tych warunkach niepotrzebna może się okazać wiedza, wystarczy konstruktywna informacja, a wielką pulę społecznych preferencji wygra handlarz snów i trybun imperialnego patronatu. Nie trzeba więc łamać sobie głowy nad europejskim projektem zjednoczeniowym, i tak wszystkim rządzą Stany Zjednoczone. W obliczu strukturalnego dziedzictwa komunizmu i nadużyć kapitału jedynie słuszną postawą jest zaufanie do wolnej inicjatywy, porządek handlowy bowiem wszystkim zaradzi. Władze mogą co najwyżej ułatwić tę inicjatywę przez liberalne prawo i stabilną monetę.

W gospodarce perspektywa makroekonomiczna wyparła zatem strukturalną, ponieważ na krótką, elektorálną metę,

moneta i wskaźniki wzrostu – najłatwiejsze cele reformatorskiej gorliwości – najszybciej inspirują nastroje kapitału i społeczeństwa; odtąd administracyjna walka z inflacją będzie gwarantem zdrowia gospodarki, konstytucyjnie kontrolowany budżet zapewni zdrową złotówkę, praktyka zaś szybkiego zysku uwolni człowieka od trosk, a naród od społecznych i środowiskowych kosztów zmian.

Oczywiście, zwykły człowiek nie musi być strategiem, od tego ma polityków, on sam marzy o osobistym zysku i przy tym się krząta. Problem zaczyna się wówczas, gdy obszarowi konsumpcyjnych marzeń nie towarzyszy obszar krytycznego myślenia, ponieważ następstwem jest dezercja polityki, która chętnie wypisze na swych sztandarach każdą niedorzeczność, jeśli taka jest wola i kapitału, i wyborców. Beznadziejnie poróżnieni na temat szczegółów polscy wyborcy zgodnie popierają zasadę rezygnacji z polityki gospodarczej na rzecz ochrony interesów silnych grup nacisku i znoszenia przeszkód dla inicjatywy gospodarczej, co zwiększa dochody wielu ludzi i upowszechnia spożycie elitarnych dawniej towarów, krótko mówiąc sprzyja koniunkturze.

Wszelako domniemanie, że rynek w pojedynkę przetworzy Polskę w kraj nowoczesny, to więcej niż marzenie, to błąd. Ma on w Polsce twardy żywot, ponieważ całkiem niedorzecznie ilustrowany jest nieustającym powodzeniem promotora wolnorynkowej normy, bez względu na to, że u podstaw amerykańskich sukcesów leży nie tylko łatwa do powierzchnego przejęcia ideologia, lecz przede wszystkim niemożliwe do przeszczepienia warunki historyczne i materialne oraz potężna siła protestanckiego etosu pracy.

Amerykański sen udzielić może nadzwyczajnej inspiracji w wielu okolicznościach, lecz im dalej od wyjątkowych zasobów amerykańskiego narodu, łagodzących koszty nietrafionych marzeń i sprzecznych aspiracji, tym bardziej trzeba uważać, by egzotyczny sen nie przekształcił się w lokalny koszmar.

American dream, jak każdy mit, to symboliczne odbicie grupowych lęków i marzeń, wiarygodne dla wyznawców, lecz autentycznie płodne dopiero od momentu otworzenia się na racjonalną krytykę.

W starożytnej Grecji krytyczna obserwacja mitu pokierowała losami kultury, zapładniając prawo i zasady moralne.

Jeśli współczesne nam Imperium ma przetrwać w dziełach trwałszych niż jego wojskowe i handlowe podboje, otwierając twórcze perspektywy egzystencjalnego, a nie tylko handlowego porządku, to musi zapomnieć o mitach i potrzebie krytycznie na świat.

Stary Kontynent coraz bardziej świadomie staje do dialogu z triumfującą Ameryką, wskazując na europejskie wartości kompromisu, różnorodności i tolerancji. Stawia to społeczeństwo polskie wobec konieczności wyboru, co, jak się zdaje, nie stwarza jednak żadnego problemu: olśnieni sukcesami białej gwiazdy, wierni swej pamięci historycznej, która nakazuje im nieufność w stosunku do Europejczyków w ogóle, wrogów czy sojuszników pospołu. Polacy w większości deklarują wierność wzorom kultury i normom politycznym Stanów Zjednoczonych, potwierdzając to w sondażach, spożywczych preferencjach i w milczącej zgodzie na rozległe wpływy amerykańskich wyroczeni. Uwodzicielska siła tych wyroczeni rozkwita wszystkimi kolorami tęczy w społeczeństwie, któremu stale konfiskowano bieżący czas, odsyłając jego aspiracje w obiecującą przyszłość, albo w pokrzepiającą przeszłość; cóż za ulga, nareszcie skupić się na dniu dzisiejszym, całkowicie uporządkowanym przez wskaźniki Wall Street, dziennik telewizyjny CNN i rytm technologicznych mutacji.

Czas zwyciężony

Dziedzice zachodniego optymizmu, Amerykanie doszli do granic logiki rozwojowej podporządkowując sobie czas. Rynkowy kalendarz określony jest przez kampanie handlowe globalnego zasięgu, oparte na planie wojskowym (wojna gwiazd prezydenta Reagana, wojna w Zatoce...), technologicznym (Windows 95...) albo filmowym. W każdym wypadku mamy do czynienia z kolosalnym przedsięwzięciem, którego koszty wykluczają możliwość niepowodzenia, gdy wytwórnia Disneya otwiera rok Pocahontas, to jej kolory ujrzymy w rozległym zakresie oferty towarzyszącej – zabawki, ubiory, książki, gadżety – o nakładach znacznie wyższych, niż na sam film, i mowy nie ma, żeby się te koszty nie zwróciły z nawiązką.

Na wypłacalnych konsumentów całego świata można tu w ciemno liczyć, bez ociągania, bowiem włączają się oni do nowej kampanii, z większym zaufaniem do marketingu amerykańskich firm, niż lokalnych tradycji i potrzeb. Każda z tych kampanii otwiera nową erę; to co było przed należy do prehistorii, co zaś po – jest znakiem modernizmu i dorosłości. Prowadzi to do natychmiastowego spadku sprzedaży wypróbowanych modeli, kiedy tylko wytwórnia ogłasza, że nadchodzi czas nowej formuły. Nie musi to być związane z funkcjonalnością sprzętu, kult zakupu bowiem doskonale radzi sobie bez kryterium użyteczności; tym sposobem rośnie u nas sprzedaż telewizorów szerokoekranowych tzw. 16/9, chociaż żadna stacja nie emituje w tym formacie i żadna też się do tego nie przymierza.

Handlowej kwantyfikacji czasu poddane są także normy indywidualnej i politycznej moralności, kształtowane przez amerykańskie stacje telewizyjne według wrażliwości tamtejszych widzów. Dziś jesteśmy tu, jutro tam. Ekipy reportażowe wyjechały do Bośni gdy spadła atrakcyjność kotła somalijskiego. Później dowiedzieliśmy się, że ludzie giną w Ruandzie. Następnie przyszedł czas na Haiti, po czym w eterze zapadła geopolityczna cisza, ponieważ przyszła koniunktura gospodarcza, w czasie której zainteresowanie polityką spada i prawdziwą żyłą złota staje się moralność gwałtu i rozkoszy. Została ona podana do spożycia w procesach O.J. Simpsona i prezydenckich perypetiach seksualnych w dawkach wprowadzie inflacyjnych, ale nigdy nie kolidujących ze sobą handlowo: serial „All the president's women” wypłynął na ekran dopiero wówczas, gdy zakończył się tasiemiec „Simpson's case” i z pewnością ustąpi miejsca następnemu produktowi technologii moralnej, jeśli tylko się giełda nie załamie, bo wówczas powróci do łask polityka. Cywilizacja piguły, przed jaką ostrzegali dawni futuryści zaniepokojeni perspektywą zastąpienia sznycła pokarmem syntetycznym, nabiera dziś nieoczekiwanego kształtu. Sznycła bowiem serwują tak jak dawniej – z tą co najwyżej różnicą, że bydło karmione jest nie koniczyną, lecz czym innym, może zmielonymi kośćmi – w pigule natomiast podają technologię, moralność i czas.

W obliczu tirumfu radykalnego konsumeryzmu można mówić o subiektywnym końcu historii i śmierci Boga, o ile

bowiem Kościół przeznaczył człowieka do wieczności, socjalizm już tylko do przyszłości, to kult spożycia uczy, że jedynie ważne jest dziś.

Konflikt

Triumf kultu spożycia będzie dla wielu skandalem w społeczeństwie o silnych tradycjach religijnych i rewolucyjnych, które zresztą szybko tracą zwolenników pod wpływem syreniego śpiewu nowej eschatologii. Rekonfiguracja kultowego pejzażu w społeczeństwie pogłębiona została przez właściwe dla końca epoki lęk i niepewność, które przekształciły ideologię lewicową w ideologię ustrojowej nostalgii oraz spolaryzowały postawy religijne pomiędzy tradycją a sektami, nierzadko nadając i jednemu, i drugiemu charakter kontestatorski, albo jawnie polityczny.

Mało jeszcze zaprawiona w rzeczowych sporach, słabo zorientowana w realiach rynku demokracja staje się areną wojny uczuć i ideologii raczej, niż pojęć i argumentów. Wynikiem są głębokie podziały, krzepnące w gęstej atmosferze wzajemnej niechęci, jeśli nie pogardy, gdzie naprzeciw ideologicznej gorliwości wyrasta nostalgiczny upór i religijny integryzm. Nie ma mowy o dialogu pomiędzy fanatykami rynku a tymi, których rynek oburzył lub wystraszył: Radio Maryja i neokomunistyczna reakcja powstały tyleż z odczucia zagrożenia, co obelgi.

Katolicy, protestanci i kapitał

Raptowne przyswojenie kultu spożycia, sukcesu i indywidualizmu ma wysoką cenę wśród ludzi zakorzenionych na zupełnie innych gruntach. Szczególnie kosztowna okaże się krótka perspektywa polskiego kapitalizmu, nastawionego na szybki zysk raczej, niż na zysk trwały, ryzyko raczej, niż jakość i rozwój. Sprzyja to ignorowaniu strukturalnych problemów gospodarki i środowiska, w obliczu których triumfalnie ogłaszane cyfry wzrostu służyć mogą jedynie jako alibi dla braku polityki gospodarczej, ale na pewno nie jako informacja

o stanie Rzeczypospolitej. Dla przeprowadzenia zmian potrzebne są tutaj, obok pieniędzy i techniki, także obyczaje gospodarczego realizmu, a nie tylko finansowego sprytu. Pod tym względem kapitalizm polski nie znajdzie oparcia ani inspiracji w tradycjach narodowo-katolickich.

Dla katolików czas historyczny to synonim zepsucia, grzechu i pokuty przygotowującej do odrodzenia w czasie mistycznym. Ta okoliczność przez długi czas tłumiała doraźną przedsiębiorczość chrześcijan, a nadzwyczajną zaradność finansowo-handlową średniowiecznych miast włoskich czy zakonu templariuszy uznać trzeba za wyjątek potwierdzający tę regułę. Jedną z przyczyn, dla których Europa, startując z podobnego poziomu techniki, co inne ośrodki cywilizacji, doszła do wyjątkowych osiągnięć. W kumulacji i wykorzystaniu kapitału szukać trzeba w nauce społecznej protestantyzmu. Luteranizm dowartościował laikat i dodał mu otuchy w jego inicjatywach, kalwinizm zaś i jego wielorakie odmiany obarczyły sumienie wiernych trwałym niepokojem predestynacji, łagodzoną nadzieją doczesnego powodzenia: jeśli bowiem doraźna krzątania przynosi trwałe zyski, to znaczy, że Pan sprzyja moim przedsięwzięciom, czyli moje zbawienie jest Jego zamiarem. Purytanie wręcz potępiali tych, co odmawiali gromadzenia i owocnego użytkowania kapitału.

Religijna ekspozycja moralności i wiary w postęp gospodarczy stanowiła u protestantów nadzwyczajny impuls skutecznej pracy i rygoru w gromadzeniu dóbr i reinwestycji zysków. Z tych czasów pozostał nawyk dyscypliny i zapobiegliwości, nawet jeśli motyw religijny utracił swe znaczenie.

O ile więc Kościół katolicki przejawiał więcej zrozumienia dla ubóstwa i niezaradności, to pod względem gospodarczym społeczeństwa katolickie dały się na ogół zdystansować przez heretyków. W ewolucyjnych warunkach Zachodu jednak stale zachodziła osmoza obyczajowa, rozwijając zainteresowanie protestantów dla pariasów rynku, a u katolików dowartościowując laikat w życiu Kościoła. Z ewolucji tej wyłączony był Kościół polski, skupiony na swej misji obrońcy i depozytariusza wartości narodowych. Wyrastając ponad prześladowczą siłę kolejnych okupantów dążył on do wykształcenia skutecznej formy paternalizmu raczej, niż partnerstwa i podmiotowości laikatu; jeszcze w 1982 roku, kiedy zabiegałem

o ożywienie struktur parafialnych na Podhalu, napotykałem przede wszystkim na nieufność proboszczów, lękających się tyleż prowokacji politycznej w ponurym okresie stanu wojennego, co wglądu wiernych w kasę parafialną.

Odrębna droga Rzeczypospolitej

Spółczeństwa krajów zamożnych przeszły szkołę gospodarczej skuteczności od podstaw, to jest od transcendencji zysku, uświęconego przychylnością, a ściśle rzecz biorąc domniemaniem przychylności Najwyższego. Nauczynwszy się porządnie pracować, zapobiegliwie oszczędzać i inwestować z należytą Bożemu dziełu powagą, mieszkańcy Zachodu zgromadzili kapitał i rozwojową technikę oraz wykształcili solidne obyczaje zawodowej odpowiedzialności, które w świeckiej formie przeniknęły do naszych czasów, gdzie zresztą zaczynają już kruszeć pod naporem konsumpcyjnego nihilizmu. Podobny łańcuch rozwojowy mógł się być stać i naszym udziałem, gdyby nie odrębna droga Polski, która na kilka wieków pograżyła ją w kulturowym i politycznym osamotnieniu.

Najpierw zatem niespotykaną na kontynencie sytuacją był pokój społeczny Królestwa dwojga narodów, gdzie Reformacja bardzo szybko zdobyła dużą część terytorium bez walk i gwałtów. Początki organizacji kapitalistycznej, które ujawniły się w górnictwie, metalurgii i nowych rzemiosłach, takich jak drukarnie, nie skorzystały więc z potężnego impulsu, jakim dla protestantyzmu zachodnioeuropejskiego były kolosalne zyski z rabunku dóbr klasztornych i zmiany niewyobrażalnej dziś ilości świąt kościelnych w dni robocze. Płodna z początku, lecz pozbawiona materialnej podniety polska reformacja szybko ustąpiła z rozległego pola i pod koniec XVI wieku katolicyzm odzyskał większość utraconych ziem.

Drugą osobliwością polskich dziejów były oczywiście różbiory, cztery albo pięć, w zależności od rachunku, które unicestwiły bogactwo materialne społeczeństwa i systematycznie cofały zegar obyczajowy do czasów hegemonii duchowej Kościoła katolickiego. Nawet bez politycznej grabieży bogactwo

polskie trzech ostatnich stuleci było mało wydajne, jak renta ziemiska, lecz nabrało rangi wartości narodowej w obliczu kapitalistycznego impulsu z Berlina, czy Petersburga. I to, co Polacy posiadali i to, w co wierzyli, służyć miało ochronie substancji narodowej, mogło więc tylko w bardzo ograniczonej formie angażować się w wirujące obwody pieniądza, który w swojej istocie jest bezpaństwowym.

Zysk i owoce jego

W rezultacie po restauracji Rzeczypospolitej przyszło nam wykonać wielki skok z czasów niedbałości kapitałowej do okresu konsumpcyjnych marzeń, bez pieniędzy, bez roztropności gospodarczej i bez zawodowej powagi, za to z głęboką wiarą w celowość szybkiego zysku – w pełnej zgodzie z perspektywą rozwiniętego rynku, gdzie szybki zysk staje się główną i coraz częściej jedyną motywacją gospodarczego zaangażowania. Problem jednak polega na różnicy w zasobach, przede wszystkim materialnych, które na Zachodzie są ogromne i amortyzują koszty pomyłek, niedbałości i nieodpowiedzialności; zawsze się znajdzie ktoś, kto wyciągnie przedsięwzięcie z topieli i zawsze się znajdą środki na naprawienie szkód.

Drugim źródłem problemów są obyczaje, przejawiające się u nas powierzchownym stosunkiem do zysku. W pojęciu postprotestanckim zysk jest godziwy tylko pod warunkiem własnej perenizacji, która dawniej pojmowana była jako nieomylny znak wybrania przez Pana, a dziś ma postać stałego wzrostu, to jest – trafnej reinwestycji, zwykle za cenę osobistej ascezy, najczęściej obyczajowej, lecz niekiedy także i materialnej. W Polsce kulturowa sytuacja zysku jest delikatna, ponieważ pozbawiony znaku łaski, dowodzi on redukcji amerykańskiego snu powodzenia do wymiarów wyniesienia i dominacji: zysk staje się wówczas celem samym w sobie i źródłem ostentacyjnego spożycia.

Pomiędzy suwerenną posturą kapitału w społeczeństwach anglosaskich a na poły wstydliwą jego sytuacją w katolickich krajach kontynentu, pozycja wpatrzonego w normy anglosaskie polskiego zysku jest niezręczna z tego powodu, że

inwencja finansowa – tak jak każda inna forma dominacji – na dłuższą metę nie może ignorować tradycji i lokalnej odrębności pod sankcją wyobcowania i ostatecznej klęski.

Nawet jeśli odrzucając wszelką perspektywę społeczną powiemy, że jedynym celem zysku jest mnożenie się, to chcąc nie chcąc powrócimy do kategorii wspólnotowych, ponieważ jedną z przyczyn nietrwałości polskiego zysku jest jego społeczna nieracjonalność. Przejawia się ona tym, że przystępując do przysiężenia nazbyt często wiemy z góry, że zostaniemy obdarzeni zarobkiem nie za zawodowe umiejętności, inwencję czy przezorność, lecz za cynizm i najpłytszy koniunkturalizm. Tym sposobem czeka nas być może duży zysk, lecz także niepewność i krótki żywot inicjatywy.

Bardzo ruchliwy, lecz mało stabilny, dochodowy lecz bez wyraźnie rysujących się perspektyw kapitalizm polski nie okrzepnie, dopóki w całym zakresie gospodarowania łatwizna nie ustąpi wystarczająco rzetelności zawodowej, a kryterium szybkiego zysku – znacznie trudniejszej w realizacji zasadzie zysku trwałego. Sam zaś zysk szukać będzie swojego sensu, większej roli w społecznej hierarchii wartości, niż jedynie miejsca na listach krajowego bogactwa. Pieniądz bowiem nie może być celem samym w sobie, ponieważ nie przynosi szczęścia, choć podobno mu nie przeszkadza.

Robert KACZMAREK

Wobec Rosji – spłot czy gwałt?

Któż nie pamięta „maleńkich uczonych” z „Syzyfowych prac”? Ten, kto ich nie czytał! – można przewrotnie odpowiedzieć. Czy jednak w Polsce można nie czytać tego dokumentalnego nieomal utworu Stefana Żeromskiego? „Przedwiośnie”, owszem, niechętnie było widziane w pewnych środowiskach, a więc i niechętnie czytane, skoro autorowi zarzucano z jego okazji nie tylko „baciarstwo literackie”, ale i „rosyjską umysłowość”. W „Dziejach grzechu” widziano „chorobliwe obciążenia” i „zmysłowość wyuzdaną”, więc nie tylko przed wojną, ale i w czasach mojej młodości tępiono je w gimnazjach. „Syzyfowe prace” jednak dostąpiły mickiewiczowskiej nobilitacji – stały się czymś więcej niż lekturą szkolną, a nawet powieścią edukacyjną, bo oznaką inicjacyjną i identyfikacyjną. Sam Żeromski uważał, że w piśmiennictwie polskim rolę taką pełni Mickiewicz – na kogo wieszczę nie działa ten jest stracony, przepadnie w ruskiej otchłani. W „Syzyfowych pracach”, jak pamiętamy, „Reduta Ordoni” głośno wypowiedziana stanie się zacytowanym patriotycznego przebudzenia. Jej dźwięczny, spiżowy ton, który za sprawą przybycia z Warszawy zabrzmiał głośno w murach prowincjonalnego, rosyjskiego gimnazjum, przecknie „maleńkich uczonych” i przywróci ich na ojczyzny łono. Utworu Żeromskiego nie recytowano w ten sposób, a w ostatnich dziesięcioleciach nie czytano może nawet własnowolnie, bo szkolne lektury obowiązkowe nierzadko budzą niechęć. Ale od chwili swego ukazania się wszedł on nie tylko w świadomość, ale i w nieświadomość zbiorową. Świadectwem „maleńcy uczeni”

– można zapomnieć skąd pochodzą, ale ich samych się nie zapomni. Stali się jednym z idiomów literackiej polszczyzny.

Kim są „maleńcy uczeni”? Maleńcy uczeni są gimnazjalnym kółkiem młodzieżowym. Nie należą oni jednak do tej specyficznej polskiej historii, jakiej początek dają młodzieżowe konspiracje Królestwa Kongresowego, utrwalone w filomackiej legendzie, a uświęcone w III części „Dziadów”; historię tę badał, systematyzował i utrwał autor innej legendarnej, a całkiem współczesnej książki, mianowicie „Kamieni na szaniec”, Aleksander Kamiński. „Maleńcy uczeni” nie są jednak następcami filomatów i nie są też poprzednikami „szarych szeregów”. Należą raczej do rosyjskiej niż polskiej historii, do historii zeszlowiecznych *krużków*, nieodłącznej od historii *raznoczyńców*, „zbędnych ludzi” i „nowych ludzi” – nihilistów, narodników, ziemlowców, narodowolców, iszutinców, nieczajewców, czajkowców i innych, których niezrównaną panoramę ideową, choć nie artystyczną przedstawi inny polski pisarz, a mianowicie Stanisław Brzozowski. W pierwszych rozdziałach jego „Płomieni” mamy również obraz gimnazjalnego kółka, rzecz dzieje się prawie w tym samym czasie, choć w innym miejscu, bo nie w kraju przywiślańskim, lecz na „ziemiach zabranych”, czyli w guberniach wschodnich, a dokładnie w Niemirowie na Podolu, czyli na Ukrainie. Choć ta różnica położenia nie jest bez znaczenia (młodzież gimnazjum niemirowskiego jest etniczną mieszanką – w gimnazjum klerykowskim jest etnicznie polska) nie wyjaśnia ona bynajmniej wszystkich różnic obu tych literackich obrazów.

Ponieważ są to nie tylko różnice osobiste i artystyczne, ale także ideowe i kulturowe. Sięgają one samych podstaw polskiego stosunku do Rosji, relacji polsko-rosyjskich, splotu polsko-rosyjskiego i dlatego czynię je typologicznym punktem wyjścia. Zauważmy nawiasem, że jest to kwestia dogłębna i obolała i nie jest wcale obojętne, jak się ją nazywa. „Stosunek”, „relacja” czy „splot” nie są to określenia opisowe lecz wartościujące i trzeba świadomie wybrać to, jakiego się użyje. Zdaniem Brzozowskiego na przykład, to był splot, zdaniem Żeromskiego żadnego splotu nie było, był tylko gwałt. Czasem myślę, że w kwestiach takich splotów czy gwałtów, należałoby odejść od krytycznego wykładania artystycznych

sublimacji i nieustępliwie rozszyfrowywać potoczne zbitki słowne. Skoro jednak jesteśmy przy literaturze, skupmy się na jej elementarnych cząstkach znaczeniowych. Cząstkami takimi w zajmującej nas kwestii są obrazy kółek młodzieżowych w „Syzyfowych pracach” i „Płomieniach”.

„Maleńcy uczeni”, „samorodni badacze” nie są tak bardzo samorodni bo skupiają się i działają z poduszczenia inspektora prowadzącego chytrą pracę rusefikacyjną. Nie jest to rusefikacja przez presję, jaką posługuje się szkoła i cały reżim, jest to rusefikacja przez atrakcję. Tę atrakcję stanowią autentyczne wartości kultury rosyjskiej skupione przede wszystkim w jej literackich arcydziełach i poprzez te arcydzieła „najpierwsze uczucia”, „namiętne miłostki”, „marzenia i sny” tych młodzieńców znajdowały swój „wyraz, dźwięk i barwę”. Nie jest to „najbardziej zjadliwa forma *obrusienija*”, bo tę autor odnajdzie w wyrafinowanych formach intelektualnych, ale jest to emocjonalna inicjacja tego *obrusienija*. Za nią w kolejności logicznej i chronologicznej idą następne – wnikanie w dzieje Rosji, w ich ideologiczne mistyfikacje, krytyka, a właściwie odrzucenie historii Polski z tej perspektywy. W tym towarzyszyć mogą „maleńkim uczonym” czescy pansławiści i polscy lojaliści. Lektura „Dziejów Polski” Michała Bobrzyńskiego wzmacniała – powiada autor – ów „specyficzny, wybitnie klerykowski wstręt do wszystkiego, co polskie”. „Rusofilizm we wszystkim – aż do religii – uchodził w kołach tej młodzieży za synonim postępowości, krytycyzmu i tężyzny”. Nie dość na tym, choć tego aż nadto – rusefikacja przez presję spleciona z rusefikacją przez atrakcję stanowi łańcuch tak mocny, że o polskość należy naprawdę się obawiać. Ale prawdziwy dramat zaczyna się wtedy, kiedy do łańcucha tego wplata się kolejne, tym razem filozoficzne ogniwo. To już nie jest partykularna w końcu „Historia państwa rosyjskiego” Karamzina, to są uniwersalne „Dzieje cywilizacji w Anglii” Buckle’a i to ich, rosyjska rzecz jasna, lektura, legnie u podstaw szkoły filozoficzno-materialistycznej wśród „maleńkich uczonych”. Zasady tej szkoły są dobrze znane i w dziesiątku, co najmniej utworów polskich i rosyjskich tamtego czasu opisane. Jest ona naturalistyczna, ewolucjonistyczna, scjentystyczna, ateistyczna. Jest też tożsama, w umysłach jej wyznawców, z wolnością i postępem, a właściwie

z ich ukoronowaniem. Radykalizm tych wszystkich „izmów” oraz siła tej wiary jest tym większa, im dalej od centrum rzeczywistego postępu i demokratycznych wolności. Już Fiodor Dostojewski dowiódł, że największa była ona na poddaszach Petersburga. Ale i w „prywiślańskim kraju” była niemała i to w niej Stefan Żeromski upatrywał „najbardziej zjadliwą formę obrusienija”.

U Brzozowskiego można powiedzieć odwrotnie – wjara ta nie jest formą *obrusienija*, jest formą ucłowieczenia. Młodzi bohaterowie „Płomieni” – Adaś Bielecki i Michał Kaniowski nie zastają w swym rodzinnym i rodzimym otoczeniu niczego co byłoby godne ich intelektualnych i moralnych pragnień. W „białych ścianach polskiego domu” „pokłady zobojętnienia, niewiary, służalstwa, egoizmu ukrywają się pod maską patriotycznego frazesu”. Polska jest tylko tym frazesem i niczym więcej, naprawdę w tym świecie „statystów z dworków wiejskich i pałaców” człowiek człowiekowi jeśli nie jest wilkiem, to jest panem. Jest tym panem jednak nie przez dawną zacność (z niej nic nie zostało), lecz przez nieludzką wobec tego, kto poddany: chłop, Żyd, kobieta. Brzozowski rozmyślnie stawia czytelnikowi przed oczy sceny upodlenia, z nich te, które dotyczą kobiet mają dla niego i jego bohaterów moc nieodpartą. O jakiejż wolności i suwerenności może być mowa, skoro jak na niewolniczej plantacji chłosta się lub kupuje kobiety? Gimnazjalny, polsko-ukraińsko-rosyjsko-żydowski *krużok* nie jest ostatecznie przedmiotem czysto intelektualnej admiracji, choć bez wątplenia skupia progresistów, naturalistów, scjentyistów i ateistów. W świecie fundamentalnie niemoralnym jest ażylem moralnym i to jego członkowie stawiają swój los w obronie godności cudzej żony, prawdziwego człowieka. Co się dalej z nimi stanie wiemy i wspominałem już panoramę rosyjskiej historii ideowej, jaką w „Płomieniach” nakreśli autor. Protagonistą tej historii będzie Michał Kaniowski, Miszuk-Niewidymka, polski szlachcic, który został rosyjskim rewolucjonistą. Pisałem o tym gdzie indziej i nie chcę do tego wracać – tu potrzebny mi jest tylko *krużok*. *Krużok*, jako przykład – to w nim płynie nie tylko strumień uniwersalnej historii, w nim także spełnia się imperatyw moralny. „Co tu po jakiejś Polsce – chciałoby się powiedzieć, parafrazując

autora – to nie jest as atutowy, ani znaczone karta”.

Oba te obrazy literackie mają sens biegunowo przeciwny i trzeba te bieguny zwięźle przedstawić. Widać w nich przede wszystkim dwie różne Polski i dwie różne Rosje, więc całkiem też różne ich wzajemne relacje. Polska kółka kieleckiego jest Polską duchową, recz jasna, jej przeanielonny obraz wyłoni się ze spizowych fraz „Reduty Orдона” i jednym podmuchem zmiecie cały trud i brud rusyfikacji przez presję i przez atrakcję. Tak samo znikną z porządku kółkowych debat Karamzin i Buckle – ich miejsce zajmą Mickiewicz, Kościuszko, Mochnacki. Polska kółka niemirowskiego nie istnieje naprawdę, nie stanowi żadnego problemu i nie stawia problemów – jest to „Polska zdiecinniała, bytująca w nowoczesnym świecie, jak żyjątko w limburskim serze”. Dlatego może być tylko przedmiotem odrzucenia i zostaje odrzucona. Rosja Żeromskiego z kolei, nie jest tylko Rosją zła historycznego – absolutystycznego reżimu, nędznej cywilizacji, prymitywnego czynownictwa, ciemnej oświaty. Gdy chodzi o tę diagnozę nie jest ona zasadniczo różna u Brzozowskiego, a nawet u rosyjskich progresistów.

Rosja Żeromskiego jest jednak Rosją zła demonicznego. Zło demoniczne, najkrócej mówiąc, bardziej przebiegłe niż złymi, posługuje się dobrymi środkami dla osiągnięcia swych celów i dlatego jest groźniejsze. Rusyfikacji Polaków, a więc ich odcłowieczeniu, może służyć nie tylko sztuka poetycka Kryłowa, Puszkina i Lermontowa, ale także filozofia postępu, a nawet matematyka. Parafrazując sławne zdanie Dostojewskiego można powiedzieć, że gdyby Żeromskiemu przyszło wybierać między Polską a prawdą, wybrałby Polskę, jeśli prawda przychodziłaby z Rosji. Rosja zatem może być tylko przedmiotem totalnego odrzucenia i odrzucenia takiego Żeromski dokonuje stale, zarówno w swej twórczości, jak i w życiu osobistym. Rosja Brzozowskiego przemawia „mową dorosłych ludzi” a w kontekście polskiego zdiecinnienia mowa ta ma dźwięk spizu. Autor „Płomieni”, a także „Głósów wśród nocy” zna oczywiście historyczną Rosję carską i wie o niej to samo, co Żeromski. Ale w tym odrzuceniu historycznej Rosji absolutystycznej i feudalnej jest u Brzozowskiego pewien element demonicznego fascynacji. Zło historyczne otóż doszło w tej Rosji do takiego stopnia stężenia, że

musi zrodzić nieznanne dotąd dobro. Albo inaczej – każde przeciwstawienie temu złu, samo z siebie rodzi dobro i to dobro przeduchowione i przeanielone. Idealnymi bohaterami „Płomieni” są nie tylko Ławrow, Michajłow czy Myszkin – jest nim także Sergiusz Nieczajew.

Ale nie są to tylko dwie różne Polski i dwie różne Rosje – są to również dwie historie i dwie historiozofie. Zarówno Żeromski, jak i Brzozowski mają moralistyczne wizje dziejów i obaj zadają to samo, nieuniknione w naszych czasach pytanie o miejsce zła moralnego w historii. Obaj przy tym nie są już naiwnymi progresistami, lecz jako wychowankowie przełomu antypozytywistycznego sądzą, że postęp w historii jest pewnym przybojem dobra, ale przybór ten nie jest żadną koniecznością, zależy od świadomości i woli ludzkiej – dobra albo przybywa, albo ubywa. Teraz właśnie go ubyło, w tym obaj pisarze są zgodni, choć różnie określają ten ubytek, ale przebudzenie ludzkiej świadomości, skupienie woli może przybór spowodować. Historia według Żeromskiego jest historią narodów i one są jej jedynymi podmiotami, historia Polski to są dzieje narodowej artykulacji i jej rywalizacji z inną tego rodzaju narodową, czyli rosyjską artykulacją. Autor „Urody życia” skłonny jest sądzić, że rywalizacja ta jest nieunikniona, nieubłagana i bezwzględna. Rosja reprezentuje w niej pierwiastek zła i zło triumfuje w historii realnej, ale zostanie wyrugowane z historii idealnej. Brzozowski posługuje się wizją historii uniwersalnej, narody w niej istnieją rzecz jasna i odgrywają różne role, ale nie są jej pryncypialnym podmiotem. Tym jest ludzkość pojęta jako naczynie, w którym ma się spełnić dobro – wolność, równość, braterstwo. Można otóż, zdaje się sądzić Brzozowski, oceniać wkład poszczególnych narodów do tego naczynia. Polski jest mały (choć kiedyś był wielki – za Kościuszki i romantyków), rosyjski nie – mimo całej historycznej niedorzeczności carskiego absolutyzmu świadomość przebudzona i wola skupione są dziś w Rosji. Dokładnie – w Petersburgu, gdzie wreszcie zginie car Wszechrosji. Dlatego trzeba być tam i dlatego z rosyjskimi terrorystami są tam polscy zamachowcy. Na Małej Sadowej ostatnim egzekutorem był Ignacy Hryniewiecki.

Aby Polska mogła powstać w chwale jako ucieleśnienie dobra, Rosja musi być wykluczona z polskiej historii,

w każdym razie Rosja demoniczna, ale innej właściwie nie ma. Aby Polska mogła powstać jako historyczne dobro, musi wyzbyć się całego swego partykularnego zła i włączyć się w uniwersalny nurt historii, jako jej służebnica. Jeśli nurt ten przepływa teraz przez Rosję, winna włączyć się w Rosję. Oto dwa biegunowo różne stanowiska, do laboratoryjnego zapewne sprowadzone preparatu, ale wyraźne i czyste w swym przeciwieństwie. U zarania dwudziestego wieku zostaną one przedstawione w sztandarowych utworach przez dwóch wielkich polskich, choć nie światowych pisarzy. W pewnym zatem sensie tworzą one ramy współczesnego polskiego stosunku do Rosji i zobaczymy teraz co się w tych ramach mieści. Biegun klerykowski, żeby tak powiedzieć, ma swoje wyraźne kontynuacje w różnego rodzaju piśmiennictwie martyrologicznym i kombatanckim, którego przybływ nastąpi po wojnie światowej i bolszewickiej, a którego utworem najbardziej znamiennym jest zapewne „Pożoga” (1922) Zofii Kossak-Szczuckiej. Bolszewicy, zauważmy, zdemonizują dodatkowo demoniczny wizerunek Rosji – „Od białego do czerwonego caratu” to nie tylko tytuł głośnego dzieła Jana Kucharzewskiego (pełniącego nierzadko rolę encyklopedii i katechizmu), to także zwięzłe wskazanie popularnego zrostu mentalnego. Rzecz nie w tym, że Kucharzewski zbiera niepodważalną w wielu sprawach dokumentację, rzecz w tym, że w Rosji nawet dobro złu służy i zło się nim posługuje. Postawa ta, na wiele różnych sposobów wyrażana przez pisarzy *minorum gentium* i odpowiadająca bez wątpienia pewnemu stanowi mentalności potocznej (czego świadectwem mesjanistyczna i martyrologiczna zarazem stylizacja pomnika „Poległym i Pomordowanym na Wschodzie”), w naszych czasach zostanie najświetniej wyrażona przez dwóch pisarzy o przeciwnych poglądach politycznych, a mianowicie Józefa Mackiewicza i Aleksandra Wata. Mackiewicz w najgłębszych pokładach swej duszy był anarchicznym tradycjonalistą, nie uznawał tak sztucznych twórców jak państwo, ponieważ uznawał jedynie pierwotne wspólnoty sąsiedzkie. Rosja, a zwłaszcza Związek Sowiecki były w jego oczach superpaństwem, a więc tworem demonicznym, skupieniem wszelkiego zła. Wat w młodości był komunistą, a podczas wojny sowieckim więźniem i zesłańcem. W pośmiertnie wydanych

obszernych wspomnieniach pt. „Mój wiek”, dokonywał rozrachunku z sobą i swoim czasem. Nie jestem adherentem tego dzieła, gdyż wbrew rozpowszechnionej opinii mam je za psychologicznie projekcyjne i mało przeto wiarygodne. Postawa lewicowego Wata spotyka się tu jednak z postawą prawicowego Mackiewicza – komunizm rosyjski czyli bolszewizm jest ucieleśnieniem wszelkiego zła, jest właściwie diabłem wcielonym. Nie można go więc poznać – można go wyświęcić i wyświęceniu temu służą coraz bardziej zaciekle demaskacje Mackiewicza (które zżerają jego wyjątkowy talent prozatorski) oraz egzorcyzmy Wata, które go jednak nie oczyszczają. Bynajmniej nie sugeruję, że bolszewizm jest dobrem. Jak się go jednak wyświęca, to się go nie poznaje, a jak się go demonizuje, to się mu ulega.

Biegun niemirowski wydaje się być bardziej oddalony od mentalności potocznej i ma mniej licznych reprezentantów. Nie są oni tak egzotyczni jednak, jak byliby skłonni sądzić klerykowszczy „patriotnicy”. Ideowymi poprzednikami przedwojennych „nacjonal-komunistów” czy powojennych „kuźniczan” nie byli książę Drucki-Lubecki, margrabia Wielopolski czy Aleksander Spasowicz – realistyczna akceptacja tej historycznej siły, jaką stanowiło państwo rosyjskie była im jednak bliska. Modele postaw w konstrukcji interpretacyjnej są czyste, żywe postawy natomiast nie. W klerykowskie nieprzejednanie Żeromskiego wkładała się niemirowska historiozofia Brzozowskiego – świadectwem „Przedwiośnie”, w którym bolszewikom przypisuje się jednak *virtus* niezłomną. „Przedwiośnie” to, nad którym płakali podobno przedwojenni polscy komuniści (bo mieli poczucie wykluczenia ze wspólnoty narodowej, a Żeromski ich do niej przywracał), dało asumpt świetnym wystąpieniom Bruna i Stawara, w których, jako, że byli uczniami Brzozowskiego, pełna gloria padała na bieguna niemirowskiego: Polska wypadła oto z głównego nurtu dziejów, a jego przełom dokonywał się właśnie w Rosji. Więc nie było innego dorzecznego wyjścia, jak w nurt ten bezwarunkowo wskoczyć: „i płonęły w śledczym areście wielkie piece Magnitogorska”. Jan z tego wiersza Broniewskiego w sowieckich dokonał życia arestach, ale o tym Władysław Broniewski jeszcze nie wiedział. Znali natomiast losy polskich oficerów i polskich komunistów „kuźniczanie”, charakte-

rystyczna i wpływowa w pierwszych latach powojennych formacja intelektualna, która historiozofię Brzozowskiego (odrzucając samego Brzozowskiego) podejmie i nada jej kształt dogmatyczny. Kuźniczanie byli właściwie oświeceniowymi progresistami, progresiści w kraju zacofanym muszą być dogmatykami (jak byli nimi Rosjanie drugiej połowy XIX wieku), bo widząc wokół siebie regres, postępowym myślowym chcą go zastąpić. Kuźniczanie, a więc Żółkiewski, Kott, Schaff, Jastrun, Hertz i inni są interesującym przykładem ponieważ nie byli ani fanatykami (jak socrealiści), ani służalcami (jak realsocjaliści). Historia była ich ołtarzem i bili przed nią pokłony, ponieważ byli przekonani (walka z faszyzmem ich w tym utwierdzała), że arcykapłanami tego ołtarza są sowieccy komuniści, przyłączali się do nich, wypisując rozwekłe niestety filozoficzne, socjologiczne i historyczne uzasadnienia. Przed zupełnym zaślepieniem, w które popadli młodociani socrealiści (jeden z nich napisał poemat „Płomienie”) chronił ich racjonalistyczny właściwie etos i oświeceniowy sceptycyzm. Ale i tak stanowią arcytyp bieguna niemirowskiego i dlatego nie zostaną zapomnieni.

Oba te typy postaw nie są moim zdaniem zdrowe, ale nie warto dziś toczyć sporu, która z nich jest lepsza, a która gorsza. Stanowią one pewien nie tyle dorobek, co urobek historyczny i jako takie zasługują na uwagę – w swojej jakości i wzajemnym uwarunkowaniu. Jest jasne, że rozszczepienie takie, w którym całe zło lub całe dobro przypisywane jest bądź jednemu, bądź drugiemu narodowi, samo jest oznaką choroby i jako takie winno być badane. W jawny lub ukryty sposób zakłada ono bowiem nie terapię lecz ekstyrapację jednej ze stron i ekstyrapację taką często uzasadnia. Szukać więc należy źródeł tej choroby, podstaw tego rozszczepienia. Podstawy te kryją się w przeszłości a na historii naszych wzajemnych relacji trzy ciążyły przekleństwa, których historyczne źródła są tak głębokie, jak niektóre tematy tej konferencji. Pierwszym z nich była utrata niepodległości państwowej, drugim – związana z zaborczym uciskiem groźba wynarodowienia, trzecim było i bywa nadal cywilizacyjne zapóźnienie.

Co się tyczy utraty niepodległości, w kontekście rosyjskim zwłaszcza wymaga ona pewnych uściśleń. Wobec żadnego z trzech zaborców kwestia ta nie była tak złożona, jak

wobec Rosji – nie chodziło bowiem o niepodległość gdziekolwiek, chodziło o niepodległość w granicach z 1772 roku. „Całość” Rzeczypospolitej była dogmatem polskiej irredenty i o ten dogmat rozbiły się także wszystkie polsko-rosyjskie rewolucyjne sojusze. Ponieważ z drugiej też strony nie było żadnego, jak wolno sądzić, przez dwieście lat Rosjanina, który byłby skłonny negocjować z Polakami kwestię „guberni zachodnich”. Ta różnica terminologiczna – z polskiej strony są to „ziemie zabrane”, z rosyjskiej „gubernie zachodnie” – najwyraźniej wskazuje radykalną rozbieżność obu perspektyw historycznych. Traktat ryski z 1921 roku, będący swego rodzaju kompromisem, był kompromisem wymuszonym i mentalnie odrzucanym. Polacy swoją niepodległość uznawali za okrojoną – Rosjanie, jako bolszewicy, weszli w sojusz z Hitlerem, aby dokonać „zjednoczenia”. Po drugiej wojnie światowej akceptacja granic jałtańskich była dla Polaków procesem traumatycznym, Rosjanie do dziś dawne „gubernie zachodnie” uważają za swoją strefę wpływów, więc imperium wewnętrzne. Co z tego wynika? To mianowicie, że emocjonalne napięcie splotu polsko-rosyjskiego nie ma swych źródeł w tajemnych celach duchowych obu narodów. Źródłem tym jest całkiem konkretna, wielowiekowa rywalizacja imperialna czy kolonialna, na tych samych, ani nie polskich, ani nie rosyjskich ziemiach. Powstanie na nich niepodległych państw – Litwy, Białorusi, Ukrainy – źródło to powoli zasypuje.

Splot niewątpliwie pozostaje, ale jego emocjonalne napięcie odczuwalnie spada. Jesteśmy bliżej, w sposobie widzenia Rosji Juliusza Mieroszewskiego, który był zarazem historycznym wizjonerem i politycznym realistą niż Stefana Żeromskiego, który, wielki przecież duchem i talentem, nigdy nie pozbył się antyrosyjskiego urazu. Jednym ze źródeł tego urazu była groźba wynarodowienia, które, choć dziś wydaje się całkiem nieprawdopodobne było realne i najmocniej doświadczane w ostatniej ćwierci XIX wieku, a więc w latach dzieciństwa i młodości autora „Syzyfowych prac”. Świadectwem nie tylko ten utwór i mające walor dokumentalny, bo pisane naprawdę dla ćwiczeń, a nie dla chwały „Dzienniki” tegoż autora, ale także całe góry dokumentów osobistych z czasów Hurki i Apuchtina. Rosyjskie szkolnictwo,

zwłaszcza elementarne końca XIX stulecia w „kraju prywiślańskim” jest jedną z najciemniejszych kart w dziejach naszych kulturalnych, jeśli wolno tak powiedzieć, relacji. Urażało ono normom oświaty powszechnej, a w cywilizowanym świecie normy te właśnie były przez państwa wdrażane i strzeżone. Nie tylko jednak horrendalnie niski poziom tego szkolnictwa był groźny, groźne także było jego ostrze antypolskie. Jeśli wierzyć relacjom współczesnych, nie miało ono innego celu, jak tresowanie pozbawionego narodowej tożsamości, tępego carskiego poddanego. Wynarodowienie przez obcą oświatę, realnie będącą ciemnotą jest grozą i groza ta była naprawdę głęboko doświadczana. Jak głęboko – świadectwem z kolei „Dzienniki” Marii Dąbrowskiej, która wolna przecież od antyrosyjskich urazów, w komunistach widzi zaborców, a w stalinistach – rusyifikatorów. I w połowie tego wieku przeżywa na nowo stare groźby. Groźba wynarodowienia prowadzi do odrzucenia Rosji, odrzucenia tak bezwzględnie, jak w powieściach Żeromskiego czy Conrada, który w tej kwestii jest na pewno jego pobratymcem. Ilekroć jednak dzisiaj mamy do czynienia z takim odrzuceniem, trzeba nam wiedzieć, że to odzywa się skarłały uraz przeszłości.

Trzecim przekleństwem naszych wzajemnych relacji jest cywilizacyjne zapóźnienie. Jeśli utrata niepodległości grozi wynarodowieniem, cywilizacyjne zapóźnienie grozi zapaścią, a zapaść, jak to zdarzało się ludom kolonialnym, może oznaczać unicestwienie. Jeśli kwestia narodowa przez ponad dwa stulecia zwracała nas przeciw Rosji, kwestia cywilizacyjna nas z nią łączyła. Ponieważ Rosja była, a poniekąd jest nadal i z pewnym drżeniem obserwujemy jej wewnętrzne zmagania, cywilizacyjnie zacofana. Była jednocześnie, co wydawało się demonicznym paradoksem, zacofana i potężna. W tym paradoksie miały swoje źródło złudne nadzieje, jakie żywili dziewiętnastowieczni polscy realisci i dwudziestowieczni marksiści. Łudzono się bowiem, że jeśli ta potęga się „przebudzi”, co oznaczać miało wyzyskanie jej ukrytych możliwości, to dokona takiego postępu, jaki okaże się skokiem. Zeszłowieczne rosyjskie spory intelektualne o to, czy można przeskoczyć kapitalizm, okazały się mentalnym przygotowaniem takiego skoku. Skok, „jakiego świat nie widział” jest

jednak mentalną figurą realnej bezradności. Im ta bezradność większa – tym wzlot mentalny większy. Jak się nie ma innych sposobów, każdy koń jest dobry, nawet czarny, a może – zwłaszcza czarny. Może być tym koniem Nieczajew, którego heroiczny, polemiczny wobec Dostojewskiego portret, przedstawi w „Płomieniach” Brzozowski. Ale może nim też być już nie w literaturze, lecz w historii, wszechmocna policja polityczna, którą kieruje Feliks Dzierżyński, albo potężna, stojąca za Wisłą armia, jaką dowodzi Konstanty Rokossowski. Do potęgi tej przyłączają się marksiści, odpowiednio preparując racje historii, przyłączają się też realiści, odpowiednio przedstawiając racje geopolityki. Jak daleko posuną się w zwalczaniu swych przeciwników, lub będą zmuszeni się posunąć, czyniąc z nich „polskich reakcjonistów” – oto jest pytanie, które sami będą musieli rozstrzygać. Dziś nie ma już całej tej struktury mentalnej, tak zwane racje historii i racje geopolityki uległy gruntownym zmianom. W Polsce, kiedy tylko zaczął działać mechanizm modernizacji, cała ta struktura mentalna odeszła w przeszłość. Czy i w Rosji już zrozumiano, że po skokach następują nieuchronnie upadki, a im większy skok tym niższy upadek – tego nie wiem.

Czy jest jakiś trzeci, położony pomiędzy tymi przeciwnymi biegunami typ polskich postaw wobec Rosji, jeśli nie całkiem zdrowy (coż znaczy całe zdrowie w kulturze?), to chociaż nie zwyrodniały? Wszędzie tam, gdzie nad taką czy inną (upodloną lub uwzniośloną) emocjonalną legendą Rosji przeważało rzetelne poznanie, któremu nierzadko towarzyszyło uznanie, składały się przesłanki tej trzeciej postawy. Jej załączki mamy już na przełomie wieków, w filozofii Mariana Zdziechowskiego i eseistyce Stanisława Brzozowskiego. Żaden z nich Rosji nie odrzucał i nie był też wobec niej bezkrytyczny – obaj mieli jednak uznanie dla samodzielnie wartościowanych dokonań kultury rosyjskiej i czuli się partnerami jej najwybitniejszych twórców. W dwudziestolecu międzywojennym znakomicie rozwijała się polska rusycystyka, a jej wzorcowym przedstawicielem był, cieszący się światowym uznaniem, Wacław Lednicki. Była też kulturalnie znamieną emigracja rosyjska, a Dymitr Filosofov stworzył w Warszawie *krużok*, który nazywał się „Domik w Kołomnie”, a spotykali się w nim, między innymi, Maria Dąbrow-

ska, Jerzy Stempowski, Jerzy Giedroyc i Józef Czapski. Tenże Czapski, który z poruczenia gen. Andersa, jako pierwszy zajmował się losami polskich oficerów, wówczas uznawanych za zaginionych, napisał o tych perypetiach książkę, której tytuł jest trochę mylący. „Na nieludzkiej ziemi” jest niewątpliwie książką o zbrodni, ale jest też opowieścią o ludziach w Rosji i o Rosjanach, jako ludziach. Jej autor ścierał się potem jako publicysta z rzeźnikami „zoologicznego” na emigracji stosunku do Rosji. Maria Dąbrowska w kraju przerażona, jak już wspominałem, stalinizmem, umiała występować godnie i rozumnie, gdy szło o Gogola lub Tołstoja. Jarosław Iwaszkiewicz starał się zachowywać dystans wobec historycznych aktualności i płacił za to zbyt dużą cenę, ale jego „Petersburg” i „Zarudzie” są to utwory rzadkie i piękne. Przedwojenne jeszcze utwory Stanisława Rembeka („W polu”) i powojenne Igora Newerlego (zwłaszcza „Zostało z uczyty bogów”) wpisują się również w tę postawę. Władysław Terlecki napisał cały cykl powieści ożywionych tą myślą, że stosunki polsko-rosyjskie nawet w najbardziej dramatycznych momentach („Twarze 1863”), były splotem, a nie gwałtem. Niezapomniany i nieoceniony Andrzej Drawicz, we wszystkich swoich postaciach, historycy idei – Andrzej Walicki i Ryszard Przybylski, cała plejada świetnych tłumaczy tego samego pokolenia, stworzyli wspólnie dzieło z którego korzystają teraz ich następcy.

Paradygmata jednak przez całe półwiecze, przeto jedyna w swej mocy i trwałości, była postawa paryskiej *Kultury* – tworzona przez Jerzego Giedroycia, Juliusza Mieroszewskiego, Józefa Czapskiego, Czesława Miłosza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i innych pisarzy, myślicieli, historyków. Kwitować dzieła *Kultury* nie zamierzam, ponieważ dzieło to trzeba studiować. Tak jak studiowało się i studiuje dzieło *Kołokoła*, bo była ona dzwonem XX wieku.

Andrzej MENCWEL

Rzecz wygłoszona na rosyjsko-polskim seminarium, jakie odbyło się w Rosyjskim Państwowym Uniwersytecie Humanistycznym (Moskwa, 11-14 listopada 1997 r.).

Bałtyckie dylematy

Gdańsk. Po kilkugodzinnej podróży autobusem z podberlińskiej miejscowości Börnicke przez wsie i miasta położone wzdłuż polskiego wybrzeża od Szczecina do ujścia Wisły Gdańsk jawi się jak logiczna konsekwencja zauważalnego podczas jazdy postępu gospodarczego terenów Pomorza. Niemiecycy dziennikarze, naukowcy i pracownicy zarządów miejskich ze starych i nowych landów oraz ich kilku polskich kolegów zgodnie konstatają niebywałe tempo rozwoju. Jego wyrazem są zarówno jaśniejsze farbą przydrożne motele, zajazdy i stacje benzynowe, jak też nowo wybudowane wille z zadbanymi ogródkami, czyste ulice mijanych miast, w których nawet jeszcze nie wszędzie do końca odnowione elewacje przyozdabia lub przynajmniej urozmaica wszechobecna reklama wszystkiego, co się tylko da sprzedać. Jest jej więcej, albo może jest tylko bardziej wyeksponowana i agresywna niż np. w Niemczech Wschodnich. Jej ilość przy drogach i jej gigantomania przypomina niektóre rozwijające się szybko kraje Azji. Dużo semantycznych wpływów z Niemiec: *Auto-Schrott*, *Auto-Części*. Dla Niemców, zarówno z landów wschodnich jak i zachodnich, którzy w Polsce byli ostatni raz przed dziesięciu laty, to ogromne zaskoczenie. Dają temu wyraz w rozmowach między sobą i z polskimi uczestnikami wyprawy wzdłuż wybrzeża. Wprawdzie informują o tym niekiedy mass media niemieckie, ale rzeczywistość przemawia bezpośrednio i sugestywniej. Niektórzy z landów zachodnich podkreślają, że w Polsce stało się to bez pomocy z Zachodu. Idą w ruch aparaty, pracują kamery, a odbudowane uliczki Gdańska dopełniają obrazu przemian w 10 lat po upadku komunizmu w Polsce.

Prof. dr A. Januszajtis z Politechniki w Gdańsku szkicuje 10 wieków historii Gdańska. Profesor mówi o historii Prus i Polski, jakby czytał książkę napisaną przez obojętnego Anglika. W jego słowach nie ma sentymentu, są daty i fakty, także fakty latami pomijane w opracowaniach polskich i niemieckich. Na twarzach uczestników niemieckich nie widać cienia powątpiewania w jego słowa. To też świadectwo nowego ducha w stosunkach polsko-niemieckich. Profesor opowiada o niemieckim wkładzie w rozwój miasta tak samo jak o wkładzie innych narodowości. Po II wojnie światowej miasto było zachowane w połowie, ale zostało niemal do reszty spalone i zniszczone w ciągu roku panowania administracji sowieckiej. Pozostało tylko 10% domów. „Rosjanie wszystko zabrali”, mówi profesor ładną niemieczyzną. „Maszyny, urządzenia portowe i meble. My Polacy zaczęliśmy od zera”. Zapytany pod koniec prelekcji o wypędzenie po działaniach wojennych pozostałych jeszcze w mieście Niemców, opisuje fakty i dodaje bez zmiany tonu: „Warto też pamiętać, że zanim odbyło się wypędzenie Niemców, było najpierw wypędzenie Polaków przez Niemców. Jako Polak sam to przeżyłem. Zostaliśmy wypędzeni bez odszkodowania”. Profesor opowiada, że jego rodzina była zamożna i straciła wszystko. Ojciec otrzymał zastrzyk w serce w obozie koncentracyjnym. „Potem Polacy zostali wypędzeni przez Rosjan”. Zapytany o tożsamość kulturową obecnych polskich mieszkańców Gdańska, profesor Januszajtis mówi, że wypędzeni Niemcy oprócz cierpienia i goryczy zabrali ze sobą tradycje, ale w ostatnich latach przywraca się wiele tradycji z czasów niemieckich. Reakcje są żywe, padają pytania konkretne i szczegółowe. Odnosząc się do różnych obrazów historii tych ziem w książkach niemieckich i polskich, profesor wskazuje na istnienie jeszcze w niedawnej przeszłości dwóch nacjonalizmów, niemieckiego i polskiego, które traktowały miasto albo jako wyłącznie niemieckie, albo jako wyłącznie polskie, którym nigdy nie było. Teraz podejdzie to zostało zrewidowane, a młodzi gdańszczanie chcą poznać całościową historię swego miasta.

Spotkanie z władzami miasta. Burmistrz Tomasz Posadzki opowiada o problemach, osiągnięciach i planach Trójmiasta.

Z jego słów emanuje pewność, poczucie realizmu i pragmatyzm. Po zakończeniu reformy administracyjnej w województwie ma mieszkać 2,5 miliona mieszkańców, tyle co w Brandenburgii lub na Łotwie. Już teraz na tym terenie inwestuje się najwięcej kapitału zagranicznego w Polsce, a bezrobocie spadło z 14,6% do 2,5%. Miasto angażuje się w Związku Miast Bałtyckich, liczącym 70 członków i będącym dla Gdańska „obszarem stabilizacji i rozwoju gospodarczego”. Także na obszarze turystyki odbudowane w dużej części miasto planuje dalsze inwestycje z udziałem renomowanych koncernów światowej turystyki. Kryzys w Rosji i w obwodzie kaliningradzkim nie stanowi zdaniem zastępcy burmistrza Andrzeja Stankowskiego zagrożenia dla Gdańska. Najpilniejszą sprawą jest obecnie rozwój sieci komunikacyjnej potrzebnej dla nowo powstałych i powstających zakładów produkcyjnych. Planuje się rozwój nowoczesnej telekomunikacji i sieci finansowo-usługowej. Winę za upadek Stoczni Gdańskiej Stankowski przypisuje członkom „Solidarności”, przyzwyczajonym do stałych zamówień z krajów RWPG, którzy nie przyjmowali do wiadomości zmian po roku 1989. Niemniej w odniesieniu do rozwoju całości miasta i regionu sytuacja wygląda jego zdaniem optymistycznie. Przyczynić do tego ma się m.in. mająca nastąpić wkrótce prywatyzacja rafinerii, elektrowni; są inwestorzy w branży produkcji środków spożywczych. Dotychczas zainwestowały tu przedsiębiorstwa i firmy z Holandii, Włoch, Francji, Austrii, Wielkiej Brytanii i Niemiec. Na pytania dotyczące problemów komunalnych i ekologii odpowiedzi w kompetentny sposób udziela pracowniczka zarządu miasta. Przekonująco dokładne opisy obecnej sytuacji i planowanych zamierzeń. Kierowniczka zarządu jednego z zachodnioniemieckich miast znajduje w polskiej koleżance równorzędną partnerkę i postanawia nawiązać stały kontakt. Wrażenia ze spotkania pozostają jak najlepsze. Nikt ze strony władz miasta nie upiększa rzeczywistości, nie użala się i nie czeka na pomoc. Dla Niemców z nowych i starych landów to lekcja pogładowa na temat znanych nieznanym, jakimi są Polacy dla przeciętnych obywateli Republiki Federalnej. Gdańsk – mała wizytówka polskich przeobrażeń.

Sierpień 1998

Przeście graniczne Gronowo-Mamonowo przypomina granicę wewnątrzniemiecką z czasu podziału Niemiec. Zaorane pasy ziemi, ogrodzenia z drutu stalowego z czujnikami elektrycznymi, tablice ostrzegawcze i uzbrojone patrole. Zbudowany przez polską firmę dla Rosjan nowoczesny budynek odprawy celnej wygląda jak pojazd UFO w środku lasu. To ostatni obiekt „zachodni” na kilka następnych dni. Od tego miejsca historia przez dziesięciolecia pisała osobną kartę dla tego skrawka Europy. Dominujące odcienie szarości mijanych wiosek i miasteczek zięjących biedą i beznadzieją dopełniają obrazu widocznej wszędzie dewastacji i zastoju. Głuchy hałas kół autobusu na nierównościach drogi pomaga znieść panujące milczenie. Nikt nie robi zdjęć. Słowa rosyjskiej przewodniczki, która zgodnie z przepisami dosiadła się na przejściu granicznym, brzmią jak tytuły z gazet: problemy socjalne prostych ludzi po upadku kołchozów i sowchozów, nadzieja na zachodnie inwestycje, oczekiwania na kapitał niemiecki. Zrujnowane gospodarstwa chłopskie to wina systemu socjalistycznego, mówi Galina Pawłowa. Jego najgorsze ofiary to jednak przede wszystkim sami ludzie, których pozbawiono i oduczone samodzielnej inicjatywy, i którzy dziś są bezradni w nowej rzeczywistości.

Königsberg, Kaliningrad, Królewiec. Po wjeździe do miasta nie ma najmniejszych wątpliwości, że to Kaliningrad. Z Königsbergu pozostały tylko trasy ulic, kilka masywniejszych obiektów z czerwonej cegły i gdzieś tam zmurszałe niszczące kamienice na obrzeżach. W centrum jaskrawo żółte i szaro-białe kolory bloków mieszkalnych, biednie wyglądający ludzie o smutnych twarzach na przystankach i chodnikach. Kilka sklepów z elektroniką znanych firm zachodnich i luksusowych perfumerii, duży pawilon odzieżowy polskiej „Wólczanki”, reklama coca-coli i polskiego piwa EB. Tylko to przypomina o Europie. Przytłacza wszechobecny nastrój marazmu i brzydoty. Na ulicach błyszczą limuzyny i średniej klasy samochody najlepszych firm niemieckich. Niemal nie widać samochodów rosyjskich.

Wykład w sali jednej z filii uniwersytetu. Nieśmiała nadzieja, że w którejs z znajdujących się tam ławek siedział być może kiedyś sam Immanuel Kant, łagodzi przygnębiające wrażenie postępującej ruiny. Niemieccy uczestnicy niepewnie się uśmiechają, zajmując w nich miejsca, zaś dyrektor Polskiego Radia Wrocław, Lothar Herbst, raz po raz kręci głową i mruży jakby sam do siebie: „I pomyśleć, że oni chcieli zaprowadzić ten swój porządek na całym świecie”. Doktor Władimir Gilmanow opowiada o sytuacji obwodu kaliningradzkiego. Jego idealistyczne oczekiwania nowego ducha europejskiego, który mógłby przewyciężyć myślenie w kategoriach ekonomicznych, przypominają rozpaczliwy apel o pomoc, w którym zraniona duma i upokorzenie obywatela potężnego jeszcze do niedawna mocarstwa, miesza się z bezlitosną krytyką panującej sytuacji. Mówi, że po upadku Związku Sowieckiego, w obwodzie powstał problem regionalnej tożsamości. Pomocni w pierwszym momencie byli Niemieccy inwestorzy, szukający możliwości zainwestowania kapitału. Nadzieje na ich zaangażowanie jednak się nie ziściły, pozostała tylko pustka i niezdefiniowany strach przed regermanizacją. Sytuację dominują obecnie ogromne kontrasty, z jednej strony panująca bieda, prostytutka dzieci na ulicach, a z drugiej strony luksusowe limuzyny i miliony dolarów przegrywanych w kasynach gry. Panuje nastrój końca świata. Jedyne odbudowywana katedra królewiecka pomaga w orientacji i określeniu nowej tożsamości w oparciu o przeszłość, mówi Gilmanow. Obwód powinien uzyskać status specjalnego regionu gospodarczego, ale pozostać integralną częścią Rosji. Jednak Moskwa nie ma jego zdaniem żadnej recepty na dalszy rozwój sytuacji, produkcja nadal spada, drastycznie zmniejszyły się zarobki, mnożą się strajki, a około 40% mieszkańców żyje poniżej minimum socjalnego wynoszącego w przeliczeniu 25 marek miesięcznie, zwiększa się wskaźnik umieralności. Bezrobocie znacznie przewyższa oficjalny wskaźnik 16%, rośnie przepaść między bogatymi i biednymi. Efektem tego jest rosnąca przestępczość, alkoholizm i katastrofa ekologiczna. A przecież, mówi Gilmanow, obszar ten mógłby stać się jednym z najważniejszych filarów stosunków rosyjsko-niemieckich. Musiałyby jednak w nim pozostać rosyjskie bazy wojskowe, także ze względu na

rozszerzenie NATO, które jest „dużym błędem moralnym Europy”. Konieczne jest też prawo powrotu dla wypędzonych lub ich potomków i zwrot ich byłych majątków, jednak bez naruszania praw własności dzisiejszych właścicieli. Polska powinna wyzbyć się lęków przed regermanizacją tych terenów.

Spotkanie w Domu Rosyjsko-Niemieckim. Zbudowany w roku 1993 ma służyć kultywowaniu i nauczaniu niemieckiego języka i tradycji wśród przybyłych do obwodu „Niemców nadwożańskich”. Obecnie w ogółem 10 regionach obwodu jest ich około 6000. Wielu z nich wykorzystuje kursy nauki języka niemieckiego i obsługi komputerów w celu wyjazdu do Niemiec. Przedstawiciel Izby Handlowej z Hamburga Stephan Stein nie pozostawia cienia wątpliwości co do katastrofalnej sytuacji tego regionu. „Unia Europejska nie może sobie pozwolić na istnienie w bezpośrednim sąsiedztwie strefy problemów militarnych i socjalnych”, mówi i dodaje, że już z tego powodu pomoc Zachodu jest tu konieczna. Głównym problemem są jednak niejasne zamiary Moskwy, które oscylują między utrzymaniem tego regionu jako bazy wojskowej a utworzeniem specjalnej strefy gospodarczej. Pomoc doradców z Unii Europejskiej odbierana jest jako próba szpiegowania przez Zachód. Obwód jest jego zdaniem najsilniej zmilitaryzowanym obszarem Europy. Według niepotwierdzonych szacunków, że 120 000 wojskowych pozostało jeszcze 80 000, nadal pozostaje tam broń atomowa. Z całą pewnością wojskowi nie oddadzą portu w Bałtiju, z którego nawet w zimie rosyjskie okręty mogą w krótkim czasie wypływać na Morze Bałtyckie. Z pomysłu stworzenia „specjalnej strefy gospodarczej” pozostały tylko pewne elementy, jak np. bezcłowy import, co ułatwia także szmugiel alkoholu.

Pojawienie się Datskiego jako oficjalnego przedstawiciela „Komitetu Rozwoju Specjalnej Strefy Ekonomicznej Jantar” zamyka Steinowi usta. Bijący programowym optymizmem obraz rysowany przez urzędnika diametralnie odbiega od opisu Steina. Trzeba ograniczyć import zachodnich towarów, który zagraża gospodarce rosyjskiej. Do priorytetów należy

budowa domów dla oficerów, rekonstrukcja portu, kolei i autostrady. „Trzeba przeprowadzić korytarz przez Litwę do Rosji”. Trwają poszukiwania inwestorów w rybołówstwie, są plany rozkręcenia przemysłu energetycznego. Nie brak wysoko wykwalifikowanej i bezkonkurencyjnie taniej siły roboczej z zakładów produkcji sprzętu wojskowego. O oddzieleniu obwodu od Rosji nie może być mowy, broni atomowej już tu nie ma, a liczbę stacjonujących żołnierzy Datskiej podaje o cztery razy mniejszą niż Stein. Ponieważ musi się śpieszyć, nie kończy swych wizji rozwoju obwodu kaliningradzkiego.

Większość elementów wypowiedzi Datskiego Stephan Stein poddaje wieczorem dogłębnej rewizji. Po 10 latach życia w Rosji jego wiedza na temat problemów obwodu jako uznanego fachowca ds. gospodarczych nie podlega wątpliwości, a poparta analizą faktów powoduje powrót do rzeczywistości. „Administracja w Kaliningradzie nie jest w pełni świadoma problemów, jakie czekają obwód”. Koszty produkcji są wprawdzie niższe o 20% niż np. w Petersburgu, ale nie znalazło to odbicia w takich kluczowych branżach jak budowa urządzeń, maszyn i telekomunikacji. Z wszystkich zagranicznych inwestycji w Rosji na obwód przypada tylko 0,2%. Inwestorów zachodnich, przede wszystkim zaś średnie i małe firmy odstrasza autokratyczne struktury. Z oficjalnie zarejestrowanych firm zachodnich pozostała już tylko jedna trzecia. Prawa i przepisy przeczą sobie nawzajem, także przepisy podatkowe. Przedsiębiorcy są wprost zmuszeni do prowadzenia nielegalnych rozliczeń. Największe szanse dla inwestorów Stein widzi w branży spożywczej. Z powodu braku kapitału nie ma mowy o rozwoju rolnictwa, cała wieś stanowi jeden wielki problem socjalny. Chcąc ułatwić angażowanie się niemieckich inwestorów, zaplanowano na wrzesień otwarcie biura wizowego RFN w Kaliningradzie. Co dotyczy obecności broni atomowej i pozostania także w przyszłości dużego kontyngentu wojskowego w obwodzie, Stephan Stein nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

W surowo strzeżonym obwodzie kaliningradzkim są miejsca jeszcze bardziej strzeżone. Należy do nich zarezerwowany tylko dla wojskowych i ich rodzin obszar wokół miasta

i bazy okrętów wojennych Bałtyjsk (dawniej Pillau). Dzięki zabiegom niemieckiego MSW autobus może wjechać na teren. Całe miasto przypomina niszczone i opuszczone koszary. Na redzie przycumowany był sowiecki okręt szpiegowski, który przez lata był zadeklarowany jako statek do badań naukowych i cumował w pobliżu portów zachodnich, prowadząc nasłuch radiowy. Teraz mieszkają w nim rodziny wojskowych wycofanych z Niemiec Wschodnich i innych krajów byłego bloku wschodniego. Nieco dalej widać nieruchawe molochy okrętów wojennych i eskadry małych łodzi torpedowych. Cywilny burmistrz Aleksander Kuzniecowa mówi o przyszłości miasta jako celu dla turystów. Twierdzi, że międzynarodowy kapitał na rozbudowę portu już jest. W roku 1999 wojskowi mają całkiem otworzyć dostęp do miasta. Wprawdzie gubernator obwodu ma inne zdanie na ten temat, ale Kuzniecowa widzi szanse w Moskwie. Kierownik Biura Euroregionu Pomerania Andrzej Kotula, uśmiecha się tylko sceptycznie, kiedy pytam go o możliwości współpracy z Bałtyjskiem.

Wirtualna podróż w przeszłość Prus Wschodnich na trasie Kaliningrad – Czerniachowsk (Instenburg) i Gusjew (Gumbinnen). Niemieccy znawcy tych terenów zaopatrzeni w mapy, przewodniki i albumy rysują obraz nieistniejących już wsi, dworów i kościołów, z których tylko gdzieś gdzie pozostały niszczone ruiny i kikuty wież. Poraża stan domostw, wsi i miasteczek. Ze swej strony rosyjska przewodniczka Pawłowa opisuje przyczyny zniszczenia wsi i prosperujących kiedyś gospodarstw. „Jesteśmy krajem bogatym w surowce i siłę roboczą, ale wszystko to stało się przez ten system”, mówi i dodaje po chwili milczenia panującego w autobusie: „Nie tylko Państwo jesteście smutni z powodu stanu wioski, my też”.

Postój w miasteczku Prawdinsk (dawniej Friedland). Niemieccy uczestnicy podróży studyjnej fotografują pozostałe domy i odbudowywany przy pomocy z Niemiec kościół. Przed jednym z domów obserwuje przybyśców staruszka z kilkuletnią wnuczką. Pyta po niemiecku, skąd przyjechaliśmy. Ona sama niedawno przybyła tu z Kubania nad Morzem

Czarnym. Ma 75 lat i jest tu jedyną Niemką Nadwożańską. „Moje wszystkie dzieci są Rosjanami. Mój mąż też był Rosjaninem”, mówi. Córka jest teraz w Niemczech, a ona sama pozostaje tu na razie z wnuczką. Nie są tu lubiani, dodaje z uśmiechem. Mówią na nich „Niemcy”. Rozmowie przysłuchuje się Lidia Figur, jak się okazuje także Niemka nadwożańska, która rozgląda się tu za mieszkaniem. Na kupno domu jej nie stać. Przyjechała tu z córką i dwojgiem wnuków. Jej matka pojechała do Niemiec. Czy ona też tam pojedzie, jeszcze nie wie. Krótka historia, jak spojrzenie z okna autobusu. Zdjęcie. Mieszkańcy miasteczka przyglądają się z daleka. Nikt nie podchodzi, oprócz kilkorga dzieci, które proszą o cukierka i *eine Mark*.

Gusjew. Wizyta w nowo odbudowanym kościele za pieniądze z Niemiec. Młody pastor Haio Osterwald opowiada o swej pracy w gminie kościelnej. Obecnie liczy ona ponad 40 członków, z czego połowa to Niemcy nadwożańscy. Większość z nich to ludzie starzy i zdani na opiekę. Kościół troszczy się o nich, są także możliwości rozrywki dla dzieci. Oferta jest skierowana dla wszystkich, co ma ułatwić integrację gminy w mieście. Owszem, pomoc materialna jego gminy przyciąga także wyznawców prawosławnych, mówi pastor, ale to zjawisko naturalne. Stosunki z księżmi prawosławnymi są dobre, co jednak jest raczej wyjątkiem.

Lipowo. Piotr Kozłow – dyrektor liczącej 10 000 ha ziemi „asocjacji” mówi o problemach przedsiębiorstwa. W jego skład wchodzi kilkanaście prywatnych gospodarstw rolnych. Po prywatyzacji wielu sowchozów i kolchozów zaczęli w roku 1993 od 1000 ha. 90% powierzchni rolnej asocjacji to własność prywatna. Każdy członek rodziny chłopskiej może posiadać prywatnie 50 ha ziemi. Przy dzierżawie nie ma ograniczenia. Ziemię można sprzedać, przekazać w spadku lub oddać w dzierżawę. Obecnie produkują warzywa, w przyszłości chcą postawić na hodowlę trzody. Maszyny rolnicze nabyli w Niemczech od byłych enerdowskich pegeerów. Jednym z największych problemów jest niestabilna sytuacja finansowa w Rosji. Pieniądze za produkty otrzymują z dużym opóźnieniem. Na reaktywację zdewastowanych poniemieck-

kich systemów melioracyjnych nie ma pieniędzy. W asocjacji jest tylko jeden inwestor zagraniczny ze 100% udziałem kapitałowym. Początkowa pomoc dla kilku istniejących od 1992 roku gospodarstw Niemców nadwożańskich wywoływała zazdrość rolników rosyjskich. Teraz korzystają z niej również oni.

Rekonesans po sklepach w Kaliningradzie. Niemal wszystkie środki spożywcze są z importu: czeskie piwo, bułgarskie wino, polskie przetwory mięsne i środki czystości, niemieckie jogurty i sery. Mimo że ceny jak na Zachodzie, ludzie za ostatnie pieniądze zaczynają wykupywać masowo towary. Grasuje niepokój, że Niemcy chcą kupić Kaliningrad za 150 miliardów dolarów minus 60 miliardów marek długu rosyjskiego w Niemczech. Wiadomość podała *Kaliningradskaja Prawda*. W artykule dostaje się wszystkim, moskiewskim liberałom, niemieckim i polskim inwestorom, NATO i Unii Europejskiej. Strach przed zagarnięciem obwodu przez Niemców powoduje, że w niedalekim Sowjetsku ludzie w panice zaczynają płacić nawet zaległe czynsze, by móc pozostać w mieszkaniach po wkroczeniu Niemców. Surrealizm i paranoja. Publicysta i komentator poczytnego dziennika berlińskiego *Der Tagesspiegel*, Christoph von Marschall, napisze później po powrocie, że „niemieccy turyści po pierwszym szoku po przybyciu do Kaliningradu mówią, że nie chcieliby go dostać nawet w prezencie”.

Przejście graniczne na cyplu łączącym na północy obwód kaliningradzki z Litwą. Już po pierwszych kilkuset metrach jazdy ponownie „Zachód”. Po kilku dniach w Kaliningradzie szok cywilizacyjny, tyle że tym razem pozytywny. Czyste i zadbane obejścia, otynkowane i pomalowane domy z ogródkami, dobrze utrzymane drogi i zapraszające do wejścia restauracje, hotele i zajazdy. Wszędzie ogłoszenia o wolnych pokojach dla turystów. Aż trudno uwierzyć, że to możliwe. Im dalej z tyłu zostaje Kaliningrad, tym bardziej nierealne wydają się obrazy ostatnich dni. Kilku niemieckich uczestników pyta kierownika grupy, dlaczego polscy koledzy nic dotychczas nie mówili o swych wrażeniach. Lothar Herbst wrusza ramionami. „A co mamy mówić, przecież my o tym wiedzieliśmy. To dla nich nowość”, odpowiada, kiedy mu

o tym mówię. Litewska germanistka Grażyna Cekanaukiete z nieukrywaną dumą opowiada o rozwoju Litwy po uzyskaniu niepodległości. Jej pełne optymizmu słowa działają jak oczyszczająca kąpiel po lepkiej mgłę beznadziei osnuwającej obwód kaliningradzki.

Kłajpeda. Spotkanie z dziennikarzami miejscowej gazety potwierdza pierwsze wrażenia z pobytu na Litwie. Kłajpeda należy do najbardziej dynamicznie rozwijających się miast w kraju. Około 60% wszystkich zatrudnionych pracuje w porcie oraz w dużych zakładach produkcyjnych i przetwórstwa rybnego. Rozwija się życie kulturalne, a od roku 1991 kwitnie też życie uniwersyteckie. Mimo że ponad 20% mieszkańców to przeważnie Rosjanie lub przedstawiciele innych narodowości, nie ma na tym tle konfliktów. Istnieją rosyjskojęzyczne przedszkola i szkoły. Istotnym problemem jest uzależnienie portu od przewozu towarów rosyjskich stanowiących dużą część masy przeładunkowej, co wpływa na sytuację gospodarczą miasta.

Przedstawiciele władz miasta potwierdzają słowa dziennikarzy. Po modernizacji portu, który jest największym pracodawcą i zatrudnia 18 000 ludzi, ma on przeładowywać rocznie 18 milionów ton towarów. Spośród ogółem 240 firm, 80 znajduje się w rękach niemieckich. Po wycofaniu się wojsk rosyjskich liczba mieszkańców nieco zmalała, ale obecnie utrzymuje się na stałym poziomie. Dużym problemem jest bezrobocie wśród kobiet i osób po studiach wyższych, które uprzednio pracowały w rosyjskich instytucjach, rozwiązanych po wycofaniu się Rosjan. Z 31 członków rady miasta 7 reprezentuje partię rosyjską, do której należą przeważnie Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy. Miasto posiada umowy partnerskie z 18 miastami w Niemczech. Istnieją kontakty naukowe i kulturalne. Niemieccy i litewscy historycy zamierzają wydać wspólną książkę do nauki historii. Do najważniejszych aspektów polityki zagranicznej należą m.in. dobre stosunki z Rosją i Białorusią, mówi poseł do litewskiego sejmiku Statsys Malkevicius. Przynależność Litwy do NATO i Unii Europejskiej jest konieczną w celu zapewnienia stabilnych struktur w tym regionie.

Wizyta w zakładzie produkcji elektrycznych podzespołów samochodowych Siemens. Dyrektor Fuchsschwanz wskazuje na jednoznaczne zalety wyboru Kłajpedy na miejsce inwestycji. Zalicza do nich m.in. dobre połączenia komunikacyjne z Zachodem, wykwalifikowanych robotników z ogromną motywacją oraz minimalną absencję przy niskich kosztach produkcji. Z tego powodu zamknięto podobny zakład w Niemczech i zbudowano tutaj w roku 1993. Zakład zatrudnia 1250 osób, przeważnie kobiety, z których 80% przeszło w nim odpowiednie przeszkolenie. Brak jest natomiast wykwalifikowanych specjalistów, którzy mogliby w nim przejąć funkcje kierownicze. Zarobki są nieco wyższe niż przeciętne, tydzień pracy wynosi 40 godzin, chorobowe zakład płaci tylko przez pierwsze dwa dni, urlop roczny wynosi 20 dni roboczych w roku. O takich warunkach zakłady w Niemczech nie mogą nawet pomarzyć. Dla zatrudnionych Litwinów to jednak ogromna szansa, wzięwszy pod uwagę fakt, że – jak przeczytał w jednej z gazet – 40% Litwinów nie je kolacji z powodu braku pieniędzy, a temperatura w jego zakładzie, wynosząca 22 stopnie Celsjusza, jest w zimie wyższa o około 7 stopni niż w ich mieszkaniach. Po początkowych planach wprowadzenia dla załogi kursów niemieckiego, odstąpiono od tego pomysłu na rzecz kursów angielskiego, jako języka porozumiewania się w zakładzie. To nawet lepiej, mówi Fuchsschwanz.

Andrzej STACH

Adam Tadeusz BAKOWSKI

ANATOMIA DOBASTANIA: WIERNOŚĆ

Nie tylko posierać serwą
palca powietrze, leplum
młodemu potu miłe się do upału,
wciąż czuć wilgość w sobie jak

Wiersze

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

NACZYNIIE, NATCHNIENIE

Mistrz kazał nam napisać
wiersz o naczyniu z wodą.

Wypełniłem naczynie wodą,
czekałem natchnienia

Gdy byłem już gotów, spostrzegłem,
że woda wyparowała.

Nie pogodziła się z formą naczynia.
Czy znalazła inną?

Odebrało mi to chęć
pisania o naczyniu z wodą.
I będę bardziej nieufny
wobec tematów Mistrza.

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

Tadeusz CHABROWSKI

OSET

Żyję jak asceta, moja skóra powleczone
drobnymi kolcami, pierzasty papus
jak w wielkim poście fioletowy;
żadnego niepotrzebnego oddechu marzeń,
równowagę między badylem i aniołem
w sobie utrzymuję stojąc
całymi godzinami na jednej nodze.

W surowości i karności ducha
utrzymuję też moje myśli: nic z gniewu,
nic do śmiechu, nic z Hegla, Spinozy
lub Schopenhauera, nic z utrapień
tłustego Buddy. Do zbawienia potrzebuję
tylko skrzydeł i czulej jak westchnienie
jesieni.

Tadeusz CHABROWSKI

Mirosław DZIEN

ANATOMIA DORASTANIA: WIERNOŚĆ

Nic tylko pocierać sierścią
palca powietrze, lepkiem
miodem potu tulić się do upału,
wciąż czuć wilgoć w sobie jak

roślinę, której potrzeba czasu,
więcej czasu na wzrost
i owocowanie.

Najbardziej
bolą niewidoczne zadrapania
podobne do żyłek na kieliszku,
trudne do zagojenia jak liszaj.

Nic tylko chronić spinę
wierności wpiętą w imię,
pamiętać o jej kształcie
i kolorze, nie pochylać
– pod żadnym pozorem –
zbyt nisko głowy, drzeć
na samą myśl o tym, że
mogłaby wysunąć się
i zgubić na wietrze.

Bielsko 29.07.-18.08.1998

POWIEDZIAŁEŚ

Powiedziałeś już wiele,
(zbyt dużo), a teraz przychodzą
gody ciszy, zmowa milczenia
szurającego gestem po ściernisku;
tak, przychodzi (już jest) płacz
bez łez, krzyk owocujący pod
skórą sinym bielmem, wzbiera się,
puchnie na uśmiechu makijaż
– niezauważalny jak pełnia.

Miroslaw DZIEN

Wojciech KAWIŃSKI

PO DŁUGIEJ ROZMOWIE

Bogusławowi Żurakowskiemu

stare dzieje, stare
pejzaże, stare stepy Ukrainy;

dalej na południe Prut, Czeremosz,
rude zbocza Karpat, zakurzony
w słońcu Kiszyniów, promienna Odessa
gdzie buszował Benia Krzyk –

jeszcze się czasem śni Lwów,
Stanisławów (niektórzy twierdzą:
podobny do Opola), besarabskie trawy,
kolor nieba, smak przestrzeni –

stare dzieje są w nas
odchodzących;
jeszcze nie odeszły
spisane w pamięci, mroczne
od krwi, łez i prochu, wyrzucone
na brzeg cementowy, ścięte
mrozem, cierpkie, podobłoczne –

zza szczelnej zastłony
patrzą na fakty nie-święte
teraźniejszości
ci, którzy pajęczyną świata,
głębią słów najprostszych,
ciszą
wielu znaczeń –

nie słyszą
złorzeczeń, nawoływań, wyznań,

modlitw, głośnych czynów
zgiętych jak krzywizna –

słońce gaśnie
nad krzakiem jaśminu –

1998

Wojciech KAWIŃSKI

Leszek SZARUGA

OSTATNIE TCHNIENIE

od pewnego momentu
wzruszają się umieraniem
Panie piszą dni moje
są policzone nie zdążę
przebaczyć nie zdążę dać
świadczenia oto już
nadszedł koniec śmierci
ostatni akord i stuk
grudek ziemi o wieko
trumny a oni
stają dostojni napięci
jak struna
eolskiej harfy tymczasem
w oddali wybuchają
wulkany eksplodują
słowa trwa
życie jak zwykle
nieskończone

Leszek SZARUGA

Grzegorz WRÓBLEWSKI

PROPOZYCJA NA CZERWIEC

W ilu językach porozumiewają się ptaki?
Czy jesteśmy jedyną cywilizacją w kosmosie?
Dlaczego każdego lata rodzi się tyłu głupców?

Zróbmy z tych pytań loterię albo inny łańcuszek
szczeroci i roześlijmy je do swoich najbliższych.
Po tygodniu otrzymamy pierwszą zaskakującą odpowiedź.

PTAKI NADLATUJĄCE DZISIAJ OD STRONY MORZA

Ptaki nadlatujące dzisiaj od strony morza
otwierają z wrażenia dzioby,
jakby wcześniej nas tu nigdy nie było.

WIELOLETNIA ZNAJOMOŚĆ

Wybacz, ale są rzeczy, o których wolę milczeć.
Gdybym Ci to wszystko powiedział,
Nasza wieloletnia znajomość z miejsca
Zamieniłaby się w szybką i nietrwałą miłość.
Miałabyś wtedy do mnie uzasadniony
Żal.

Grzegorz WRÓBLEWSKI

Archiwum polityczne

Szósty kanclerz

Stosunki pomiędzy Polską a Republiką Federalną Niemiec, oprócz obciążenia trudną przeszłością, pełne są osobliwości a nawet legend i mitów. Już mało kto pamięta, że w latach 70-tych w PRL na określenie „bońskiej republiki” pojawiła się nowa nazwa; uprzednio z przyczyn politycznych, brzmiała ona „Niemiecka Republika Federalna”. Zmiana nastąpiła po zawarciu układu Bonn–Warszawa, któremu towarzyszyła wizyta kanclerza Willy Brandta w Polsce w grudniu 1970 r. Zapisała się w pamięci spektakularnym gestem zachodnioniemieckiego szefa rządu – klęknięciem przed Pomnikiem Bohaterów Getta. Początkowo wywołało to w Warszawie pewne zakłopotanie, ale później propaganda PRL potrafiła wykorzystać ten gest dla własnych celów. Reakcje w Bonn, nawet w szeregach SPD, były ambiwalentne, zwłaszcza, że nie wszyscy wiedzieli dokładnie, gdzie właściwie klęknął Brandt. Część polityków w RFN myślała, że ów spektakularny gest miał miejsce przed Pomnikiem Nieznanego Żołnierza (tam niemiecki kanclerz złożył wieniec). Wydaje się, że powstała fikcja była następnie na rękę obu stronom i nikt nie próbował skorygować błędnej wersji. Uczynił to dopiero po latach bliski współpracownik i przyjaciel kanclerza, czołowy polityk SPD – Horst Ehmke. W wydanych w 1994 r. wspomnieniach, przytoczył reakcję Brandta na krytykę po powrocie z Warszawy: na zarzut, że wielu Polaków zareagowało na jego gest konfuzją, kanclerz odpowiedział: „tego nie chciałem im oszczędzić”¹.

1. Mittendrin, von der Grossen Koalition zur Deutschen Einheit. Berlin 1994, s. 125.

Brandt wiedział zatem gdzie klęka i dlaczego. Natomiast po latach prezydent RFN profesor Roman Herzog, w czasie pierwszej wizyty w Polsce połączył w przemówieniu datę 1 sierpnia 1944 r. z powstaniem w getcie warszawskim. Przeprowadzone niedawno wśród niemieckich studentów ankiety wykazały, że pod pojęciem „Powstanie Warszawskie” rozumieją właśnie walkę Żydów w 1943 r. Nie jest to jedyny przykład braków w elementarnej wiedzy o stosunkach polsko-niemieckich w XX wieku.

Proces, który doprowadził do obecnego bezprecedensowego stanu harmonii na linii Polska–Niemcy jest tematem pracy Dietera Bingena o polityce „Republiki Bońskiej” wobec Warszawy². Książka, nie rezygnując z charakteru rozprawy naukowej, adresowana jest do szerokiego kręgu odbiorców a szczegółowe przypisy umożliwiają dotarcie do dalszej, w Polsce mało znanej, literatury przedmiotu. Autor uwzględnił ponadto wykorzystane dotychczas w niewielkim stopniu źródła archiwalne, głównie dokumenty bońskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Praca zasługuje na tym większą uwagę, że w PRL literatura niemcoznawcza poddana była surowej kontroli politycznej.

Moralny wymiar decyzji podejmowanych nad Renem, jest nie tylko stałym wątkiem rozważań autora, lecz również podstawową kategorią oceny polityki poszczególnych kanclerzy. W kontekście balansu historii optyka ta jest w pełni uzasadniona. Podobnie jak w wypadku trudnej problematyki stosunków Niemiec z Francją czy z Izraelem, politycznemu zadaniu normalizacji towarzyszyć musiał moralny wymiar pojednania. Ale stosując właśnie te kategorie można dojść, przynajmniej w ocenie niektórych aspektów polityki rządów RFN wobec Polski – do wniosków odmiennych od stanowiska Bingena.

Do momentu ostatecznego unormowania stosunków polsko-niemieckich w 1991 r. polityka Bonn odznaczała się pewnymi stałymi wyznacznikami, które nb. były mało znane opinii publicznej w Polsce. RFN, nie uznając państwowości sztucznego tworu, jakim było NRD, reprezentowała – na

2. „Polityka Republiki Bońskiej wobec Polski. Od Adenauera do Kohla 1949-1991”. Kraków 1997, ss. 339.

mocy postanowień Ustawy Zasadniczej – cały naród niemiecki i – przynajmniej teoretycznie – zobowiązana była porządkować swą politykę dążeniu do zjednoczenia Niemiec. Do tego dochodziły uwarunkowania prawa międzynarodowego: cztery mocarstwa, zwycięskie w II wojnie światowej, były odpowiedzialne za Niemcy jako całość, rząd w Bonn nie mógł zatem w pełni samodzielnie uregulować całokształtu stosunków Niemiec z sąsiadami. W odniesieniu do Polski sprawą najdrażliwszą był problem granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, który – znów w kategoriach prawa międzynarodowego – mógł być ostatecznie rozwiązany dopiero w traktacie pokojowym. Władze PRL reprezentowały odmienne stanowisko, choć nawet Gomułka był świadom, że sprawa nie jest zupełnie jednoznaczna. W 1969 r. miał zwierzyć się Mieczysławowi Rakowskiemu:

„Publicznie mówię, że w Poczdamie ostatecznie potwierdzono naszą granicę zachodnią, ale to nieprawda (...) nasza granica jest problematyczna. W Poczdamie w kwestii naszej granicy Stalin zostawił małą furtkę, taką smycz, na której można by wodzić Polskę”³.

Warto dodać, a przypomniał o tym generał Kiszczak, że w 1945 r. Polska – „w porozumieniu i za zgodą radzieckiego dowództwa wojskowego” – zajęła Szczecin, Nowe Warpno, Świnoujście, czyli tereny na zachód od Odry⁴. Tymczasem w uzgodnieniach konferencji poczdamskiej mówiono o „linii Odry-Nysy”. Przyłączenia Szczecina i powiatu Nowe Warpno dokonano w oparciu o praktycznie zastosowaną przez Sowieców zasadę *divide et impera*.

Z drugiej jednak strony już Adenauer zdawał sobie sprawę, że dawne niemieckie tereny wschodnie są stracone a także zachodni sojusznicy RFN nigdy nie robili Niemcom nadziei na odzyskanie ziem na Wschodzie. Kwestia granicy

3. M.F. Rakowski: „Journalist und politischer Emissär zwischen Warschau und Bonn”, w: F. Pflüger, W. Lipscher (red.): „Feinde werden Freunde. Von den Schwierigkeiten der deutsch-polnischen Nachbarschaft”. Bonn 1993, s. 150.

4. Por. W. Bereś, J. Skoczylas: „Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko”. Warszawa 1991, s. 121.

polsko-niemieckiej była zatem – paradoksalnie – elementem wykorzystywanym w polityce wewnętrznej RFN, głównie w walce o głosy wyborców. Ekspozowanie „tymczasowego charakteru linii Odry-Nysy” pełniło funkcję instrumentalną, żaden z rządów zachodnioniemieckich nie prowadził polityki, która w rzeczywistości miałaby prowadzić do odzyskania utraconych na Wschodzie terenów (a należała do nich również część Prus Wschodnich, zajęta przez ZSSR; fakt, że tego problemu nie podkreślano, potwierdza jedynie instrumentalny charakter dyskusji na temat Odry i Nysy). Bezpośrednio po zakończeniu wojny istniał w Niemczech *consensus* w sprawie tymczasowości „polskiej administracji” niemieckich *Ostgebiete* (nb. dokonane po myśli Stalina przesunięcie Polski na zachód, implikujące straty na wschodzie, miało początkowo przeciwników w środowisku polskiej emigracji politycznej).

Właśnie dlatego, że rząd Brandta postanowił zmienić dotychczasową politykę wobec Warszawy, Bingen podkreśla moralne walory tej decyzji. Bez wątplenia zapewnienie trwałości granicy zachodniej leżało w polskim interesie narodowym; stanowisko rządzących i rządzonych było w tej sprawie zgodne. PZPR wykorzystywała propagandowo fakt, że Związek Sowiecki był gwarantem granicy na Odrze i Nysie. Ale sprawa deklaracji w sprawie granicy była tylko jednym elementem nowej koncepcji *Ostpolitik* a właśnie moralny wymiar tych zagadnień – w kontekście ówczesnego podziału Europy – nie jest, jak sądzę, tak jednoznaczny, jak pokazuje to Bingen. Przeciwstawia on bowiem nową politykę rządu Brandta utrwałonej uprzednio, a wypracowanej jeszcze za czasów Adenauera, linii. Ta zaś oparta była na konsekwentnym antykomunizmie i uwzględnieniu faktu, że narody Europy Wschodniej znajdują się wbrew swej woli pod sowiecką dominacją. W 1958 r. Adenauer oświadczył w Bundestagu, że jedynym interesem łączącym Niemcy i Polskę jest „zwalczenie komunizmu”. W latach 80-tych, gdy niezależna opinia publiczna w Polsce dzięki istnieniu ruchów opozycyjnych mogła artykułować własne przekonania, wyrażano podobne opinie. I w końcu ostateczne uregulowanie stosunków polsko-niemieckich, jak również zjednoczenie Niemiec, mogło nastąpić dopiero wówczas, gdy skończyły się rządy komunistyczne.

Détente i nowa polityka wschodnia Brandta (a – powtórzmy – kwestia granicy na Odrze i Nysie była zaledwie jednym, choć szczególnie drażliwym ich elementem), zmierzły nie tylko do utrzymania *status quo* w Europie, lecz wręcz do stabilizacji bloku sowieckiego. Głównym partnerem politycznym dla Bonn była Moskwa, dla której „odprężenie” nie było niczym innym, jak jednym z wariantów „pokojowej koegzystencji”. Wydaje się zatem, że konferencję w Helsinkach w 1975 r. należałoby widzieć jako ostateczne przypięczętowanie sowieckiego stanu posiadania, uzyskanego w wyniku II wojny światowej. To właśnie po Helsinkach nastąpiło bezprecedensowe rozszerzenie sowieckich wpływów w świecie, z kulminacją w postaci wkroczenia do Afganistanu. To również w ramach polityki „odprężenia” Związek Sowiecki uzyskał przewagę w dziedzinie rakiet średniego zasięgu, co zmusiło państwa NATO do decyzji w sprawie rozmieszczenia w Europie Zachodniej nowych pocisków amerykańskich.

Istniała w Bonn bardziej moralna koncepcja nowej polityki wschodniej: jej autorem był Ralf Dahrendorf – od 1969 r. parlamentarny sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Był on zwolennikiem „dania pierwszeństwa” w rokowaniach z państwami Europy Wschodniej Polsce, a nie Związkowi Sowieckiemu i protestował przeciwko temu, aby Egon Bahr omawiał z Gromyką bilateralne stosunki niemiecko-polskie. Brandt respektował jednak hegemoniczną pozycję Moskwy.

Realizatorem i współautorem polityki odprężenia był sekretarz stanu w urzędzie kanclerskim – Egon Bahr (obecnie zwolennik przyjęcia Rosji do NATO). Część jego działań miała charakter poufny i odbywała się bez wiedzy parlamentu. Jednym z pierwszych partnerów Bahra w tajnych rozmowach z PRL była Polska Misja Wojskowa w Berlinie Zachodnim, którą trudno uznać za placówkę dyplomatyczną. Dopiero w ostatnich latach, dzięki zachowanym archiwom NRD, ujawniono szereg ambarasujących faktów, dotyczących tajnych kontaktów SPD z państwami komunistycznymi, głównie z Berlinem Wschodnim. Z przyczyn politycznych nie podjęto jednak dyskusji nad tym tematem; kanclerz Kohl opowiedział się za swego rodzaju „grubą kreską”.

Z punktu widzenia korzyści dla strony niemieckiej bilans

nowej polityki wschodniej Brandta był nader skromny. Za faktyczne uznanie granicy na Odrze i Nysie, ubrane w przyczyn prawnych w formułę „respektowania”, Bonn nie uzyskało na dobrą sprawę nic. Nawet uzgodnienia w sprawie wyjazdu Niemców z Polski władze PRL realizowały z ociąganiem, wykorzystując tę problematykę w celu osiągnięcia dodatkowych świadczeń finansowych; humanitarny wymiar ustaleń polsko-niemieckich sprowadzał się do merkantylnego pytania „ile (DM)?” Od 1974 r. stawało się coraz bardziej jasne, że PRL, podnosząc w rozmowach z Bonn sprawę odszkodowań dla ofiar obozów koncentracyjnych i robót przymusowych, stara się o dodatkowy zastrzyk finansowy dla realizacji strategii gospodarczej Gierka.

Następca Brandta – Helmut Schmidt był szczególnie zafascynowany I sekretarzem PZPR. RFN kontynuowała politykę odprężenia, dążąc do dalszej rozbudowy stosunków ekonomicznych z państwami bloku sowieckiego. Przyświecało temu przekonanie, że gospodarcze wzmocnienie państw socjalistycznych przyczyni się do wewnętrznej liberalizacji. Jak błędna była to koncepcja świadczy nie tylko smutny finał rządów Gierka, lecz także fakt, że akurat wówczas, gdy zachodnie kredyty płynęły do Polski szerokim strumieniem, PZPR wprowadziła poprawki do konstytucji, cementując dyktatorską pozycję partii i narzuconą przyjaźń ze Związkiem Sowieckim. W 1976 r. brutalnie stłumiono protesty robotników w Ursusie i Radomiu. Wszystko to nie wpłynęło na sympatie Schmidta dla Gierka. Natomiast przewodniczący Związku Wygnanych Czaja, przedstawiany przez propagandę PRL jako polakożerca, w czasie debaty w Bundestagu zarzucił rządowi RFN, że szuka porozumienia z kierownictwem PZPR, które nie reprezentuje narodu polskiego i jego woli do życia w wolności.

Właśnie w okresie rządów Schmidta polityka odprężenia, wspierana moralnymi deklaracjami, poddana została miarodajnej próbie praktycznej. Pytanie o legitymizację i reprezentatywność rządów PZPR stało się szczególnie aktualne po strajkach sierpniowych i powstaniu „Solidarności” w 1980 r. Reakcje w RFN, zarówno ze strony czynników rządowych jak i związków zawodowych, były chłodne. Rewolta w Polsce przeszkadzała obliczonej na stabilizację bońskiej polityce

détente, zaś niemieckim związkom zawodowym nie przypadł do gustu antykomunistyczny charakter „Solidarności” i jej związki z katolicyzmem. Stan wojenny politycy SPD przyjęli niemal z uczuciem ulgi. Schmidt, który przebywał z wizytą w NRD, na wiadomość o wprowadzeniu stanu wojennego powiedział do Honeckera: „Najwyższy czas, aby zacząć wprowadzać w Polsce porządek”⁵. Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia w 1981 r. pospieszył do Bonn Mieczysław F. Rakowski, aby wykorzystując swe dobre stosunki z socjaldemokracją zabiegać o zrozumienie dla polityki władz PRL. Egon Bahr po spotkaniu z polskim wicepremierem oświadczył: „Kiedy nasz przyjaciel Rakowski, do którego mamy zaufanie, powiedział nam, że nie było innego wyjścia, to nie mieliśmy żadnych powodów, aby mu nie wierzyć”⁶. Pierwszym liczącym się politykiem zachodnim, który po 13 grudnia 1981 r. odwiedził Warszawę, był przewodniczący frakcji SPD – Herbert Wehner. Stan wojenny określił jako „mniejsze zło”.

Dieter Bingen, oceniając reakcje Bonn na konflikt społeczeństwa z władzą w Polsce, czuje się zmuszony przyznać, że rząd federalny „niestety wsparł polski reżim komunistyczny”, choć autor twierdzi zarazem, iż twórcy *Ostpolitik* „nie mieli takich intencji”. Jednak jeszcze w 1985 r. Brandt w czasie wizyty w Polsce odmówił spotkania z Wałęsą, a tę postawę trudno tłumaczyć jakimiś ukrytymi intencjami, których nie dało się zrealizować.

Sądzę, że genezę i cele *Ostpolitik* można analizować także w innych kategoriach, choć koniunktura polityczna w Niemczech nie sprzyja pogłębionej dyskusji nad meandrami i kulisami okresu *détente*. *Quasi* urzędowa interpretacja ery rządów SPD sprowadza się do pozytywnej, lecz powierzchownej oceny, chociaż polityka ta nie osiągnęła deklarowanych celów. *Wandel durch Annäherung* („zmiana przez zbliżenie”)

5. Honecker przekazał wypowiedź Schmidta Jaruzelskiemu w rozmowie telefonicznej 16.12.1981 r. Zachowany w archiwach SED zapis tej rozmowy opublikowali M. Kubina i M. Wilks w: „Hart und kompromisslos durchgreifen. Die SED contra Polen, Geheimakten der SED-Führung über die Unterdrückung der polnischen Demokratiebewegung”. Berlin 1995, s. 392.

6. Cyt. wg M.F. Rakowski: „Jak to się stało”. Warszawa 1991, s. 60.

– brzmiała dewiza Bahra, przyświecająca polityce wobec NRD. Zbliżenie rzeczywiście nastąpiło, natomiast zmiana dawała na siebie czekać i kiedy wreszcie nadeszła, nie była wynikiem kalkulacji strategów z koalicji SPD/FDP. Pomoc gospodarcza udzielana NRD opóźniała jedynie kryzys systemu wschodnioniemieckiego i trudno w tym dostrzec korzyści dla społeczeństwa żyjącego w dyktaturze. Można zaryzykować tezę, iż jednym z istotnych elementów w powstaniu *Ostpolitik* SPD były względy ideologiczne. Socjaldemokracja, jako partia opozycyjna, wyzbyła się wprawdzie elementów marksizmu, lecz po utracie władzy wypracowała wspólną deklarację ideologiczną z SED. W 1985 r., gdy PRL nadal znajdowała się w izolacji międzynarodowej, SED podpisała wspólną deklarację z PZPR w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie. Pomocą do głębszych analiz mogą być ocalałe w komunistycznych archiwach koncepcje sowieckich strategów, którzy właśnie od 1985 r., gdy władzę na Kremlu objął Gorbaczow, proponowali intensywną współpracę z zachodnimi partiami socjalistycznymi i socjaldemokratycznymi, czyli coś w rodzaju zaawansowanego etapu konwergencji.

Niechęć elit politycznych w Niemczech do krytycznej analizy okresu *détente* wynika również z faktu, że Helmut Kohl obejmując ster rządów w październiku 1982 r., nie był w stanie zaproponować zasadniczej zmiany w polityce wschodniej. Na pewno z jednej strony decydował o tym brak alternatywnych koncepcji, z drugiej zaś strony trzeba pamiętać, że szefem resortu spraw zagranicznych pozostał – i to na długie lata – Hans Dietrich Genscher. Jego kariera polityczna jest osobliwa. W okresie skandalu spowodowanego obecnością wschodnioniemieckiego agenta Günthera Guillaume’a w najbliższym otoczeniu Brandta, Genscher był ministrem spraw wewnętrznych, jednak dyskusji na temat zakresu jego odpowiedzialności praktycznie nie podjęto. Po dymisji Brandta, Genscher został ministrem spraw wewnętrznych i wicekanclerzem i zrezygnował z tych funkcji dopiero w 1992 r. Kilka tygodni później prasa poinformowała, że w zachowanych dokumentach Stasi Genscher występuje jako TW „Tulipan”.
Nowe akcenty, jeśli w ogóle pojawiły się w polityce

wobec Polski w erze Kohla, były nie tyle wynikiem koncepcyjnych przemyśleń, co raczej dostosowaniem się do norm, które w drugiej połowie lat 80-tych stały się standardem politycznych zachowań państw zachodnich. RFN zaczęła dostrzegać w Polsce siły opozycyjne a politycy CDU/CSU uwolnili się od obaw przed kontaktami z przedstawicielami „Solidarności”. Równocześnie jednak to właśnie Genscher i jego kolega z FDP – minister gospodarki Bangemann, dzięki swoim wizytom w Warszawie w 1985 r. walnie przyczynili się do przerwania międzynarodowej izolacji PRL.

Accélération d'histoire pod koniec lat 80-tych ma dla stosunków polsko-niemieckich szczególnie znaczenie. W Polsce rozpoczęły się procesy, które doprowadziły do transformacji ustrojowej w całym bloku komunistycznym, to zaś umożliwiło zjednoczenie Niemiec. Trudno nie zgodzić się z Bingenem, który zauważa, że los sprzyjał karierze politycznej Helmuta Kohla. Zapewne przejdzie on do historii jako „kanclerz zjednoczenia”, choć w dzisiejszych czasach historiografia coraz bardziej podatna jest na wpływy mediów, selekcyjnych fakty. Kiedy „padał” mur w Berlinie w 1989 r. (w rzeczywistości władze NRD zezwoliły na jego przekroczenie), Kohl przebywał z wizytą w Warszawie i w pierwszej reakcji zapowiedział „pomoc dla NRD na dobrej drodze”. Akurat tej wypowiedzi nie można znaleźć w żadnej bodajże historycznej relacji z burzliwych miesięcy „przełomu”. To mieszkańcy NRD, przez niektórych polskich publicystów z pewnym odcieniem pogardy krytykowani za spolegliwość w okresie rządów SED, upomnieli się zarówno o swoją podmiotowość (*wir sind das Volk*), jak i o prawo do jedności narodowej (*wir sind ein Volk*). Partie zachodnioniemieckie w okresie podziału Europy nie miały żadnej koncepcji doprowadzenia do zjednoczenia Niemiec a polityka odprężenia – wbrew jej obecnym ocenom – prowadziła do utrwalenia podziału.

Choć to właśnie postawa ludności NRD była głównym czynnikiem, który pokrzyżował plany gorbaczewistów w kierownictwie SED (po usunięciu Honeckera planowali zreformowanie NRD w duchu „demokratycznego socjalizmu”), szósty kanclerz potrafił wykorzystać historyczny moment. W czasie kampanii wyborczej w 1990 r. w przemó-

wieniach w Niemczech Wschodnich sięgał do narodowej retoryki, która w dzisiejszej RFN mogłaby wzbudzić podejrzenia o „radykalizm”, bowiem ideologia towarzysząca procesowi integracji europejskiej nie daje się pogodzić z koncepcją państwa narodowego. Kohl stał z początkiem lat 90-tych na samym środku światowej sceny politycznej. To było zapewne jedną z przyczyn jego popularności w Polsce, która po transformacji ustrojowej podporządkowała swą politykę dążeniu do integracji z Zachodem, zaniedbując stosunki polityczne, a przede wszystkim gospodarcze, ze wschodnimi sąsiadami. Z niemieckim kanclerzem klasa polityczna w postkomunistycznej Polsce połączyła nadzieje na szybką integrację z Unią Europejską. Propagandowy wizerunek Kohla, który rozpowszechniały polskie media, nie był pozbawiony elementów groteski. „Lubi dobrze zjeść, jest znawcą i smakoszem wina, pali fajkę” – podkreślał tłustym drukiem *Tygodnik Solidarność* w artykule zatytułowanym „Wnuk Adenauera”⁷. Duchowe czy polityczne pokrewieństwo między Kohlem a Adenauerem jest takie samo, jak między Wałęsą a Piłsudskim.

Dieter Bingen kończy swą pracę na roku 1991, bowiem po zjednoczeniu Niemiec i normalizacji stosunków z Polską zamknięte zostają rozdziały bońskiej *Ostpolitik* i *Deutschlandpolitik*, dominuje natomiast *Europapolitik*. Bez wątpienia jej głównym architektem jest szósty kanclerz RFN, choć jej czynników sprawczych należy szukać nie tyle w jego dalekosiężnych wizjach, co w interesach określonych kół gospodarczych i finansowych. Osobistą zasługą Kohla jest wprowadzenie *ex post* do traktatu z Maastricht klauzuli wykluczającej możliwość wystąpienia z UE, co – choć niezupełnie zgodne z podnoszoną jeszcze niedawno w antykomunistycznej propagandzie zasadą samostanowienia narodów – zapewnia jednak trwałość politycznej konstrukcji.

Polityka europejska idzie w parze (bo iść musi) z ostatecznym przejściem od zasad demokracji reprezentatywnej do formy, którą nazwałbym „demokracją manipulatywną”. Transformację tę umożliwił w RFN wieloletni proces zawłaszczania przez partie polityczne instytucji i struktur państwa.

7. M. Mońko: „Wnuk Adenauera”. *Tygodnik Solidarność*, 14.7.1995.

System „państwa partyjnego” (*Parteienstaat*) tworzy – jak to metaforycznie ujął Ralf Dahrendorf – „wartwę styropianu, która wycisza wołania wyborców”. Dzisiejsi politycy nie są już, jak generacja bezpośrednio po wojnie – mężami stanu, lecz raczej klasą menadżerów, zarządców. Ich podstawową umiejętnością jest zdolność trzymania w ryzach własnej partii, za pomocą której sprawuje się władzę. Kohl – wyposażony w dar zręcznego lawirowania – potrafił stłumić wszystkie próby rebelii, podejmowane bądź to przez lewicowe skrzydło CDU, bądź też przez grupy młodszych funkcjonariuszy, złaknionych władzy. Równocześnie, w okresie zbliżenia z Gorbaczowem, pozbawił wpływów antykomunistycznie zorientowanych posłów z własnej partii. Talent lawirowania i taktyczną przebiegłość wykazał już w czasie historycznej debaty w Bundestagu nad traktatami wschodnimi na początku lat 70-tych. Te same zdolności pozwoliły mu na wymanewrowanie Chiraca w sprawie obiecanego pierwotnie Francuzom stanowiska prezesa Banku Europejskiego.

Zdecydowana większość obywateli RFN niechętna jest UE, bowiem doświadczają oni już teraz, w przeciwieństwie do aspirantów, skutków „Europy” na własnej skórze. Z pewnością obciążenia podatnika niemieckiego odgrywają główną rolę, chociaż rosnące niezadowolenie bez wątplenia łączy się również z redukcją wpływu obywateli na podstawowe decyzje polityczne. Pochodzący z partyjnego klucza komisarze w Brukseli, choć pozbawieni demokratycznej legitymizacji, mogą decydować niemal o wszystkim, przy czym nie podlegają skutecznym mechanizmom kontroli. Polityczny wpływ grup interesów jest nieporównywalnie większy niż wyborców. Bruksela – jak trafnie zauważył nie kto inny jak Helmut Schmidt – stała się „rajem dla lobbies”⁸. Niemal 70% wyborców w RFN przeciwnych jest likwidacji marki i zastąpieniu jej wspólną walutą europejską. Jediną partią reprezentowaną w Bundestagu, która opowiada się przeciwko wprowadzeniu „euro” jest postkomunistyczna PDS...

Kartelizacja polityki dokonuje się nie tylko na poziomie struktur ponadnarodowych i trwa nie od wczoraj. W Niem-

8. W programie telewizyjnym „Am Ende des Jahrhunderts”, Nr 3, 7.9.1998.

zech proces ten jest najbardziej zaawansowany z uwagi na zamknięty charakter układu partyjnego (brak parlamentarnej reprezentacji konserwatywnego spectrum wyborców), system finansowania partii, erozję niezależności sądownictwa (bodajże tylko jeden z szesnastu sędziów Trybunału Konstytucyjnego jest bezpartyjny), malejące zaufanie do związków zawodowych, które nie są w stanie bronić interesów pracobiorców. Podczas gdy we Włoszech czy we Francji układ partii politycznych w ostatnich latach uległ daleko idącym zmianom, sztuczne blokowanie podobnych procesów w Niemczech przesłania jedynie kryzys systemu politycznego.

Nad Łabą i Renem trwa właśnie najgorętsza faza kampanii wyborczej. Chyba jeszcze nigdy w historii RFN prasa różnych odcieni ideowych nie była tak zgodna w ocenach: pomiędzy dwiema największymi partiami trudno dostrzec ideowe rozbieżności czy zasadnicze różnice programowe. Nasila się natomiast amerykanizacja politycznych kampanii: specjaliści od mediów i *public relations* propagują odpowiedni obraz kandydata, wyniki ankiet i sondazy już dawno straciły charakter demoskopii i same w sobie stały się instrumentem propagandowej manipulacji. Lewicowo-liberalna *Süddeutsche Zeitung* stwierdza pod znamienym tytułem „Das System Kohl/Schröder” „odejście od demokracji”, „poprzez pretensję do wszechwładzy niemieckie partie wypaczyły przypisane im przez konstytucję zadanie współtworzenia woli ludu”⁹. Ów stan rzeczy już od lat opisują konserwatywni publicyści.

Po transformacji ustrojowej Polska połączyła swą przyszłość z potężnym zachodnim sąsiadem, traktując polityczny i gospodarczy system RFN jako wzór do naśladowania. Nie tutaj czas i miejsce na rozważanie, w jakim stopniu było to wynikiem przemyślanych koncepcji a w jakim – odruchem, opartym na uzasadnionej niechęci do Rosji i utożsamieniu systemu zachodniego z wartościami wypartymi przez ustrój komunistyczny. Polityczny sojusz polsko-niemiecki, współpraca gospodarcza, gesty polityków, niekiedy teatralne (przed spotkaniem Buzek-Kohl w Krzyżowej wyasfaltowano 10 metrów polnej drogi, gdzie obaj panowie

9. 14/15/16.8.1998.

przed obiektami kamer mieli ścisnąć sobie ręce), przysławiają brak rzetelnej wiedzy o historii i teraźniejszości obu krajów. Pojednanie z Polską – pisze Arnulf Baring – staje się z wolna pozbawionym głębszych treści rytuałem. Gdy w 1996 r. zapytano niemieckich studentów, którzy zgłosili chęć udziału w letnich kursach na uniwersytecie w Krakowie, o ich motywację, wszyscy wymienili jedynie „konieczność pojednania w obliczu tego, co Trzecia Rzesza wyrządziła Polsce”¹⁰. Równocześnie badania socjologiczne w Niemczech wykazują znikomy wskaźnik sympatii do Polaków. Zjawiska nierozzerwalnie związane z intensyfikacją gospodarczych i politycznych stosunków z RFN wywołują w Polsce antyniemieckie resentymenty („chcą wykupić Śląsk”). Dobrosąsiedzkich stosunków nie można zadekretować międzypaństwowym układem.

Szczególnie trafne wydaje mi się jedno ze spostrzeżeń Bingena: w czasach Adenauera dominowała polityka, zaś gospodarka była jej podporządkowana. W erze Kohla prymat gospodarki nie podlega już żadnej dyskusji, decyduje ona o polityce a zarazem staje się jej podstawowym instrumentem. Zrozumienie tego faktu jest być może największym intelektualnym osiągnięciem szóstego kanclerza i przyczyną jego sukcesów. Czy jednak narody wschodniej części kontynentu, rozpoczynając po 1989 r. „powrót do Europy” rozumiały ją w kategoriach bardziej lub mniej sprawnie zarządzanego koncernu? Aspiranci do UE muszą na razie zadowolić się miejscem w poczekalni, bowiem nie spełniają gospodarczych wymagań. Dziwnie szybko zapomniano, że w myśl nauk marksistowskich ideologów warunki ekonomiczne („baza”) miały determinować wszystkie inne wymiary ludzkiej egzystencji. Czy przyspieszeniu historii nie towarzyszy aby historyczna amnezja?

8 września 1998

Tomasz MIANOWICZ

10. „Partner Polen?” *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, 11.3.1998.

Sprawy i troski

Pierwszy zajazd w Przemyślu

Ukazujący się w Przemyślu co miesiąc, czyli dość leniwy *Kurier Wschodni* nie zdążył skorygować pierwszej strony, a ponieważ tytuł nie należy do rozchwytywanych – jeszcze i po zjeździe z kiosków w oczy biła zapowiedź: „Przemyśl 98. Czwarty Światowy Kongres Kresowian pod patronatem księdza kardynała”. *Kurier* wyliczył członków honorowych, na pierwszych miejscach: marszałek Senatu – Alicja Grześkowiak, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej i Komitetu Honorowego, marszałek Sejmu Maciej Płażyński, przewodnicząca Komisji Spraw Emigracji i Polaków Za Granicą, senator Janina Sagatowska, przewodniczący małopolskiej „Solidarności” poseł Andrzej Szkaradek, niedoszła nabywczyni Stoczni Gdańskiej Barbara Piasecka-Johnson, prezes rady programowej Radia Maryja Andrzej Krapiec.

Cytuję *Gazetę Wyborczą*: „Po ujawnieniu przez prasę, że i tym razem może dojść do gestów nieprzyjaznych wobec Ukraińców, poparcie dla zjazdu wycofali m.in. marszałkowie Sejmu i Senatu. Z patronatu nad imprezą zrezygnował Prymas Polski”.

To dopiero „ujawnienia przez prasę” trzeba było, żeby do polityków dotarło, w co wdeptują?

Marszałek Senatu rozmyśliła się i nie przyjechała, za to wicemarszałek Andrzej Chlebowski przysłał list z wyrazami poparcia. Solidarność zadeklarował również prezes Szkaradek. Z komitetu organizacyjnego zrezygnował pułkownik brygady pancerniej, pozostał delegat Stowarzyszenia Orkiestr Dętych.

Jeden wojewoda przemyski w porę odmówił udziału. Z decyzji wycofywano się po cichu; tylko prezes Towarzystwa

Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, Emil Legowicz wytłumaczył, że nie chce uczestniczyć w czymś, co może zaszkodzić Polakom – obywatelom Ukrainy.

Z menu programowego: „16.00 – Złożenie wieńców pod tablicą upamiętniającą ofiary UPA. 19.00 – Koncert ‘Wesoła lwowska fala’, kabaret ‘Pacałycha’, kapela ‘Ta joj’”.

Ukraińcy zaprotestują. Czy zjazd jednej z grup kresowian wywoła kolejny konflikt z Ukrainą? – głowiły się gazety. Takimi sformułowaniami bardzo niepotrzebnie – i przede wszystkim w niezgodzie z prawdą – stwarza się wrażenie, że jesteśmy nieomal na wojennej ścieżce. Bzdura. Incydent przemyski z pewnością nie naruszy dobrych stosunków na szczeblu Warszawy i Kijowa. Jeśli już, to irytujące może być nagłaśnianie głupstwa, nadawanie mu rangi niewspółmiernej ze stanem faktycznym. Konsekwencje kolejnej demonstracji pod kościołem, wstawionym samowolą przemyskich ojców karmelitów, oczywiście będą. Już są. Mer Lwowa wycofał się z ewentualnych ustępstw w sprawie cmentarza Orląt Lwowskich, zakwestionował, już zdawałoby się uzgodniony, tekst na tablicy pamiątkowej. Co dalej – nie wiadomo, prasa milczy. A już tyle się pisało, tyle było satysfakcji, że kłopot z głowy, wywalczyliśmy świadectwo polskości, cenne dla... Otóż to. Dla nas.

Inskrypcja „Nieznany bohaterom poległym w obronie Lwowa i ziem południowo-wschodnich” najpewniej pozostanie w sferze pobożnych życzeń. Polskich.

Rokowania w sprawie cmentarza Orląt Lwowskich od pierwszej chwili szły jak po grudzie: tu akurat bym się Ukraińcom nie dziwiła. My mamy swoje racje, oni swoje powody, niemniej zaczęliśmy się dogadywać, choć media wyprzedzały fakty.

Nie jestem wcale pewna, że akurat zjazd przemyski przesądził na naszą niekorzyść. Był idealnym pretekstem do wycofania się z ustępstw. Jedno mają światowi jak w banku: ich hałasowanie w Przemyśle szybciej pójdzie w niepamięć we wschodniej Polsce, niż na zachodniej Ukrainie. Dla tamtej strony – zdarzył się w samą porę, był idealnym pretekstem do wycofania się z projektowanych (ale głównie przez nas) ustępstw.

Jesienią ma się odbyć festiwal kultury polskiej we Lwowie.

Z programu sądząc – dobrze pomyślany, nie sprowadzony do poleczek i przytupów. Imprezę – jak zwykle – finansuje strona polska, mimo to ze strony gospodarzy już wyłoniły się trudności, Ukraińcy nie palą się do przedsięwzięcia. Tak było jeszcze przed zjazdem i akurat tej sytuacji nie da się strącić na światowych.

Kresowiaci hałasowali – i co gorsze usiłują to wprowadzić w zwyczaj – w najgorszym miejscu z możliwych. Przy granicy Polski z Ukrainą. Akurat Przemyśl, w którym tydzień wcześniej odbył się zjazd i wybór nowego prezesa Polskiego Stronnictwa Kresowego, p. Prusa. Działa tu również Stowarzyszenie Upamiętniania Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów i Stowarzyszenie Ochrony Pamięci Orląt Przemyskich, a także Związek Ziem Wschodnich, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Programy?

„Polskie Stronnictwo Kresowe powstało ze społecznego niepokoju (...). Stanowi wszak, łącznie z potomkami, jedną trzecią Narodu Polskiego. (...) Polskie Stronnictwo Kresowe jest partią patriotyczno-chrześcijańską (...). Jej celem jest (...) przywrócenie obywatelstwa polskiego, które odebrał Polakom wschodni okupant i którego bezprawne skutki zalegalizowała kolaborancka władza komunistyczna (...). Przywrócenie praw publicznych całej emigracji (...) Polska stoi dziś w obliczu jednego z najpoważniejszych wyzwań w swej historii. Rozumiej ją to Kresowianie i chcą współuczestniczyć w procesie budowy Polski wolnej, bezpiecznej, zasobnej, a przede wszystkim sprawiedliwej...”.

Jak akcentował *Kurier Wschodni*: „Wszystkie dotychczasowe Kongresy odbywały się pod patronatem ks. kardynała Józefa Glempa, Prymasa Polski, a w Komitecie Honorowym znajdowali się marszałkowie Sejmu i Senatu, posłowie i senatorowie, arcybiskupi i biskupi, profesorowie itp. W posłaniu do Kresowian przekazanym Kongresowi w imieniu Ojca Św. Jana Pawła II napisano: ‘...Jego Świątobliwość przesyła swe gorące życzenia osiągnięcia zamierzonych celów, służące skutecznemu pobudzeniu pobożności drogim Jego Sercu Kresowian, wśród których są ofiary nie mające analogii w historii najnowszej ludobójstwa...’”.

Zdecydowali, że odtąd wszystkie kolejne zjazdy będą się odbywać w Przemyśle. Za swoich 25 tysięcy wyrzuconych

złoty miasto dokupiło sobie – i żeby tylko sobie – nowy kłopot. Jeśli takie zabawy będą kontynuowane, Ukraińcy bez wątpienia pomyślą o rewanzu.

Z sali obrad: „Cóż może być piękniejszego od śmierci za Polskę...” Oklaski. „Co prawda nie o taką Polskę walczyło jej pokolenie...” Oklaski. I już na pełny gaz: „Brońcie krzyża! Brońcie ziemi! Zachowujcie godność Polaków!” Oklaski; oklaski, oklaski.

„Jakże miło widzieć wasze uśmiechnięte buzie...” – powitał sędziwych rodaków jeszcze jeden prezes dzisiaj, pan Edward Prus. Było ciepło i serdecznie, ale jak dla kogo. Prezes zajął się najpopularniejszym polskim politykiem, któremu zdarzyło się wypić za ukraiński Lwów. „Tam nie wolno różnym łajdakom Kuroniom jechać... każdy Polak powinien tego pana trzepnąć po pysku”. Z tego wynikałoby, że Kuroń nie ma buzi.

Kresowianie widzą dla siebie wcale szeroki – łącznie z współstanowieniem o stosunkach polsko-niemieckich – zakres zadań w kraju znanym sobie z incydentalnych wizyt u rodziny, oglądanych z kanadyjskiej, jeśli nie australijskiej, perspektywy i to od dużego święta. Znajdują oparcie w miejscowych zagończykach. Wiódł ślepy kulawego.

ZE ŻŁOTYCH MYŚLI ZJAZDOWYCH

„Niegdyś żyliśmy z Ukraińcami bez żadnych zadrążeń. My się z Ukraińcami skłócić nie damy, ale nie zapomnimy, co dzicz ukraińska...”

„Panowie politycy! Bawcie się w swoje gierki, wyliczanki... polska racja stanu jest dziś tu, w Przemyślu. Baliście się przyjechać: Kresowianie i przemysłanie udowodnili wyższość historycznych racji nad kunktatorstwem polityków... Władze miejskie dają przykład, jak walczyć o honor Polski. Boże pobłogosław to miasto!”

Dosyć złowroźnie w tym kontekście zabrzmiało zapewnienie: „kresowość jest dziedziczna i nie wymrze razem z nami... Trwać będzie i dążyć do zamierzonego celu”. Co prawda, mówca wykazał pewne poczucie rzeczywistości: „Zwracam się do naszych rodaków, tam... Nie jesteśmy w stanie wam pomóc”.

Co racja to racja, więc przynajmniej starajcie się nie szkodzić.

W Polsce lat 90-tych doszło do dwu aktów nieposłuszeństwa wobec Kościoła. Ten drugi, nieporównanie bardziej niebezpieczny, rozgrywa się na tle oświęcimskich krzyży. Pierwszy wynikł z kłótni o świątynię. „W Przemyślu owieczki pokazały zęby” – pisałam w *Kulturze* o precedensowej sytuacji, kiedy to nawet tak autentycznie uwielbiany w swej ojczyźnie papież nie powściągnął emocji rozgrzanych kłótnią polsko-ukraińską, i co tu ukrywać – dopiero zręcznym dyplomatycznym wybiegiem uratował swój prestiż, zatuszował porażkę.

Minęło siedem lat – i mamy z kolei aferę oświęcimską, niezależnie od dużych kłopotów międzynarodowych dla państwa – ukazującą bezsilność Kościoła w obliczu... otóż to. Tylko – furii religijnej, czy nacjonalizmu? Podług mnie – w grę wchodzi i jedno, i drugie, z akcentem, i to silnym, na drugie. Z nieba to nie spadło. Nasz antysemityzm od zamierchłości był noszony na podszewce wiary. Nie sięgając za daleko w przeszłość przypomnę przedwojenną prasę niepokalanowską, prekursorkę Radia Maryja i przybocznych gazet.

Inaczej miały się sprawy polsko-ukraińskie. W wielowiekowym tym konflikcie cerkiewność jednych – najmniej wadziła kościelności drugim. Dopiero gdy w przemyskim ostrym spięciu zaiskrzyły stare porachunki, okazało się, że idzie również o polskie prawa do polskiego Pana Boga, któremu najwygodniej będzie w tym a nie w innym kościele. Już Przemyśl był sygnałem ostrzegawczym, o ilez bardziej katolicy od swego papieża potrafią być Polacy.

Ekspozowanie tablicy stawiającej znak równości między hitlerowcami a upowcami może mieć niekorzystne reperkusje dla Polaków na Ukrainie, hałas na dwa kontynenty wywołała „dopiero” awantura o Oświęcim. Premier w odruchu niekontrolowanej bezradności odstąpił decyzję Kościołowi. Kościół też okazał się bezradny. Świtoniowi, który dyżuruje na tle transparentu „Ruch Ratowania Narodu Polskiego” i raczej monotematycznych odezw „Okupant żydowski wyniszcza Polskę”... „Ostrzegamy rezydenturę żydowską Międzynarodówkę Kapitałowo-Bankową...”; przypisano zaburzenia umy-

słowe. A co z dzierzawcą terenu, Janoszem? Też psychiczny? Za łatwo chciałoby się wytłumaczyć groźną popolitość. Zawsze mieliśmy tendencję do zwalania na jednostki win obciążających ogół. Na „Ultimatum dla szowinistów i rasiotów-rabinów żydowskich” podpis w imieniu Światowej Federacji Polskich Kombatantów.

Nie mnie głowić się nad kondycją mentalną panów Świtonia i Janosza, od tego są psychiatrzy. Przestańmy się załgiwać, że wszystkiemu winni ci dwaj potencjalni pacjenci. Prymas zapewnił, że (cytuje) „Kościół ma niezwykłą ilość ofert i propozycji na odrodzenie moralne człowieka”. Trzeba by zacząć je realizować i to zanim burleska oświęcimska skończy się tym, że świat zapamięta stu pięćdziesięciu dwóch Polaków, których zabito – podczas ludobójstwa dokonywanego na milionach Żydów”.

Również zjazd kresowiaków ostro grawitował ku kwestii nie związanej z bratnią Ukrainą, intensywnie zajął się i „polskojęzycznymi” gazetami (*Tygodnik Powszechny*) i chodzeniem rządu na łapkach przed – jakby to najdelikatniej ująć – starozakonnymi. Przed salą obrad sprzedawano *Pismo Narodowe Ojczyzna* zalecające: „Nigdy do Unii Europejskiej”. Z *Ojczyzny* można się dowiedzieć, czyją robotą był holocaust (objaśnienie już w tytule „Żydzi Żydom zgotowali ten los”), jak załgane są koszerne media, kto uprawia „hendele” na polskich ulicach.

W III Rzeczpospolitej można się naczytać. Komu mało „Żydów w dziejach Polski”, a również „Żydów w dziejach III Rzeczpospolitej”, jak również „Żydów polskich dzisiaj”, ten sobie nabędzie „Międzynarodowego Żyda...”, „Żydów chrzczonech...”, „Cywilizację żydowską...”, „Tel Aviv za zamkniętymi drzwiami”, sięgnie po broszurkę „Żydzi, przestańcie kłamać!”. Powróciła klasyka gatunku, zatem dzieło księdza Aronajtisa „Chrześcijanin w Talmudzie żydowskim”..., księdza Trzeciaka „Program światowej polityki żydowskiej”... Pociągające wydaje się studium księdza Wróbla „Co mądrzy ludzie mówili o Żydach”. W tym kontekście zasadnie brzmi kolejny z proponowanych tytułów „Strach być Polakiem”.

Przy stoiskach był ruch, goście zaopatrywali się w czytała. Zdążyłam kupić po cenach bardzo przystępnych dwa

tytuły. W jednym („Jak zgotowano krzyż narodowi polskiemu”) występują m.in. „agent UB-KGB król cyganów o niejasnym internacjonalistycznym pochodzeniu”, czyli Lech Wałęsa. Następnie „spowinowacony z dwoma prezydentami Izraela” „żydo-mason” Jan Olszewski, oraz „syn NKWD-ysty Stolzmana, też mason, przygotowany do wygrania wyborów przez lożę paryską”, Aleksander Kwaśniewski. Autor drugiego utworu – „Być, albo nie być” z rozrzuwaniem wspomina czasy, w których „nie mieliśmy żydów (z małej litery) w dziennikarstwie, w literaturze (...) do świętych ognisk domowych naszych rodzin nie przedostawał się ich zabójczy wpływ” i uprasza, by „amatorów nowej Judei, którzy kopią nam Polakom grób, przez instynkt samozachowawczy, pokojowymi środkami zwalczać, jako najstraszniejszych szkodników”.

Gnój zalewający Polskę staraniem wydawnictwa „Pług i miecz” czy „Nortom” jakoś rozmija się z uwagą mediów. Demokracja demokracją, ale sądzę, że publikacje w stylu „Żydzi i bydła” (przy czym nie o ubój rytualny tutaj idzie) powinnyby zainteresować prokuratorów.

Według elementarnej socjologicznej konstatacji – niepokoje zaczynają się w każdym społeczeństwie, w którym mniejszość narodowa przekracza dziesięć procent populacji. To w przedwojennej Polsce mogło się potwierdzać przede wszystkim na przykładzie Żydów. Zachód ma kłopoty z już wielomilionową imigracją obcych, natomiast w Polsce do skandalicznych reakcji potrafi wystarczyć garstka ludzi zachowujących się i wierzących odmiennie. Jak zachowalibyśmy się – dzisiaj – mając w kraju przedwojenne mniejszości?

W krakowskim *Biuletynie Ukraińskim* Tadeusz A. Olszański, pisząc o przemianach w ukraińskim ruchu nacjonalistycznym (nr 4/96) zauważył, iż wszystkie partie i ugrupowania polityczne w tym obozie „przedstawiają położenie mniejszości ukraińskiej w Polsce w czarnych barwach”. Te opinie, kolportowane również, jeśli nie przede wszystkim (Ukraina ma dość własnych zmartwień), w kręgach emigracyjnych, to już nie jest sprawa racji, lecz tendencji.

Z wywiadu udzielonego *Naszej Polsce* (nr 26 z 24 czerwca br.) przez członka sejmowej Komisji Łączności z

Polakami za Granicą, posła KPN-OP Andrzeja Zapałowskiego, *nota bene* późniejszego uczestnika zjazdu:

„W Kijowie, stolicy ukraińskiego państwa, Zarząd Główny Związku Polaków na Ukrainie ma siedzibę w piwnicach, a czynsz płaci jak za działalność gospodarczą. (...) W przeważającej większości regionów, gdzie są skupiska Polaków, nie mają oni żadnych lokali. (...) A polskie gazety (...) nie mogą nawet liczyć na jakąkolwiek subwencję”.

Związek Ukraińców w Polsce otrzymuje z budżetu milion złotych rocznie. Jedyne na zachodniej Ukrainie pismo polskie – *Gazeta Lwowska* – ukazuje się za polskie pieniądze. U nas wychodzą cztery tytuły ukraińskie (*Nasze Słowo, Warta, Peremysky Dzwony* i dla Łemków *Beskydy*) wszystkie sponsorowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, podobnie jak *Krakowskie Zeszyty Ukrainoznawcze, Horyzonty Krakowskie* oraz *Między sąsiadami*.

Demokracja gwarantuje swobodę wypowiedzi, natomiast nie jest powiedziane, że państwo musi czy przynajmniej powinno dopłacać do działań w siebie wymierzonych. Fakt, że w *Gazecie Lwowskiej* nie byłoby możliwe publikowanie głosów za oddaniem Lwowa – pozostaje w dużej kolizji z tym, co się niekiedy wypisuje w *Naszym Słowie*. Zjazd przemyski zjazdem, lecz poseł rządzącej koalicji też poczuł się zmuszony do interpelacji wniesionej po artykule (nr 12/1998), stwierdzającym: „Łemkowszczyzna, Zasanie, Chełmszczyzna i Podlasie – to ukraińskie ziemie, trzeba je wykorzenieć i utwierdzić w świadomości i podświadomości Polaków. Oni muszą tę ideę przyjąć...”.

Po niskiej liczebności sądząc, skrajne ugrupowania nacjonalistyczne na Ukrainie mają umiarkowane poparcie społeczne. Potwierdza się to w sondażach i w wyniku ostatnich wyborów parlamentarnych. Niemniej – te opcje istnieją i dają o sobie znać również w kręgach emigracyjnych.

Przed rokiem we Lwowie doszło do chamskiej demonstracji: młodzi bojówkarze z legalnych organizacji nacjonalistycznych wytarli sobie buty flagą polską, którą później spalili. Identyczne, tyle że nagłośnie u nas, prowokacje wcześniej urządzali z flagami Rosji, Mołdawii, Węgier. Władze

Lwowa zareagowały natychmiast, również Kijów zgrabnie odciął się od incydentu. W Przemyślu – ani gdzie indziej w Polsce – podobnych zajść nie było, kresowiaci nie protestowali ani przeciwko istnieniu państwa ukraińskiego, ani – nawet – przeciwko obecnej granicy. To mógł być punkt na naszą korzyść: sęk w tym, że władze ukraińskie zachowały się dyplomatycznie, nasze – cóż ukrywać – niezgrabnie głupio.

Z OBRAD KONFERENCJI HISTORYKÓW POLSKICH I UKRAIŃSKICH W CZERWCU 1996:

„Strona ukraińska uważa, że polska opinia publiczna jest niedostatecznie poinformowana o ogromnym wkładzie narodu ukraińskiego w walkę przeciwko III Rzeszy. Stwierdzono dysproporcję pomiędzy stosunkiem Polaków do przypadków ukraińskiej kolaboracji z Niemcami (uwypuklanie), a polskiej kolaboracji (pomijanie).

„Strona polska stwierdza, że zorganizowanej polskiej kolaboracji nie było”.

Największe kontrowersje wywołał problem krwawego konfliktu obu narodów w latach 1941-1944.

Obie strony zgadzają się co do narodowo-wyzwoleńczego charakteru Ukraińskiej Powstańczej Armii. „Strona polska negatywnie ocenia jednak politykę i metody UPA stosowane wobec ludności polskiej”.

Strona ukraińska przyczyn konfliktu upatruje przede wszystkim w przedwojennej, nacjonalistycznej polityce Polski, wymierzonej przeciwko Ukraińcom, która wpłynęła na rozwój nacjonalistycznych nastrojów w społeczeństwie ukraińskim. Odpowiedzialnością za szczególnie okrutny przebieg konfliktu strona ukraińska obarcza skrajnie nacjonalistyczne środowiska obu narodów.

„Strona polska uważa, że ukraińskie podziemie nacjonalistyczne rozpoczęło działania zmierzające do depolonizacji obszarów zachodniej Ukrainy, m.in. poprzez akcje wyniszczania ludności polskiej”.

Strona ukraińska uważa, że Armia Krajowa w sposób zdecydowany dążyła do przywrócenia przynależności zachodniej Ukrainy do państwa polskiego i kontroli nad tymi ob-

szarami. To wywołało negatywną reakcję społeczeństwa ukraińskiego; „Strona polska przedstawiła szacunkową liczbę Polaków zamordowanych na Wołyniu w latach 1939-1944 z rąk ukraińskich nacjonalistów – 50 tys. osób. Udokumentowano dotąd 34.647 przypadków zabójstw, zidentyfikowano z nazwiska 12.491 ofiar. Stan badań źródłowych nie pozwala obecnie na definitywne ustalenie liczby ofiar po obu stronach”.

Strona ukraińska podkreśla, że pierwsze akcje terrorystyczne były skierowane przeciwko Polakom zatrudnionym w administracji niemieckiej. Stwierdza się, że nie wszystkie przypadki zabójstw miały podłoże polityczne bądź narodowe. Eskalacji okrucieństw sprzyjała demoralizacja społeczeństwa będąca skutkiem ideologii i praktyki obu reżimów totalitarnych.

Uczestnicy spotkania uważają za niewłaściwe przypisywanie szczególnego okrucieństwa wobec wszystkich ofiar walk.

Strona ukraińska stwierdza, że nie istnieje żaden dowód wskazujący na podjęcie przez dowództwo UPA decyzji o eksterminacji ludności polskiej.

„Strona polska uważa, iż mimo braku dokumentów fakty świadczą o zaplanowaniu całej operacji.

Strona polska uznaje fakty eksterminacji ludności cywilnej za zbrodnię ludobójstwa. Odpowiedzialnością za jej zaplanowanie i zorganizowanie obarcza kierownictwo nacjonalistycznego OUN. Jednocześnie wskazuje, iż w ‘rzeziach wołyńskich’ wzięła udział znaczna część ówczesnej społeczności ukraińskiej tamtych terenów, i kładzie nacisk na potrzebę wyjaśnienia tego fenomenu. Historycy polscy akcentują też konieczność wspólnego ustalenia geografii i chronologii ‘zbrodni wołyńskich’ oraz bilansu strat poniesionych przez oba narody.

Strona polska uważa, że główną metodą walki, zastosowaną przez władze polskie przeciwko UPA działającej na terenach powojennej, południowo-wschodniej Polski, były wysiedlenia ludności ukraińskiej”.

●
Zajmujący się nauką języków obcych Ośrodek Szkolenia Kursowego „Wiedza” jest bardzo popularny, ma amatorów i

wśród mieszkańców wsi, zgłasza się tam tylu chętnych, że w niektórych szkołach nie wystarcza jeden zespół nauczania czy dwa, organizuje się po kilka naraz. Amatorów na język angielski. Inne nie budzą zainteresowania. W ubiegłym roku pomiędzy dziewięćdziesięcioma kompletami lekcyjnymi znalazł się jeden z niemieckim. Raptem dla dziesięciu osób.

W samym Przemyśle za godzinę korepetycji z angielskiego płaci się piętnaście złotych, z niemieckiego – osiem, nawet siedem. Jedyne języki, które interesuje rodziców uczniów i ewentualnie ich samych, to angielski. W II liceum ogólnokształcącym nie ma nauki rosyjskiego dla klas pierwszych (!). Z kolei w klasach z tzw. oprogramowaniem komputerowym obowiązuje... francuski, choć akurat w tym wypadku niezbędny byłby angielski, dominujący w programach komputerowych.

Co z tego, że żołnierze pułku stacjonującego w Przemyśle już poczuli, że NATO kosztuje, bo muszą wkuwać ukraiński? Tego języka uczono również w polskich szkołach na południowym wschodzie kraju przed wojną, ale nie dziś.

Rosyjskiego nie uczy się dokładnie nikt. O zainteresowanie ukraińskim lepiej nie pytać. Można się tylko ośmieszyć, a w najlepszym razie usłyszeć „do czego on komu?! Na bazarze zawsze się człowiek dogada”.

Jeżeli nadal tak będzie wyglądało przygotowanie do dwustronnie oplacalnego sąsiedztwa, to istotnie możemy się zadowolić liczeniem budek na bazarach.

Anna STROŃSKA

Kraj

Głosy i pieniądze

Nie ma jeszcze ostatecznych wyników wyborów samorządowych, ale politycy w Warszawie, niezależnie od przynależności partyjnej, wiedzą już, że nic nie zostanie po dawnemu.

Wielkim przegrywającym jest Unia Wolności, co pokazują znane już rezultaty z dużych miast, gdzie skupiony jest elektorat UW. Z 49 dotychczasowych stolic województw, tylko we Wrocławiu Unii Wolności, a właściwie prowadzonej przez nią koalicji, udało się wyjść na pierwsze miejsce (w 28 przoduje SLD, w 19 AWS, w jednym, w Skierniewicach, lokalna koalicja). Wygląda na to, że w skali kraju UW nie uzyskała nawet 10% głosów, co w porównaniu z wyborami parlamentarnymi sprzed roku oznacza stratę ponad 1/3.

Spoza dużych miast znane są już rezultaty wyborów do 16 sejmików wojewódzkich. Tutaj sukces SLD jest jeszcze wyraźniejszy: ma pierwsze miejsce w 9 sejmikach, gdy AWS tylko w 6, w jednym na Śląsku jest remis. Unia Wolności wypadła często gorzej niż Przymierze Społeczne (PSL-UP-emeryci). Koalicja SLD z Przymierzem umożliwia uzyskanie większości nawet tam, gdzie jak np. w Lublinie AWS ma więcej mandatów. Jest to o tyle ważne, że w nowym systemie marszałek Sejmu może być przeciwwagą dla wojewody.

Mimo, że brak jeszcze pełnych rezultatów, widać już, że lewicowy „elektorat protestu” z dużych miast został przejęty przez SLD. Stąd porażka tam Przymierza. Natomiast AWS wchłonęła wszędzie głosy potencjalnych zwolenników „Ojczyzny” i „Rodziny Polskiej”.

Jak z tego wynika, zwycięzcami wyborów samorządowych są SLD i AWS, w większej mierze ten pierwszy, gdyż

wg prowizorycznych obliczeń proporcja głosów (34 : 29 dla AWS w wyborach parlamentarnych) uległa odwróceniu, mimo, że Akcja odzyskała większość wyborców ze skrajnej prawicy.

Jedną z ważnych przyczyn polaryzacji rezultatów jest niewątpliwie ordynacja wyborcza. Poza małymi gminami (do 20 tys. mieszkańców) stawia ona przed mniejszymi ugrupowaniami dwie bariery, na wzór ordynacji do wyborów parlamentarnych. Jest to najpierw próg 5% głosów, liczony w odniesieniu odpowiednio do gminy, powiatu, czy regionu (województwa). Po drugie, jest to metoda rozdziału mandatów, tzw. metoda d'Hondta, która skutecznie „niszczy” małe formacje, zwłaszcza w okręgach z mniejszą liczbą mandatów. Ordynację taką narzuciły w głosowaniu sejmowym oba wielkie kluby AWS i SLD, powołując się, oczywiście, na dobro samorządu i państwa. W argumentacji pominięto jednak najistotniejszy wzgląd, który nimi kierował. Obie formacje są głęboko zainteresowane polaryzacją wszystkich wyborów, która dyscyplinuje własne szeregi. AWS swoją racją bytu uczyniła skupienie wszystkich antykomunistów, a właśnie teraz, wobec ruchów odśrodkowych „Ojczyzny” i „Rodziny Polskiej”, ten cel jest poddany w wątpliwość. SLD nie lubi samodzielnej konkurencji na lewicy w rodzaju Unii Pracy, obecnie, jako Przymierze Społeczne, konkurencji potencjalnie bardziej nieprzyjemnej, ponieważ wciągającej w pole rywalizacji elektorat wiejski.

Socjologowie będą to wszystko liczyć i interpretować, ale jest gołym okiem widoczne, że związany z ordynacją efekt „głosowania użytecznego” sprzyjał polaryzacji wyników. Tym bardziej – i tu przechodzę do drugiej przyczyny spolaryzowania – że kampania wyborcza była przez wszystkich prowadzona jako polityczna i ogólnopolska i wobec tego względy lokalne i pozapolityczne zalety kandydatów nie mogły odegrać roli, jaką powinny mieć w wyborach samorządowych. Można to częściowo tłumaczyć nowością instytucji – powiatu i regionu – ale chyba jednak głównym powodem takiego upolitycznienia i paradoksalnej centralizacji kampanii była świadoma wola uczestników. Ta zaś najczęściej wynikała ze słabości. Pisałem w swoim czasie, że najgłębszym powodem przywrócenia powiatów jest zgodna nadzieja głównych for-

macji politycznych, że sobie w ten sposób stworzą w terenie lepsze bazy kadrowe, rzesze aktywistów, notabli i urzędników. Tymczasem jednak jest jak jest: pusto. Nasi politycy w Warszawie i w największych miastach są jak głowy bez nóg. Nie dziwota, że w kampanii, w której 260 tys. kandydatów obsadzić miało 64 tys. miejsc, nie próbowano nawet przedstawiać tych kandydatów wyborcom (pomijając gdzieś ulotki). Nie było np. w ogóle spotkań z wyborcami – pod pretekstem, że „ta forma jest niepopularna” podczas gdy w istocie politykom brak umiejętności kontaktu i dialogu; ponieważ jednak w wyborach samorządowych media ani nie mogą, ani nie chcą prezentować kandydujących, pozostali oni do końca nieznanymi wyborcom. W rezultacie wybory samorządowe w Polsce AD 1998 nie przyczyniły się w niczym do obywatelskiego rozbudzenia: głosować poszli ci, którzy interesują się polityką a i to, oczywiście, nie wszyscy. Dodatkowym bowiem powodem nikłego zainteresowania wyborców i niskiej frekwencji, było kompromitująco nieudolne wprowadzanie reformy administracyjnej tak, że wybierano radnych do sejmików wojewódzkich i rad powiatów bez rozeznania, jakie właściwie będą możliwości działania tych ciał (brak ustawy finansowej). W przeddzień wyborów media rozgłosiły po Polsce, że kreowane z takim szumem powiaty będą miały w budżecie zaledwie 4% dochodów własnych: 36% mają stanowić subwencje (które Warszawa formalnie zobowiązana jest dać, ale w praktyce niekoniecznie daje), natomiast aż 60% dotacje do spożytkowania na wyznaczone w Warszawie cele. Nawet interpretując te liczby w sposób najbardziej przychylny „ojcom reformy” – że np. powiaty są jeszcze niewdrożone i niewypróbowane – niepodobna było uniknąć wniosku, że reformatorzy potraktowali wyborców jak myszki w labiryncie: niech sobie pobiegają, sprawdzimy, jak się sprawuje nasze urządzenie. Mało kto lubi rolę myszki... Łatwo też zrozumieć, że ta niepowaga pierwszej prezentacji nowych instytucji wyborcom obciążała przede wszystkim Unię Wolności, która uchodzi powszechnie za autora reformy administracyjnej.

Cały powyższy wywód nie dotyczy w zasadzie gmin małych z głosowaniem nominalnym i większościowym, skąd jeszcze brak zbiorczych rezultatów. Ale ciąg dalszy dotyczy również tego tematu.

Sprawa, która wyraźnie dominowała w tej politycznej kampanii było rosnące z tygodnia na tydzień zamieszanie wokół rządowych projektów budżetu i reformy podatkowej. Rząd opóźnił był o miesiąc przesłanie preliminarza do Sejmu, z czego znaczna część mediów i cała opozycja wywnioskowały, że Balcerowicz szykuje nowe cięcia w wydatkach, a Buzek nie chce się do tego przyznać przed wyborami. Oficjalnie wyjaśniano, że opóźniono budżet, ponieważ najpierw trzeba uchwalić nowelizację ustawy podatkowej na r. 1999 (nim nastąpi od 2000 „wielka” reforma podatków, o której mowa w „Białej Księdze” Balcerowicza). Ale takie eksplikacje nie polepszyły sytuacji, ponieważ nowelizacji też nie było: posiedzenie Sejmu, na którym miało się odbyć pierwsze czytanie, odroczone do 13 października... dwa dni po wyborach. Wszystko to nasuwało podejrzenie, że władza szykuje nam kolejny pasztet, a ponieważ władza od budżetu i podatków, to w świadomości ogółu wicepremier Balcerowicz, za podejrzenia nie mogła nie zapłacić Unia Wolności. (Na posiedzeniu prezydium Unii, 13 października, dyskusja była ostra i, jak ujawnił Jan Król, unijny wicemarszałek Sejmu, zalecono, by wicepremier konsultował swoje wystąpienia z kierownictwem partii i klubu...)

Nowelizacja podatkowa, o której dzięki niedyskrecjom było już i tak głośno, sprowadza się do: obniżki podatku dochodowego od osób prawnych do 32% z jednoczesnym zniesieniem ulg inwestycyjnych, skreślenia ulgi budowlanej (z zachowaniem remontowej) w podatku dochodowym od osób fizycznych i wprowadzenia opustu podatkowego dla rodzin z trojgiem i więcej dzieci (190 zł na jedno dziecko). Przedłożenie rządowe spotkało się z kontrą zarówno posłów AWS jak SLD. Posłowie ZChN zgłosili projekt tzw. podatku prorodzinnego, tj. obniżania stawki w zależności od liczby osób na utrzymaniu podatnika; SLD zgłosiło natomiast projekt ustawy o świadczeniach na rzecz rodziny, adresowanych do rodzin biednych. Wszyscy domagali się utrzymania ulgi podatkowej, choć SLD gotów byłby „wymienić” ją na wspieranie budownictwa komunalnego o niskich czynszach. Leszek Balcerowicz z miejsca wycenił te wszystkie projekty na „4 do 12 miliardów złotych” to jest „poważną szkodę lub

ruinę finansów państwa”. Wszystkie wnioski powędrowały do komisji.

Swoje wystąpienie w Sejmie – znakomite pod względem formy, zwarte, twarde i logiczne, i... nie na temat, ponieważ pasowałyby, zdaniem Henryka Goryszewskiego z AWS, do debaty nad budżetem – Balcerowicz rozpoczął opisem Wielkiego Węża Kryzysu, którego sploty okrażają ziemię, a któremu oprzeć się można wyłącznie „uzdrawiając jeszcze szybciej finanse publiczne”...

Z podsłuchu w Ministerstwie Finansów można się tymczasem dowiedzieć, że projektowany preliminarz budżetowy zakłada wzrost PKB w 1999 o 5,1% wobec poprzedniej prognozy 6,1% (doradca ministra, Stanisław Gomułka sądzi zresztą, że i to nowe założenie jest mało realne i że trzeba poprzestać na „czymś pomiędzy” 4% i 5%). Mniejsze więc będą dochody budżetu, ale w preliminarzu zakłada się nieodmiennie deficyt 2,15% PKB. Trzeba więc ciąć wydatki – wicepremier wspomina o 200 mln zł. Warto dodać, że cała ta kalkulacja opiera się na wycenie inflacji przyszłorocznej: 8,5% średnio rocznie i 8,1% grudzień do grudnia. Ale „deflacioniści”, jak wspomniany Gomułka, sądzą, że będzie niższa wobec osłabienia wzrostu. To jednak znaczy, że niższe będą też dochody budżetu.

28 października preliminarz powinien znaleźć się w Sejmie i wtedy dopiero rozpocznie się prawdziwa bitwa. W przygotowaniu do niej, najwyraźniej w intencji zgromadzenia maksimum rezerw finansowych, rząd mimo dekonstrukcji forsuje wielkie prywatyzacje, z Telekomunikacją Polską SA. Kiedy giełda zaczęła padać, panowała opinia, że rząd odroczy tę prywatyzację do lepszych czasów. 14 października, po całodziennym posiedzeniu rządu poświęconym tej sprawie, Jerzy Buzek oświadczył jednak, że czekać nie można, bo „dekonstrukcja potrwa kilkanaście miesięcy”... Trudno w tych notatkach zajmować stanowisko, czy, kiedy, komu i za ile najlepiej byłoby sprzedać TP SA. Natomiast jest całkiem pewne, że sprawa ta zmobilizuje przeciw rządowi bardzo znaczną część opinii, z lewa i z prawa.

Minister skarbu, Emil Wąsacz, który będzie tę sprzedaż organizował, nie cieszy się, by powiedzieć najdelikatniej, zaufaniem opinii. Dokonana przez niego ostatnio sprzedaż

Domów Towarowych Centrum została napiętnowana przez Najwyższą Izbę Kontroli jako bezprawna (poza przetargiem) i za jawnie zaniżoną cenę (58 mln zł niedoboru wg NIK), NIK przekazał pismo prokuraturze z żądaniem wszczęcia śledztwa o niedopełnienie obowiązków i przyczynienie strat Skarbowi Państwa. PSL zapowiedział wnioski w Sejmie o Trybunał Stanu. Jeśli premier Buzek i AWS postanowią zlekceważyć te oskarżenia i powierzą Wąsaczowi prywatyzowanie Telekomunikacji, to koszt polityczny takiej brawury okaże się zapewne zabójczy. Ale premier Buzek ciągle jeszcze ma w rezerwie zapowiadany „przeгляд” rządu po roku funkcjonowania: idealna okazja, by pozbyć się Wąsacza. Niestety, wygląda na to, że od czasu, kiedy pozbyła się Wałęsy, formacja Mariana Krzaklewskiego nie umie pozbywać się kogośkolwiek, kto sam nie odchodzi.

3.

Przywódcy AWS w kampanii samorządowej ukazywali się wyborcom jako nieskłonni do żadnego dialogu, bezwzględni pogromcy postkomuny; jesteśmy gotowi na koalicję z każdym, tylko nie z SLD, powtarzał codziennie Marian Krzaklewski i domagał się od Unii Wolności podobnego zobowiązania. Przywódcy Sojuszu eksploatowali wprawdzie bez litości wszystkie błędy i potknięcia rządowych reformatorów, ale tak, by nie sprawiać wrażenia opozycji „za wszelką cenę”. Przeciwnie, SLD, a celował w tym Leszek Miller, przedstawiał się jako opozycja konstruktywna, zawsze gotowa wesprzeć rząd w dobrej sprawie, szczególnie gdy wewnątrzkoalicyjne spory grożą mu porażką. (Koronnym przykładem była ustawa o prokuraturze generalnej, która wyrwała ją z rąk ministra skarbu wbrew posłom AWS). Krzaklewski dzięki swej kampanii odzyskał głosy radykałów z prawicy – na jak długo? – Miller natomiast otworzył sobie pewne dodatkowe pola manewru. Wyżej wspomniana debata podatkowa (pierwsze czytanie), w której Henryk Goryszewski z AWS, przewodniczący komisji finansowej Sejmu i Marek Wagner z SLD wspomagali się nawzajem, była tego pierwszą próbą.

Wybory samorządowe naruszyły głęboko układ sił w rządzącej koalicji. Szeregowi posłowie AWS posuwają się tak daleko, że nie tylko chcą odrzucać projekty Balcerowicza, ale

w ogóle opowiadają się za ograniczeniem jego kompetencji na rzecz Jerzego Kropiwnickiego z Centrum Studiów Strategicznych, który ma zupełnie odmienną wizję kryzysu i odmienną, antydeflacyjną recepturę zaradczą. Wyborcy „osądzili” wicepremiera i trzeba im dać satysfakcję, sugerują ci posłowie. Jeśli głowa czy choćby ucho Balcerowicza uznać za postulat na wyrost, to jednak na pewno AWS będzie nalegać na zobowiązanie UW do pełnej wierności koalicyjnej, od gminy do parlamentu, od wójta do wicepremiera. Otóż Unia Wolności, rozgoryczona wynikiem wyborów, zachwiana w swej wierze w geniusz szefa, płonie żądzą odbicia sobie klęsk a to dzięki jednemu jedyemu argumentowi, który jej pozostał: bez UW Akcja nie będzie w stanie rządzić niemal nigdzie w terenie. Powtarza się historia innych liberałów z niemieckiej FDP, którzy też się „wozili” wygodnie na silniejszym partnerze. Pisałem już o tym w poprzedniej *Kulturze*, kiedy jeszcze sondaże dawały Unii pewne 14-15% głosów. Teraz, przegrani unicy nie rezygnują: domagają się rewizji umowy koalicyjnej i „udziału” w nominacjach nowych wojewodów (dotąd wszyscy są z AWS) i nie zamierzają odstąpić od neoliberalnej strategii swego szefa.

Media zaprzyjaźnione z Unią Wolności promują teraz energicznie wicepremiera jako międzynarodową sławę i jedyne Polaka, do którego ma zaufanie amerykański kapitał. O nagrodzie dla Balcerowicza jako „najlepszego ministra finansów” pisano jakby to była Nagroda Nobla. Zresztą sam wicepremier też mówi nieustannie o „zaufaniu zagranicznych kapitałów inwestycyjnych” tak, że niektórym robi się trochę niesmacznie.

Koalicjanci będą ostatecznie zmuszeni się dogadać. Ale po tej kolejnej rundzie targów i szarpaniny – w stosunkach wzajemnych niewiele zostanie z uczuć chrześcijańskich.

Warszawa, 15 października 1998

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Bardziej od dolegliwości naszej polityki trapi mnie pewien obywatel, zapewne chory, który codziennie o godzinie 6.30 rano z obłądną punktualnością trzepie na pobliskim trzepaku dziurawy koc. Elegancko ubrany, robi to długo, starannie i pedantycznie. Gdyby wszyscy w Polsce tak pracowali, zbudowalibyśmy szybko drugą Japonię. Uderzenia jego trzepaczki grzmiały o świcie jak wystrzały armatnie. Całe szczęście, że nie mam dubeltówki. Pisząc w południe widzę przez okno ten sam trzepak. Teraz jego poprzeczka jest zagospodarowana przez wdzięczne zakończenia pleców kilku nastolatek, zapewne z pobliskiego liceum. Nie słyszę szczegółów rozmowy tylko jej znaki przestankowe, to „kurwa”, plus kilka słów pokrewnych. Powinienem już przyzwyczać się, że nasze coraz bardziej eleganckie ulice gęste są od przekleństw, tak wielka jest inwazja wulgaryzmów w nasz codzienny język. Dziewczęta chcą dzisiaj dorównać męskim chamom, oto smutny znak równouprawnienia w głupocie. Pod moją bramą gwar tego samego co zawsze stadka alkoholików. Ale słysząc też bardziej optymistyczny zgiełk wielkiej budowy pobliskiego Europlexu, centrum kinowo-biurowego, które rośnie w miejscu wyburzonego kina Moskwa. Tuż obok już stoi pachnące nowością szklano-metalowe centrum bankowe. Kapitalistyczny rekin bez głowy i gustu, pomnik i świadectwo, że pieniądze są u nas dzisiaj górą nad estetyką. W ostatnim roku kilka pobliskich zapyziałych sklepików przeistoczyło się w eleganckie salony. W tłumie na chodniku jest więcej dobrze ubranych ludzi, którzy coraz bardziej się śpieszą. Powiewają krawatami, żakietami, ciągną za sobą welony zapachów najlepszych perfum, rozmawiając przez telefony komórkowe. W Warszawie, nie do wiary, jest zarejestrowanych 500 tys. przenośnych telefonów! To jest ta nowa Polska, tuż obok zniszczonej, pognicionej i nadgniłej.

Humanizacja naszego życia politycznego ma swój zwierzęcy wymiar. Wicepremier Janusz Tomaszewski jako minister spraw wewnętrznych wydał oto rozporządzenie w sprawie „ogólnokrajowego wyłapywania bezdomnych psów i kotów...”. Mają powstawać firmy hyclowskie i rozpocznie się wielkie polowanie. Tak wciela się w życie uliczne pewien typ myślenia, który reprezentuje narodowa prawica. Problemy należy wyłapywać i dusić. W podobnym czasie, wojewoda katowicki Marek Kempki, wydaje nakaz wymiatania narkomanów z centrum miasta. Ja właściwie rozumiem zwolenników żelaznej miotły, sam w pierwotnym odruchu, posunąłbym się nawet dalej. Minister Tomaszewski urzęduje od mojego domu o rzut, przepraszam, kamieniem i o ten rzut kłębią tabuny alkoholików. Bezczelnie, mimo prawnego zakazu piją na ulicy wino marki „Wino”. Więc czasami widzę oczyma wyobraźni jak nadjeżdża odkurzacz i zasysa całe towarzystwo. I od tej chwili ich skrzekliwe głosy już nie rysują szyb moich myśli. Tak marzy mój instynkt pierwotny, gdy kultura, wiedza oraz rozsądek każą tolerować chorych alkoholowo w imię myślenia szerokiego. Po alkoholikach, kto wie, może zaczęto by wyłapywać ludzi piszących wiersze? Co wrusza w sprawie polowania na bezdomne zwierzęta? Protest przeciw tej ustawie dokonał cudu, jakiego nie widziały ostatnie lata, – połączył nasze polityczne skrajności. Tych oskarżanych o skrajną lewicowość i prawicową paranoję. Aż 400 osób podpisało protest w obronie psów i kotów, znani artyści, politycy, nawet skrajnie prawicowi jak Jan Olszewski, Antoni Macierewicz i Jarosław Kaczyński, a obok socjaldemokrata Bugaj, ludowiec Zych, nawet pisarz Andrzej Szczy-piorski znienawidzony przez prawicę i szczerze jej niecierpiący. Nie pamiętam w ostatnich latach przyjęcia, gdzie spotykałiby się ludzie z tak różnych parafii. Tak się porobiło, że już nawet w teatrze i na koncertach widuję ludzi z jednej formacji. Protestujący piszą m.in.: „radykalne ograniczenie liczby ‘dzikich’ kotów domowych grozi ogromnym wzrostem populacji szczurów i myszy. Administracje domów powinny więc zapewnić kotom dostęp do ogrzewanych zimą pomieszczeń, a opiekunom zwracać koszty antykoncepcji z pieniędzy przeznaczonych na środki czystości”. Wyjaśniam, że chodzi o zwierzęcą antykoncepcję, pod ludzką Macierewicz

nigdy by się nie podpisał. Oto kolejny dowód od lewicy do prawicy, że wolimy zwierzęta od ludzi. Kto wie czy pieskie i kocie życie nie stanowi szansy na uratowanie zdrowego rozsądku naszej politycznej sceny, pod którą harcują szczury i myszy. Dla nich jak widać litości już nie ma nikt.

Od kilku miesięcy prześladują mnie liczne zbiegi okoliczności. Choćby spotykam w zaskakujących miejscach ludzi znajomych, od lat niewidzianych, o których niedawno myślałem. Za dużo tego jak na zwykły zbieg okoliczności, za mało, abym uwierzył, że jest w tymś czyjś palec, no bo czyj na Boga! Przecież ja w Niego nie wierzę, a gdyby On nawet miał palec, to nie zajmowałby się wprawianiem mnie właśnie w ambaras. Mimo wszystko mój racjonalizm jest poddawany zabiegowi łaskotania. A po kilkunastu takich przypadkach czuję jednak niepokój. Ukoronowaniem tego zjawiska była chwila, gdy krojąc sernik opowiadałem swemu gościowi, że wszędzie znajduję metalowe spinacze. I znalazłem spinacz w serniku. Wyszedłem na głupka i oszusta, kolega był pewien, że spinacz podłożyłem. Idąc do J. myślę o Zbyszku Bujaku. W mieszkaniu J., w stanie wojennym i potem, przez lata pracowała na pełnych obrotach fabryka podziemnych książek. To tam byłem umawiany przez łączników na wielce tajne spotkanie z Bujakiem, najbardziej poszukiwanym członkiem w całej historii PRL-u. Na szczęście wcześniej mnie złapano. Od lat nie widziałem Zbyszka. Tak ostro wyraźnie pamiętam jego chłopięcą twarz na spotkaniu z pisarzami w roku 81, był szefem warszawskiej „Solidarności”. A literaci wpatrzni z miłością w młodego, inteligentnego i przystojnego robotnika. Ta miłość była inna, ale też jakoś podobna do wiary w robotnika z lat 50-tych. Potem przyszły rozczarowania i nadszedł czas Wrzodaka. Idąc do J. i myśląc o Bujaku wpadam na dzisiejszego Zbyszka Bujaka, który maszeruje w masce swoich ponad 40 lat, niosąc biznesową walizkę. Kiedy, jak i po co wymieniliśmy swoje twarze na mniej foremne? Uderzam go od razu obuchem zasadniczych pytań. Pytam o zmarnowane szanse, o roztrwonienie naszego mitu. On i Frasyniuk, to były największe prawdziwe gorące mity stanu wojennego. Nie zostało z tego nic! Czasami wydaje mi się, że tylko ja mam jakieś naiwne sentymenty. Mówi, że

myślał o tym wielokrotnie i o swoich błędach. Wiedział, że jego mit jest wielkim politycznym kapitałem. Wchodząc jednak do polityki, nie mógł go nie potłuc, a gdyby stanął z boku, inni za niego roztrwoniliby wszystko. To chyba prawda? Żegnamy się. Ja ruszam do J., a wchodząc do windy, przypominam sobie, że wtedy nigdy nie byłem pewien w czyje ramiona wpadnę na ostatnim piętrze. Ten dom ma teraz nową, piękną, secesyjną fasadę, wtedy był w ruinie, ale klatka schodowa nie zmieniła się i jest równie obskurna. Tyle u nas odnowionych fasad, które kryją niezmienną tył. Wiem, że pisałem o J. już kilkakrotnie, to jeden z wielu zapomnianych bohaterów tamtej wojny, kto wie czy nie najszybciej wyblakłej wojny w naszej historii. A wracając do stanu wojennego; tu znowu się powtarzam, skala zaangażowania ludzi, emocji, gotowości do poświęceń, była zdumiewająco wielka wobec dzisiejszej niepamięci, a też lekceważenia tamtego czasu przez nas samych. Tylko narodowo-prawicowe gnojki robią z tego polityczny pasztet dla swoich małych, politycznych wojen, ludzie, których zwykle nikt z tamtego czasu nie pamięta. Ale nawet narodowa prasa przypomina, że podczas sierpniowego strajku Marian Krzaklewski był z żoną w Bułgarii. J. nadal prowadzi wydawnictwo, ale jest maleńkie i ledwie zipie.

Na przyjęciu promocji książki mojej przyjaciółki K. spotykam Basię Labudę, dzisiaj znaną panią minister u boku prezydenta Kwaśniewskiego. Był czas, że miałem o to do niej żal. Przecież to ona z Frasyniukiem tworzyła legendarną parę wrocławskiego podziemia, przez tyle lat. To drugi po Bujaku mit „Solidarności”. Ale im częściej jej dzisiaj słucham, tym mniej potrafię gniewać się, że przytuliła się do postkomunistycznego prezydenta. Wydaje się jednak w tym przytuleniu uczciwa i autentyczna, a wiele jej inicjatyw jest po prostu sensownych i dla kraju ważnych. Trochę mi teraz przeszkadza, że mówi o prezydencie Olek, ale widzę, że ona naprawdę w niego wierzy. I nie potrafię zaprzeczyć, że Kwaśniewski nie jest najgorszym prezydentem, tylko czasami zachowuje się bez klasy, choćby gdy ostatnio popiera SLD tuż przed samorządowymi wyborami. Nie ma jednak w Basi naiwnej wiary w SLD, bynajmniej, widzi ich cynizm, brak koncepcji, oprócz koncepcji ponownego przejścia władzy. Podobnie jak ja, nie

ma swojej partii i też boli ją, że Unia Pracy kompromituje się gadając głupstwa i wchodząc w alianse z populistycznym PSL-em. Brakuje nam mądrej i przyzwoitej socjaldemokracji. Ale też brakuje silnego politycznego centrum, no i rzecz jasna też zdroworoządkowej prawicy. Ale chociaż na scenie politycznej więcej jest niepowagi niż powagi, patrząc na życie polityczne innych krajów, widać jak na dłoni, że chociaż mamy powody by się złościć lub kpić, to nie mamy powodów do rozpacz. Labuda podobnie jak ja uważa, że Polsce najbardziej zagraża myślenie zamknięte i obskurantstwo. To dlatego poszła do prezydenta. I to nas jednak różni. „Nie wiedziałam, że jesteś lewicowiec”, mówi do mnie. Obruszam się. Ja lewicowiec? Słucham, jestem ciekaw, co we mnie jest lewicowe, oprócz lewej ręki. Czy pewna wrażliwość na ludzką krzywdę? A może niechęć do myślenia neoendeckiego? To za mało. Jestem za liberalną gospodarką, nawet za drapieżnym modelem ekonomicznym, szczególnie na początku naszej podróży w dobrobyt. Jestem poza tym indywidualistą, nigdy nie należałem do żadnej organizacji, nawet do „Solidarności”. Nie ma we mnie cienia kolektywizmu, nie wierzę w mądrość ludu, w recepty na szczęście, ani w społeczne środki radykalne. Jaki ze mnie lewicowiec? Najwyższy czas zasiąść do słownika nowych pojęć, bo używając słów „lewica”, „prawica”, gadamy głupstwa. A co robi mój dawny idol Władek Frasyniuk, który mocząc się tak długo w politycznym basenie, chyba jednak nie utonął? Ze zdumieniem widzę, że jest honorowym przewodniczącym komitetu organizacyjnego walki bokserskiej Gołoty z Witherspoonem. Frasyniuk oświadcza, że „boks jest uczciwszy od polityki”. Kooperuje więc z Solorzem, właścicielem telewizji Polsat, człowiekiem o więcej niż zagmatwanej biografii. Do wrocławskiej Hali Ludowej przybyli liczni znani politycy i nie mniej liczni polscy mafiozi, proszę jaka Ameryka! W czasie walki tłum wył: „chcemy krwi”. Co wtedy czuł Frasyniuk? Czy zbrzydzonej polityką zbrzydził się też moralnością i myśli już tylko o pieniądzach? Kiedy o tym myślę, też chcę mi się wyc. Ale jakoś głupio, więc sam zaczynam myśleć o pieniądzach.

A Krysia K., gdy już wypromowała swoją książkę, wyciąga swój telefon komórkowy i mówi: „Przyznam się wam że ja go kocham, tak, kocham swój komórkowy telefon”.

Czasami próbuję sobie wyobrazić jak brzmiałyby te rozmowy w naszych uszach na początku lat osiemdziesiątych. Zupełnie realistycznie.

Młody człowiek u mnie, zbiera materiał do leksykonu polskiej opozycji, interesują go lata 80-te. I pomyśleć, że to już taka archeologia. Dla niego to jak dla mnie powstanie warszawskie. Mylą mi się daty i imiona. On wie lepiej, bo gadał z wieloma osobami. Kto był na pierwszym spotkaniu, gdy zakładaliśmy nasze podziemne pismo? Pamiętam już chyba nie rzeczywistość, a to co o tym spotkaniu po latach opowiadałem. Pamięć odległych zdarzeń jest kilkakrotnym odbiciem naszych wizji, więc otrzymujemy niepewny skrawek. Gdy można to zweryfikować, widać jak jest on odległy od faktów, jeśli w ogóle pojęcie faktu ma rację bytu wobec przeszłości. To budzi nieufność wobec wszystkich relacji i wizji przeszłości, też tej zastygłej w postaci historii. Najlepiej pamiętam z tamtego smak emocji: nienawiść, lęk, gorycz i radość małych naszych zwycięstw.

Rankiem idę do P. Otwiera z trudem drzwi, bo ręce ma po łokcie we krwi. Czekam kilka minut aż skończy zabieg. Daje mi na ten czas do przeczytania kilkanaście listów od przyszłych pacjentów. Świat jest pełen wielkich dramatów, trzeba tylko odchylić kołdrę. P. kiedyś nasz doktor Judym, na polskich wsiach leczył biednych, a dzisiaj przeszczepia włosy. Setki tysięcy mężczyzn jest torturowanych przez różne stadia łysiny. P. uzupełnia włosy, czyli te z natury gęstsze z tyłu głowy przeszczepia na jej przód. Przeglądam listy: „Mam włosy jeszcze z przodu, ale już bardzo wysokie czoło i za cienkie włosy, natomiast dalej na głowie są gęste włosy i po tyle głowy są gęste. Jestem rolnikiem, na wsi mieszkam. I nic mi nie wychodzi, ponieważ jestem tak mocno załamany przez te włosy, które są ozdobą całej osoby”. Inny cierpiący 25-latek, pisze: „straciłem nie tylko włosy na głowie, ale przyjaciół i znajomych. Straciłem także nadzieję na małżeństwo, gdyż dziewczęta omijają mnie jak mogą. A żyć aby przeżyć swoje życie bez żadnego celu, to nie życie, ale wegetacja, oczywiście w moim odczuciu”. A tak zaczyna się list młodego, łysiejącego żołnierza, pisany na warcie w odległej jednostce: „Jak rzeka zaczyna swój bieg, tak ja zaczynam od

serdecznych pozdrowień”, dalej są dramatyczne słowa: „jestem kompletnie łysy z przodu, a na czubku głowy mam jezioro”. Mój przyjaciel myje ręce, inkasuje pieniądze i żegna otulonego bandażami kolejnego pacjenta, który stracił coś z tyłu a zyskał z przodu. Gadamy o tym i owym, też o luksusie jego życia z dużymi pieniędzmi, dyskomforcie braku czasu. Wychodzę, bo nie ma czasu, jadę, jak się okaże, w kierunku kolejnego zbiegu okoliczności. Do wielkiego magazynu sportowego, o którym kilka dni temu dowiedziałem się, że jest w nim wielka przecena. Sklep ma kilka pięter i podziemny garaż dla klientów. Kupuję bez trudu narty, taka miła obsługa, a widząc wielki wybór tenisowych rakiet, zaspakajam swój nalgóg i próbuję kilka najnowszych modeli na wewnętrznej tenisowej ścianie. Zastanawiam się kim może być właściciel takiego imperium? Odpowiedź zbliża się do mnie z zaskakująco-przyjaznym uśmiechem, ten człowiek idzie wśród takiego uszanowania personelu, że od razu widać, że szef. Kulturalna twarz i jakaś ku mnie osobista życzliwość. Przedstawia się, Tomasz P. Tak, to był rok 62, Zakopane, byliśmy na obozie narciarskim, skrojonym na miarę tamtych dziadowskich czasów. Drewniana chałupa, pachniało krowim łajnem, uczyła nas jeździć na nartach leciwa niewiasta (leciwa, czy jednak nie była w naszym dzisiejszym wieku?), pokazywała jak skręcać z pługą na żałośnie płaskiej górze bez wyciągu. To na tej górze narodziła się idea tego sklepu. A zbieg okoliczności? Otóż był z nami wtedy J., przed chwilą widziany lekarz od włosów. W dzień po przyjeździe, bez pytania o zgodę, pamiętam, poszli dwaj smarkacze na Giewont, ja byłem na coś takiego zbyt rozsądny. I chyba nie przypadkiem tak dobrze sobie teraz obaj radzą, gdy ja taki rozsądny, co prawda mam swoje włosy, a nawet nowe narty, ale przy nich klepię biedę. Idę z moim kolejnym zbiegiem okoliczności pogadać do jego biura, gdzie cały sklep monitorują telewizyjne kamery. Posiada 7 takich magazynów w największych polskich miastach. Też uważa, że naszą chorobą narodową jest narzekanie ale ostrzega, że on też trochę ponarzeka. W Polsce nadal niewielu ludzi uprawia sport. Ci, którzy dorabiają się, nie mają czasu, nie ma też tradycji dbania o zdrowie, nie ma masowego sportu, a jak na kraj, gdzie mieszka 40 milionów ludzi, zastrasząco mało sprzedaje się

sportowego sprzętu. Ja sam to widzę na kortach tenisowych, których w Warszawie nie przybyło, a nie mam nigdy problemu z rezerwacją. Chyba nawet mniej ludzi gra w tenisa i jeździ na nartach niż przed rokiem 89, nie do wiary ale tak jest. Inny jego dramat, to brak czasu. Przyjeżdża tu o świcie, wieczorem wraca i idzie spać. On też ma problem z kim identyfikować się politycznie, boli go, że nie zdrowy rozsądek cieszy się największym społecznym poparciem. I boli, że niczego w życiu nie stworzył, w przeciwieństwie do mnie, a śledzi wszystko co piszę wzruszająco starannie. Mówię: „Stworzyłeś siedem sklepów. Ty sprzedajesz narty, rowery, rakiety, a ja słowa. I obaj jesteśmy tym śmiertelnie zmęczeni, a poza tym wszystko jest Okey”.

Pełnomocnik do spraw rodziny, minister Kazimierz Kaspera, narodowo-prawicowo-radiomaryjny, walczył skutecznie przeciwko dotacjom do pigułek antykoncepcyjnych. Bo to grzech używać pigułki, bo Kościół, religia, Papież, bo Polska potrzebuje zwiększenia populacji by naród rósł w siłę. Dlatego ostatnio proponuje dotowanie viagry, podobno rewelacyjnego, ale kosztownego środka na męską potencję. Wedle ministra, męski, narodowy wigor zwiększy dzietność kraju. Problem, że brakuje nam środków na leczenie dzieci chorych na choroby nowotworowe. Doceniam problemy wielu mężczyzn, i gdyby były środki na dotowanie viagry, nie ma powodu by nie wesprzeć potrzebujących. Nie jest to jednak lek pierwszej potrzeby. Ani tak społecznie ważny jak pigułka antykoncepcyjna. Zresztą jest rzeczą oczywistą, że co drugi mężczyzna w Polsce chciałby przynajmniej spróbować takiego dopingu. Znacząc siłę autosugestii, szczególnie w tej delikatnej sferze, wielki sukces viagry jest gwarantowany. Nie wiem czy Polska stałaby się bardziej dzietna, pewne tylko, że budżet tego nie wytrzyma. Myślenie kategoriami narodowej dzietności, oto przykład bęcwalstwa, które jest śmieszne, dopóki nie ma władzy. Pisałem w poprzednim tekście o wojewodzie warszawskim Macieju Gieleckim, on też z rodziny prawicowo-narodowej, co bynajmniej nie przeszkodziło mu przyjąć gratis na wakacje samochodu od firmy Fiat, o co zrobiła się afera. Oczywiście nie stracił pracy, stał się nawet bardziej aktywny. Zaproponował na warszawskim placu

Piłsudskiego na 11 listopada postawienie gigantycznej konstrukcji, coś w rodzaju atrapy Pałacu Saskiego, w środku ma być wystawa „Tysiąc lat martyrologii Narodu Polskiego”. Rzecznik wojewody opowiada: „Plac Piłsudskiego to miejsce szczególne. Tu na Jasną Górę swoje pierwsze kroki kieruje Polonia. Plac ma formę sanktuarium. To będzie testament, z którym Polacy wejdą w XXI wiek. Musimy jako naród coś przenieść; wspomnienia”.

Myślenie narodowe jest nadal myśleniem w kategoriach kłęski narodu, która liczy sobie nie wiedzieć czemu aż tysiąc lat, i która nadal trwa, bo nasza wolność jest zjadana przez robaka libertynizmu. Polska jako Hiob narodów, przecież to stały motyw narodowo-prawicowych mass mediów. Karmi to myślenie kanon szkolny polskiej literatury. Tu radykalnych zmian być nie może, bo taka była nasza literatura. Ale można ten model przeprofilować i kłaść nacisk na światło, nie na mrok. Na szczęście jest w Polsce coraz większy opór przeciwko myśleniu parafialnemu i martyrologicznemu. Tylko jakie myślenie wejdzie w ten dawny romantyczny i szlachecki model? Miejmy nadzieję, że pełen światła i humoru będzie film „Pan Tadeusz”. Siedzę obok Wajdy na uroczystym otwarciu Warszawskiej Jesieni, koncert uświetniła siedząca w pobliżu królowa Szwecji Sylwia. Tegoroczna impreza jest pod znakiem nordyckiej muzyki. Nie podoba mi się ta nowoczesna muzyka. Wajdzie też nie, trafnie zauważa, że obok różnych dysharmonii, jest też bolesny rozdźwięk między klasycznym wyglądem orkiestry a tym co grają. Na szczęście w finale jest piękna IV symfonia Lutosławskiego. Nigdy nie zapomnę go jako człowieka, był tak młody w wieku 80 lat i niebywała wiedza ze wszystkich dziedzin kultury, co rzadkie u muzyków. Wajda ma tydzień do ukończenia zdjęć do „Pana Tadeusza” i jest bardzo zadowolony. Byłem sceptykiem wobec idei kręcenia „Pana Tadeusza”. Teraz czekam z nadzieją.

Nikt nie jest już w stanie napisać niczego oryginalnego na temat erotycznej afery Clintona. Ma miejsce największa w historii świata reklama form seksu, za które niedawno Kościół był gotów palić na stosie. Właśnie w chwili, gdy polscy biskupi każą czytać z ołtarzy list pasterski w sprawie walki z porno-

grafią, nawet nasze dzieci z pierwszych klas mogą zapoznać się z seksualnymi detalami w codziennych gazetach. Wyobraźmy sobie zakłopotanie rodziców, którzy są potem zasypywani gradem pytań. Tak oto demokracja zmieniła się w pornokrację, zdarza się. I jest jakaś głęboka prawda na temat świata, który widzimy od fasady. Kiedy wjedzie się na zaplecze, jest trywialność i niekompetencja, czego ilustracją niech będzie scena, gdy prezydent największego demokratycznego mocarstwa załatwia przez telefon sprawy państwowej wagi, gdy stażystka zabawia się jego męskością. A na marginesie, zrobiono w Polsce badanie opinii publicznej w sprawie tej seksualnej afery i okazało się, że polskie społeczeństwo jest niezwykle liberalne. 46% Polaków jest przekonanych, że prezydent nie musi nikogo przeproszać, jest dobrym prezydentem, a życie prywatne to jego sprawa. 21% uważa że powinien zostać, ale wyrazić skruchę. Tylko 12% uważa, że skompromitował się tą sprawą. Oto Polska właśnie. Rozdarta między obskurantstwem, a skrajnym libertynizmem, gdzie jednak górą jest szlacheckie, wara wam od mego dworu i od mego łóżka.

A rzetelne oglądanie dziwactw i głupot świata, do którego aspirujemy, przywraca proporcje naszym rodzimym kuriozom. Problem tylko, że nasze małe głupstwa są większe od ich dużych, bo my dopiero na parterze, kiedy oni już postawili dach.

Zbliżają się samorządowe wybory, które mają Polskę zdecentralizować i usamorzadnić. Ogromna ilość spraw wielkich i drobnych przechodzi w ręce samorządowych powiatów. Dla większości ludzi zgiełk politycznych sporów zaciemnia tę ideę. Będą więc wszyscy głosować bardziej na partie polityczne nie na programy, bo ich w tym zgiełku nie słychać, a jak słychać to ma się wrażenie, że wszyscy obiecują gruszki na wierzbie. Zapewne poza dużymi miastami, w społecznościach lokalnych, ważniejsze będą twarze i głosy. Nasze skrzynki pocztowe zasypywane są programami kandydatów. Wszyscy mieszkańcy mojego domu wrzucają je od razu do pojemnika na śmieci, który ktoś przezornie pod skrzynką ustawił. Ja też nie mogę czytać tych banalnych i stereotypowych obietnic kandydatów na radnych. Zwraca jedynie

moją uwagę „reklamówka” Jarosława Okrągłego z Unii Wolności. Jego oblicze jest doskonale okrągłe. Znajomy wybitny architekt z Jerozolimy, który jest na chwilę w Warszawie, a ja obwożę go po mieście, pyta mnie bezgranicznie zdziwiony, czemu na tyłu plakatach Unii Wolności jest domalowana gwiazda Dawida. I co to właściwie znaczy. Nie znajduję sensownej odpowiedzi. A same wybory? Czy jednak nie staje się ciałem slogan premiera Buzka: „Szliliśmy po władzę by oddać ją ludziom”. No, może przy okazji co nieco wziąć dla siebie. Faktem jest, że państwo było i jest bezradne, a ludzie są zbyt bierni. A tu proszę, aż 240 tys. obywateli kandyduje do rad trzech szczebli. Jaka to suma ambicji i energii. Mimo więc pełnego kosza pod skrzynką pocztową, ludzie jednak pomału widzą zarysy sensu tej reformy. Niestety, należę do tych obywateli, którzy mało starannie śledzą strukturę, która ma się wyłonić z wyborów, odsuwam z niesmakiem zgiełk politycznych kłótni, które siadają okrakiem na znowu tak hojnie jak za PRL-u cytowanym Norwidem. „Ojczyzna, to wielki zbiorowy obowiązek”.

To Norwid jest powodem, że nie czuję się pewnie gdy na trasie krakowskiej nasz samochód jedzie 180 km na godz. Szosa jest wąska i tłoczna, nawiedzana przez krowy i pijaków, ale konia z wozem już nie uświadczysz, a to jest postęp. Furgonetkę prowadzi młody chłopak. Miał najpierw budy na bazarze, ale przede wszystkim energię, wiarę i głowę. A teraz posiada elegancki wóz, który wynajmuje dla potrzeb filmu. Jeden z setek tysięcy młodych Polaków, którzy uwierzyli, że zamiast narzekać trzeba się wziąć do pracy, a wtedy wszystko jest możliwe. Są zdroworoządkowi, wyznają bezwzględny liberalizm w ekonomii i bardzo im się podoba dawne gierkowskie hasło, które kiedyś było humorystyczne, a dzisiaj brzmi znakomicie: „pracując dla siebie, pracujesz dla kraju”. Wiele jego zachowań nosi cechy profesjonalizmu i oddania pracy. Nie ma jednak za grosz zaufania do naszych polityków, a ta nieufność czasami niestety przeradza się w spiskowe myślenie. Jeśli będzie musiał głosować, zagłosuje jednak na Unię Wolności. Prowadzi wóz dobrze, ale za szybko. Zatrzymuje nas kontrola radarowa. Pyzaty sierżant, jak zwykle w takiej sytuacji delektuje się swą zdobyczą. Nieco mięknie

widząc telewizyjne legitymacje, a kiedy dowiaduje się, że jedziemy nagrywać rozmowę z Czesławem Miłoszem i jesteśmy spóźnieni, salutuje i puszcza nas bez słowa. To też jest Polska, jej zaleta i zarazem wada w jednym.

Z Miłoszem rozmawiam o Norwidzie, którego bardzo ceni, ale za którym nie przepada. Drażni Miłosza u Norwida to zagęszczenie nieszczęść i nieustanne narzekanie, gdy mnie ta jego autodestrukcja właśnie fascynuje. Ale to osobny temat, kiedyś do tego wrócę. A na marginesie Norwida, widzę, że Miłosz jest ogromnie zaambarasowany, bo za tydzień jest wręczenie nagród Nike. Ma poczucie, że jest w sytuacji bez wyjścia. Po wniebowstąpieniu noblowskim, jak tu wchodzić na szkolną scenę konkursu. A nie wypada mu wycofać się bo wyjdzie na aroganta. Sytuacja bez wyjścia. Radzę by włożył to między luksusowe problemy swego życia. Daję mu swoją głowę, że zdobędzie Nike. I jej nie tracę.

W Parku Łazienkowskim wszystko tonie w mroku i w mglistej wilgoci. W alejach zapalono znicze i lampki, jakby nagradzano wszystkich pośmiertnie. Ale wewnątrz Starej Pomarańczarni jest pałacowo-uroczyście, tłumnie, ekskluzywnie i snobistycznie. Po raz drugi przyznawana nagroda literacka Nike ma ambicje być polskim Pulitzerem, ale obnaża nie tylko względność opinii krytyki, ujawnia też siłę *Gazety Wyborczej*, która za tą nagrodą stoi, co doprowadza do szewskiej pasji narodowo-prawicowe siły intelektualne, no powiedzmy raczej nie siły, ale ich cherlactwa. Radiomaryjny *Nasz Dziennik* wziął się na prosty sposób i o nagrodzie ani mru mru. Tuż obok nas siedzi premier Buzek i prezydent Kwaśniewski. Dziwny kraj? Literatura ciurka wąskim strumyczkiem, na każdym kroku lekceważy się kulturę i naukę (z nauką to jest nawet dramat), a tu taka celebrowanie jakiej nie ma chyba nigdzie literacka nagroda. Dziwuje się temu bezbrzeżnie mój przyjaciel – tłumacz, który wczoraj przyleciał z USA, a ja wprowadziłem go bezprawnie na „szczelnie” pilnowaną galę. Tak się potem przypadkiem ustawił, że mógł przejść do historii jak Niewiadomski. Czasami jak na dłoni widać iluzoryczność nawet fachowej obstawy polityków. A siedmiu autorów usadzono na przednich fotelach, grano na skrzypcach, były różne atrakcje, jak to na szkolnych akade-

miach. Nike obnaża wątpliwość naszej literatury. W finale nie było ani jednej powieści. Pomieszanie różnych gatunków powoduje, że nie wiadomo jakich kryteriów użyć, by wyłonić triumfatora. I są jakby ślady początków politycznej poprawności. Musi być temat żydowski, a też kobieta, choćby w pięknym wieku, są starsi i odpowiednio młodszy, mniej lub bardziej utalentowani, ale przy „piesku” Miłosza są tylko krzaczkami, pod którym ten może podnieść nogę. Ta płatanina różnych gatunków, grup wiekowych, dorobków, w sumie jawny nonsens.

Kiedy Jan Błoński odczytuje werdykt robi się doprawdy poważnie i zabawnie. Błońskiego bardzo lubię jako człowieka i krytyka, ale posiada pewien nałóg, który z latami się nasila. Niektórzy palą, piją, lub gryzą paznokcie, a on ma tik przenikliwego chichotu. Mówi przy tym jakby kielbaś słowa a przy okazji swoje oblicze. I oto z tego kielbaszenia wynika, że nie tak wiele brakowało, a wynik byłby inny. Tu Błoński zachichotał złowieszczu, a po ciszy która zapadła, ogłosił Miłosza zwycięzcą. Było jednak jasne, że „Piesek” wygrał ledwie, ledwie po zaciętym meczu z „Mitologią Greków i Rzymian”. Autor „Mitologii” Zygmunt Kubiak psychicznie nie wytrzymał i kiedy Miłosz odbierał nagrodę, zabrał z wyższego rzędu żonę i oboje opuścili salę. Kto wie, może tworząc nową mitologię owej nagrody. Kubiak zawsze wydawał mi się uosobieniem skromności, życie jednak mnie uczy, że im kto bardziej skromne czyni wrażenie, tym bardziej należy się obawiać ambicji ukrytych, które zatkanie pokrywą grozą wybuchem. Tadeusz Różewicz przezornie nie przybył, by oszczędzić sobie cierpień. Herling-Grudziński we Włoszech miał dobre usprawiedliwienie, ale potem się okazało, że to było mało. Żarty na bok, jestem pewien, że formuła nagrody powinna być zmieniona. To nie może być elegancka pończocha, do której wrzuca się wszystko, od noblisty do iro-nisty. A sama uroczystość nie może mieć charakteru szkolnego konkursu, co z tego, że w pałacowej scenerii, gdzie laureaci usadzeni w rzędzie czekają na wyrok, a potem ci najstarsi wypelzają na scenę, a młodszy po niej skaczą.

A próżność artystów? Co za zwierzę! Niezwykłe właśnie w swej zwykłości. Jego pysk, sierść i ogon są bowiem identyczne u geniusza i u mojej sąsiadki, która toczy swoje

wojny o strych z inną sąsiadką. A wszystko z okazji remontu dachu. Dzięki tej wojnie, mogłem wejść na dach mojego mieszkania i ujrzeć zupełnie nowy krajobraz miejsca, gdy niżej jak ten robak toczę swoje życie. Dzieckiem próżności jest obrażanie się. Różewicz, dowiedziałem się niedawno, do dzisiaj na mnie się śmiertelnie gniewa, że po stanie wojennym, zapewne w jakimś swoim felietonie, ganiłem go, że przyjął nagrodę od ówczesnych władz stanu wojennego. Henryk Grynberg popłakał mi się kiedyś przed kamerą, gdy skrytykowałem jego książkę. W dzień po werdykcie, szkoda, że nie wcześniej, Herling Grudziński wysłał publiczny list, ze słowami, że na przyszłość: „ewentualnej kandydatury nie przyjmuję”. Te wszystkie miny, gęby, ambicje wielkich artystów, czasami bardziej niż ich sztuka obnażają kości i jelita ludzkiej kondycji. Nie jest to piękny obraz. Na szczęście piękna skóra sztuki powleka wszystko. I doprawdy lepiej pod nią nie zaglądać.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Jestem warszawianką z dziada pradziada. Warszawy nie znoszę, ale tak, jak się nie znosi kogoś, kogo się kocha. Jej sprawy dotyczą mnie do żywego. Tu się urodziłam i tu, najpewniej, umrę. Brzmi to okropnie patetycznie, ale nic nie mogę na to poradzić.

Ojciec mój zginął w powstaniu warszawskim, mnie udało się przeżyć, choć byłam stawiana pod ścianą na dziedzińcu gmachu gestapo w alei Szucha, gdzie obecnie mieści się Ministerstwo Edukacji Narodowej. Jako jedna z pierwszych wróciłam na gruzy miasta. Przez tuby radiowe wysłuchałam

komunikatu o zakończeniu wojny na placu Zbawiciela. W kościele zamiast głównej nawy i wieży był wielki lej, nabożeństwa odbywały się w dzisiejszym Teatrze Współczesnym, który przedtem należał do kościoła jako sala parafialna.

Ludzie ściskali się pod megafonem z radości, ale miasta wokół nie było. Wielu myślało, że nie będzie. Stolicę przенiosą do Łodzi (takie były przymiarki), a tu przyjdzie spychacz, wyrówna i zostanie puste pole.

Postanowiono inaczej: że miasto będzie. Jeżeli tak, to można się było spodziewać, że piękne, ponieważ – o, ironio losu! – otrzymało w wyniku tragedii narodowej jedną jedyną szansę odbudowy w najlepszym stylu, jaki niosła światna, wizjonerska urbanistyka dwudziestego wieku. Niestety, Warszawa, jak wszystko, została poddana obróbce socjalistycznego młota i mamy ją taką, jaką mamy.

Mija prawie dziesięć lat od uwolnienia się z narzuconego stylu i mimo rosnących gęsto wieżowców finansjery – niewiele się w stolicy zmienia. Przypomina chwilami aglomeracje Trzeciego Świata: rozświetlony luksus w środku i zaraz obok, w cieniu, enklawy biedy. Dlatego moje KARTKI upstrzone są żółcią i gniewem wobec prezydenta Warszawy, Marcina Świąckiego. Nie spodziewałam się po nim cudów, bo tu trzeba prawdziwego człowieka czynu, a on takim nie jest. Niemniej rozczarował mnie w tej roli. Przed kilkoma laty głosowałam na niego przy wyborach parlamentarnych. Było to jednak głosowanie polityczne – na partię – a on właśnie, z ramienia ówczesnej Unii Demokratycznej, przypadł mojemu obwodowi wyborczemu na Dolnym Mokotowie.

Natomiast jako prezydent miasta denerwuje swoją bezgraniczną biernością. Nie pobudował mostów, tak niezbędnych nie tylko dla miasta, ale dosłownie – dla Europy; nie zrobił ani kilometra równie koniecznej obwodnicy miejskiej; nie poprawił kostropatych chodników pamiętających powstanie warszawskie; nie wygładził nawet głównych jezdni, których asfalt faluje jak rozkloszowana sukienka, tworząc przy byle deszczu ogromne kałuże, których rozbryzgi zalewają przechodniów do imentu. Nie wykazał żadnej wyobrazalności na przyszłość, kiedy problemy komunikacji i mieszkalnictwa będą olbrzymie, grożąc kryzysem.

Warszawiacy boją się zimy nie ze względu na mrozy

(wszak to nasza strefa klimatyczna), ale na paromiesięczną ślizgawicę zalegającą przejścia, których nikt nie uprząta, bo instytucja dozorczy przestała istnieć. W Warszawie powstają całe połacie budynków mieszkalnych, ładnych i wesołych, ale niemal z minuty na minutę droższych. Dla bardzo bogatych. Prezydent nie ma pomysłu na tańsze mieszkania dla mniej zarabiających.

Przy tym wszystkim Marcin Świąćicki szczyli się, że Warszawa jest jedyną stolicą, w której inwestycje zagraniczne przewyższają wielokrotnie inwestycje innych stolic postkomunistycznych, Pragi czy Budapesztu, i uważa to za swoją zasługę. Tu mu wierzę, cóż jednak z tego, skoro ten inwestycyjny boom nie ma żadnego przełożenia na jakość życia ludności.

W Warszawie panują wieczne korki samochodowe, wieczne rozkopki (pęknięcie niekonserwowanych rur wszelkiego kalibru) i wieczne ślimaczenie się budowy metra. Nie myśli się „w przód”, tylko czeka, aż kamienicę rozniesie wybuch gazu lub gdy most grozi tąpnięciem. Wtedy się wkracza.

Oburza to tym bardziej, że służby miejskie są rozbuchane liczebnie i wspaniale płatne, żadne miasto nie posiada ich w takiej ilości.

Prawdą jest, że prezydent jest spętany. Dotychczasowa Ustawa Warszawska, do której przy reformie administracyjnej kraju dojdą dalsze spętania, sparalizują go dokumentnie. Nie wdając się w szczegóły, zanoszą się na to, że ilość radnych w Warszawie dojdzie do ośmiuset (w Łodzi jest ich 80, we Wrocławiu – 75, nie mówiąc o Nowym Jorku, gdzie radnych jest dwunastu). Dla przykładu, Wesoła, miejscowość, która leży w obrębie Warszawy i łączy się z nią wszystkimi nićmi, w nowej reformie przydzielona została do powiatu Mińsk Mazowiecki! Wiceminister spraw wewnętrznych, Jerzy Stępień, jeden z najlepiej wychowanych polityków, jakich znam, nie tracący nigdy spokoju, stracił ów spokój, nie kryjąc w telewizji najwyższego wzburzenia, że takiego dziwoląga jak to, na co zanoszą się w Warszawie, świat nie widział.

Nie wszystkiemu złu winien jest więc prezydent miasta, natomiast dziwię się, że w tej sytuacji Marcin Świąćicki nie podał się do dymisji. Myślałby kto, że trzyma się miejsca dla forsy, ale to nieprawda, chociaż jest jednym z najlepiej opłacanych urzędników w kraju. W sierpniu br. zarobił brutto

16 tys. 140 zł i 80 gr. Jednakże, jak na początku kadencji oświadczył, że część zarobków będzie oddawał na cele charytatywne, tak uczynił i czyni do dziś dnia. Nie jest pazerny.

Zadzwoił do mnie któregoś popołudnia, nie żeby mi nawymyślać, co nagminnie czynią obrażeni na dziennikarzy urzędnicy, ale zaprosić mnie do siebie, „żeby pewne rzeczy wyjaśnić”.

Gdy siedzę w jego gabinecie pięknym wrześnieowym popołudniem, jakie rzadko zdarzają się w naszym kraju, ale jeżeli się zdarzą, nie mają sobie równych; otóż gdy siedzę w jego pustym gabinecie, bo wszyscy już wyszli, na placu Bankowym, gdzie mieści się ratusz, odnoszę wrażenie, że mam przed sobą człowieka niezwyklej łagodności, bez jadu i megalomanii, tylko że – co wynika wprost z jego opowieści – przeraźliwie wprost zgodliwego.

Po raz pierwszy przychodzi mi na myśl, że tylko taka osoba może wytrzymać spętanie, wiążące mu ręce, nogi i działanie.

Dziwaczna koalicja Rady Warszawy złożona z UW i SLD, odrzuciła prezydenturę Michała Boniego, odrzuciła Piotra Konopkę, przyjęła z otwartymi ramionami Marcina Świąćickiego. Zrozumiałe, dlaczego.

Usiłuje mi tłumaczyć swoje niemożności, zachowując niezmaconą pogodę. Otóż jeźdnie miejskie nie należą do miasta. Pięćset głównych ulic Warszawy – to szosy rządowe; w sprawie budowy Mostu Siekierkowskiego było 512 protestów ludności. Gdy pokonał już zdawałoby się wszystkie, łącznie z protestem właścicielki pustej szopy stojącej na trasie przebiegu mostu, odezwali się ekolodzy, broniąc gniazd rzadkich ptaków, które nie zniosłyby dudnienia i ruchu pojazdów. Prezydentowi w głowie się nie mieści, że mógłby w imię wyższych społecznych racji rozpocząć budowę nie czekając na zakończenie ewentualnego przewodu sądowego, a następnie zadośćuczynić protestującym, gniazda ptasie przenieść w inne miejsca ze wszystkimi szykanami, sypiąc forszą, której pełno ma w kasie, choćby z inwestycji zagranicznych, jakie tak sprawnie załatwia: „Pani pisze, że w mieście wypadek, a ja uciekam do Cannes. Ale ja tam miałem kilkadziesiąt spotkań z inwestorami, bo tam są największe targi nieruchomości na świecie”...

Tak, zgadza się, że jest w politycznym klinchu, bo nie

może, na przykład, zwolnić nikogo z pracy; żadnego urzędnika, gdyż są to ludzie nominowani partyjnie. Gdy raz spróbował, bo likwidował stanowisko, osoba ta prawowała się z nim rok i wygrała. Radnego dyscyplinują jedynie własna partia i wyborcy, którzy nawet nie wiedzą jak ich radny głosuje.

— Czy wobec takich niemożności sam pan nie powinien zabiegać o zarząd komisaryczny Warszawy? — pytam.

Spogląda na mnie, jakbym chciała zamordować dziecko. Rozumiem, że broni demokracji, ale i siebie, bo na komisarza się absolutnie nie nadaje.

— Ależ mnie nie chodzi o zarząd komisaryczny kraju, ale miasta — mówię. — Mieliliśmy już precedens przed wojną, i to dobry.

Jestem w sali Roma na Nowogrodzkiej. Rozglądam się: wypiękniała, wyolbrzymiała, straciła surowość, nabrała aksamitu. Ostatni raz byłam tu przed półwieczem na pierwszym, wznowionym po wojnie, Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim. Pierwszą nagrodę, pamiętam, otrzymała Bella Dawidowicz *ex equo* z naszą Haliną Czerny-Stefańską. (Były to czasy, kiedy artysta z ZSSR musiał zwyciężyć). Później Konkursy przeniosły się do odbudowanej z powstańczej pożyczki Filharmonii Narodowej. W Rzymie natomiast uplasowała się operetka.

W mojej codziennej poczcie znalazłam zaproszenie na spotkanie z guru o nazwisku Sri Sri Ravi Shankarem ze stowarzyszenia Sztuka Życia, odbywające się właśnie w Rzymie. Poszłam. Mistrz miał wygląd azjatyckiego Chrystusa. Długie blond włosy zastąpiła czerń. Mówił krótko, głównie o miłości, prawidłowym oddechu jako remedium na stresy życia i dietetycznym odżywianiu. Połączenie metafizyki z praktycznymi poradami. Sprawy ostatnio bardzo w modzie, zaprzatające uwagę wielu ludzi. Jego hinduską angielszczyznę tłumaczył pierwszorzędnie na polski jeden z wyznawców. Chrząknięcia, jakie następowały po anegdotach, które Mistrz opowiadał, oznaczały wesołość i wtedy sala zanosila się śmiechem. Wiedziała, kiedy i jak to czynić.

Przyznam szczerze, bardziej niż osoba guru zainteresowała

mnie publiczność. Na długo przed rozpoczęciem spotkania gmach Romy oblepiał tłum. Podniecenie, niepokój, podnoszenie w górę zaproszeń, chęć dostania się za wszelką cenę. Rozejrzałam się po ludziach. Była to na oko młoda inteligencja, małżeńskie pary, chłopcy i dziewczyny, nierzadko z plecakami. Przyjaźni, kulturalni, nie przepychający się po chamsku, ale jednocześnie bezwzględnie zdeterminowani, żeby się dostać. Mimo że od wejścia krzyczano, że sala pełna i nikogo już nie wpuszczą, tłum nie ustępował. Chciałam się wycofać, ale zwyciężyła ciekawość. Ciekawość, co to są za ludzie i skąd bierze się tak wielki ich zapał. Wraz z małą grupą przedarłam się na salę bocznym wejściem od kulis.

Dawno minęły czasy, kiedy szturmowałam takie bramy. Ostatni raz miało to miejsce na przedstawieniu „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym, w marcu 1968 roku. Zdobyłam wówczas miejsce na proscenium a nastrój i napięcie sali były podobne, co tu. Ale z jakże innych powodów.

Gdy Mistrz wszedł na scenę, odpowiednio oświetlony, zapadła głęboka cisza. Po chwili zaczął mówić. Moim zdaniem, były to słuszne banały, jednakże zebrani przyjmowali je jak objawienie. Potem guru prowadził ćwiczenia oddechowe i medytacje z zamkniętymi oczyma, a następnie były pytania. Młodzi ludzie pytali o rzeczy fundamentalne — „Co to jest Bóg? Co to jest wiara? Co to jest miłość?” Aż dziwne w kraju wszak prawie stuprocentowo katolickim. Mistrz rozkładał ręce, długo, znacząco milczał i poważniał, lub rozjaśniał się. Czasem mówił: „miłość to ty”. Ludzie byli olśnieni. Gdy seans się skończył, stanęli w długiej kolejce, żeby uścisnąć Mistrza. Zrobiłam ruch w kierunku przeciwnym i wyszłam na świeże powietrze.

W Polsce przybywa lawinowo zwolenników wszelkich odmian religii Wschodu z gatunku jogi czy zen. Nie chodzi mi o sekty, których też przybywa, ale które są czymś innym, żerującym na ludziach pogubionych, nieszczęśliwych, osamotnionych, skrzywdzonych. W zamian za bycie we wspólnocie sekty stosują wewnętrzny terror. Rodzi to wiele ludzkich i rodzinnych tragedii. Nie o nich mi chodzi.

Chodzi mi o ludzi normalnych, dobrze funkcjonujących w rodzinie i w zawodzie, którym jednak czegoś brakuje.

Poczucią sensu życia. Chodzi mi o ludzi, którzy przyszedli do Romy.

Dlaczego jednak szukają go nie w religii katolickiej, w której zostali ochrzczeni, wychowani i w większości poślubieni? Można domniemywać, że działa moda płynąca z Zachodu, którą przyjmują bezkrytycznie, jak produkty spożywcze, jak wszystkie dobra materialne.

Widziałabym tu jednak głębszą przyczynę. Brak odpowiedniego oddziaływania duszpasterskiego przez duchowieństwo katolickie.

Mamy wspaniałych kapłanów, zakonników i zakonnice, nie tylko z kręgu Lasek czy *Tygodnika Powszechnego*, ale również coraz więcej wśród biskupów. Ich mądre słowa przewijają się przez media, są zapraszani na rekolekcje, piszą w prasie codziennej. Ale są to wciąż te same nazwiska. Fakt, że ci ludzie pracują do upadłego, świadczy, że jest ich za mało. Na drugim biegunie plasuje się ekstrema w guście księży Rydzyków czy Palecznych. Tych jest licznie jeszcze mniej, naprawdę niewielu, ale czynią wszystko, żeby zaabsorbować uwagę społeczną, krzycząc, że to oni są Kościołem. Wiadomo, że złorzeczenia są chwytliwsze niż cnota. Jeden krzykliwy integrysta więcej wyrządzi zła niż tuzin prawych. Ludzie niezorientowani, a takich jest sporo, brednie Rydzyka identyfikują ze współczesną nauką Kościoła, co skutecznie odstrasza ich od katolicyzmu.

Rzecz w tym, że wśród dwudziestu paru tysięcy naszych księży brak odpowiedniej, na poziomie, „klasy średniej”. Brak wśród nich osobowości wystarczająco sensownych, w pełni zaangażowanych, rzeczywiście poszukujących strapionych, pamiętających, że nie tyle ich słabości ludzkie, co zrutynizowanie kapłańskie odpycha wiernych od Kościoła. Napięcie duchowe, jakie moim zdaniem powinno ustawicznie towarzyszyć duchownemu, zastąpiła rutyna. A rutyna jest tym czynnikiem, który ludzi wypędza ze świątyń. Rutyna liturgii, rutyna kazań, rutyna zachowań.

Chodzę co niedziela na mszę i łapię się na tym, że wybieram kościół, gdzie kazania są krótkie lub nie ma ich wcale. Ludzi jest sporo, ale głównie starszych kobiet. O czymś to świadczy. Nasz Kościół się starzeje, bo brak w nim siły przyciągającej w postaci świadomych dzisiejszego świata i jego

potrzeb sług Pańskich. Często odnoszę wrażenie, że księżom wystarczy to, co mają, że wygodniej im izolować się od wszystkiego, co poza własnym dziedzicem. Powtarzam, wygoda duchowa i rutyna jest strasznym wrogiem religii.

Nadchodzą czasy, w których coraz więcej znanych mi ludzi jest już po tamtej stronie. Dorzucę więc swoją „cegielkę” do postaci zmarłego niedawno generała Józefa Kuropieski.

Skazany za komuny w „procesie generalskim” na śmierć, bodajże jedyny wytrzymał wyszukane tortury „nie pisnąwszy słowa”.

W okresie pierwszej Solidarności zgłosiłam się do niego po wywiad. Nim mnie przyjął, odszukał w przedwojennym rejestrze oficerskim, który zachował, nazwisko i przebieg służby mojego ojca, mówiąc mi detale, których nie znałam. Sądzę, że informacje te wzbudziły w nim zaufanie do mojej osoby – był przede wszystkim wojskowym.

Opowiedział mi swoje tragiczne losy, broniąc, co uderzające, oskarżyciela, osławionego prokuratora, Zarako Zarakowskiego. Upierał się, że działał on w dobrej wierze, po prostu wykonywał swoją robotę. „Związek kata z ofiarą?” – tak sobie wówczas pomyślałam.

Generał powiedział mi jeszcze, że w czasie mowy oskarżycielskiej, najeżonej ordynarnymi inwektywami, żona Kuropieski, osoba niezwykle odwagi, porwała się z miejsca z pięściami, krzycząc w stronę Zarakowskiego „ty bandyto!”. Powstrzymał ją syn, który nawiasem mówiąc przyjaźnił się z młodym Zarakowskim, i przyjaźń ta przetrwała.

Tuż przed pierwszym zjazdem Solidarności Generał zadzwonił do mnie z prośbą o wystaranie się dla niego o kartę wstępu do hali Olivia. Prośbę przekazałam listownie Janowi Rulewskiemu, z którym akurat byłam w kontakcie.

W czasie pierwszych dni stanu wojennego zgłosił się do mnie kapitan SB. Pamiętam, że kiedy go legitymowałam, kurczowo trzymał legitymację. Długo kluczył w rozmowie, nim ujawnił cel wizyty. Z czarnej aktówki wyjął mój list do Jana Rulewskiego, najwidoczniej znaleziony w dokumentach Solidarności. Niechybnie chciał mnie zastraszyć.

Po wyjściu esbeka chwyciłam za płaszcz i pobiegłam na Belwederską do mieszkania Generała, żeby go ostrzec. Nie przejął się, powiedział, że jest w kontakcie z Kiszczakiem, który – jak się wyraził – „u mnie służył”.

Potem przez lata spotykałam Generała w Krakowie, w *Tygodniku Powszechnym*, dokąd zaglądał do Mietka Pszona. Łączyła ich zażyłość. Obaj długo siedzieli w celi śmierci, choć wątpię, czy w tej samej. W swoim czasie takich cel było u nas dużo.

Gdy o szóstej rano spoglądałam przez okno na mgłę zasnuwającą osiedle, widzę wynurzające się z niej sylwetki – nury. Tak ich przewalali zawodowi śmieciarze, bo nurzają się w śmietnikach.

Zjawiają się przed wozami asenizacyjnymi, kiedy łup jest jeszcze nienaruszony. Nie wyglądają wcale nędznie, przeciwnie, nieźle ubrani, mało wyróżniający się od reszty, żadne dziady kalwaryjskie. Buszują po budkach śmietnikowych i koszach, penetrując je szybko i systematycznie. Najlepszym łupem są butelki po piwie, nieźle odpłatne i twarda makulatura. Nie gardzą też odzieżą i żywnością, jeżeli pozostawiona z myślą, odpowiednio opakowana. Potem wynurzają się i prowadzą przed sobą wypełnione wszelakim dobrem wózki dziecinne lub ciągną za sobą stare przyczepy. W ciągu dnia znikają.

Latem nocują w altankach działek pracowniczych, zimą przenoszą się na bocznicę kolejowe do wagonów.

Do niedawna ludzie specjalnie zachodzili na Dworzec Centralny w Warszawie, żeby przypatrzeć się bezdomnym. Ich leża stanowiły zwarty czworobok, jak tabor wojska, na środku ogromnej hali głównej.

Ankieta zrobiona wśród podróżnych wskazywała na przychylny stosunek do nurów: niech sobie będą, nie przeszkadzają. Obie strony przyglądały się sobie z ciekawością. Raz zauważyłam nawet kołdrę z adamaszku obleczonej w czystą, choć nieco naddartą, podpinkę z koronkami, przykrywającą ciało schludnie wyglądającej kobiety o starannie ułożonych włosach.

Nie rozrabiali, nie śmierdzieli, szemrali sobie między sobą.

Gorzej było, gdy zjawił się między nimi ks. Paleczny, warszawska odmiana oświęcimskiego Świtonia. Podrywał ich do wrzasków i wtedy rozpoczynała się awantura. Jemu, moim zdaniem, przyświecała prywatna ambicja pokazania się, im – obrona miejsca.

No bo PKP podejmowało wysiłki, żeby ich z dworca usunąć. Tym bardziej, że nie kryli się po kątach, lecz zajmowali jego „salon”. Nie wyrzucano ich na bruk. Przeciwnie, podstawiano autokary, które miały ich rozwieźć po noclegowniach. Pod względem wygód warszawskie noclegownie są stokroć lepsze niż dworzec. Nie musiał mi o tym przypominać prezydent Świącicki; znam je z własnej obserwacji.

Za komuny nie było bezdomnych, kto się włóczył bez papierów, zostawał przymknięty, i koniec. Bezdomność wybuchła za wolności ale razem z nią zakwitło zadziwiająco wiele fundacji dla bezdomnych, czynionych odruchem dobrej ludzkiej woli.

Figiel polega jednak na tym, że w każdym domu opieki, a są różne, panuje pewien reżim, na przykład, nie wolno pić. A problem bezdomnych sprowadza się do alkoholizmu. Kto przez alkohol stracił pracę, rodzinę i meldunek, czyli przypisane miejsce na ziemi, niechętnie poddaje się rodzinie przybranej, jaką jest dom opieki. Woli altankę, wagon czy dworzec, gdzie nie obowiązują go żadne reżimy. Trudno odmówić logiki takiej postawie.

Wolą stanąć za ks. Palecznym i wraz z nim domagać się dla siebie wszystkiego od społeczeństwa, nie dając w zamian nic, nawet nie wypuszczając z rąk butelki.

Znów wstaje dzień pełen jesiennych mgieł, znów zanim z bram wyjdą mieszkańcy, wynurzają się z oparów nury.

Lubię na nich patrzeć, bo za komuny byłam wraz z przyjaciółką jedną z nich. W Londynie, dokąd udałyśmy się na saksy. Po intensywnym sprzątaniu biur nurzanie się w śmietnikach było prawdziwym relaksem. Ale jakie to były śmietniki! Grasowałyśmy głównie wokół targów jarzynowo-owocowych. Nieraz trafiła nam się kiść bananów czy ananas, u nas wówczas nieosiągalnych nawet za drogie pieniądze. Nie gardziłyśmy też odzieżą ze śmietników dobrych dzielnic,

zakasowując nią w Polsce niejedną elegantkę. Tak mi było wtedy dobrze, że przedłużyłam swój pobyt, narażając się na represje w redakcji warszawskiej *Kultury*, gdzie pracowałam za grosze. Mimo, że przecież przywiozłam za darmo reportaży.

Byli czasy...

Warszawa, 27 września 1998 r.

Ewa BERBERYUSZ

KSIAŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Kronika kulturalna

Za trudny dla nas ten Mickiewicz?

W roku 1989, gdy zmogliśmy komunizm i staliśmy się krajem wolnym i demokratycznym, nie pytaliśmy o Mickiewicza. Nie był nam potrzebny tak jak w roku 1918, gdy odzyskiwaliśmy niepodległość. Wtedy Polacy podjęli rozmowę z Mistrzem, a szukając nowego oblicza poety pragnęli wyzwolić się z tradycji tyртеjsko-męczeńskiej, ku której przez cały wiek XIX i początek XX właśnie on był im przewodnikiem. W Polsce, która wiosną chciała nie Polskę lecz wiosnę słaWić, starano się sprowadzić Mickiewicza z cokołu na ziemię, odnajdując w nim raczej bliskiego sobie człowieka niż nieskazitelnego bohatera narodowego. „Profanacja?” – zapytywał Boy-Żeleński w swoim słynnym wstępie do „Dzieł” Mickiewicza z 1929 roku zatytułowanym „Mickiewicz i my”. – Nie sędzę. Raczej poczucie, że tajemnica geniusza tkwi w czym innym niż w konwencjonalnej doskonałości. Że to „ziemskie, arcyziemskie”, z którego rodzi się boskie, to jest najbardziej wzruszające misterium...”

Czy dzisiaj nie mamy już żadnych pytań do Mistrza? Może jest stary, anachroniczny, zaściankowy, heretycki, niezrozumiały, śmieszny? Czy Mickiewicz nas jeszcze boli? Czy moglibyśmy powtórzyć za Zygmuntem Krasińskim: „On był dla ludzi męgo pokolenia i miodem, i mlekiem, i żółcią, i krwią duchową”? Maria Janion zapowiedziała koniec paradygmatu romantycznego, ukazując zarazem jego ciągłość w polskiej tradycji od powstań narodowych w XIX wieku, przez

pokolenie Kolumbów, aż po zryw pierwszej „Solidarności”. Tym niemniej wydarzenia, które nastąpiły po 1989 roku miały zapowiadać zmierzch tego paradygmatu. Nie zgadza się z tym Czesław Miłosz, który przypomina, iż „młodzież okresu międzywojennego negowała tradycję romantyczną. Ale w czasie drugiej wojny światowej ci sami młodzi ludzie zachowywali się zgodnie z jej regułami”.

Miałby zatem rację Stanisław Brzozowski zapowiadający długi żywot tradycji romantycznej wśród kolejnych młodych generacji? Zdawałoby się to potwierdzać zainteresowanie Mickiewiczem w gronie młodych pisarzy, choć niedawna konfrontacja tzw. pokolenia *brulionu* z Mickiewiczem podczas szumnie zorganizowanej konferencji w Warszawie, obnażyła raczej miałkość tego zbliżenia z Mistrzem, podczas którego nie pojawiły się ani żadne istotne pytania ku niemu skierowane, ani żaden ważny problem do przedyskutowania. Czy potrafimy zatem dzisiaj „gadać” z nim z tą samą śmiałością i pasją, z jaką on „gadał” z Bogiem?

Stało się już tradycją stawianie pytań Mickiewiczowi i manifestowanie postaw światopoglądowych, inspirowanych jego dziełem, przy okazji jubileuszy rocznicowych. Wielkim wydarzeniem były obchody stulecia urodzin wieszczka. Alina Witkowska pisała, iż ludzie wówczas „pragnęli go czcić jako wielkość, tak, ale wspólną, duchowo ich spajającą, nie tylko ponad zaborami, ale również ponad podziałami społecznymi. To wspólnotowe odczuwanie ‘naszego’ Mickiewicza jest szczególnie widoczne w Kongresówce, gdzie na władzach rosyjskich wymolestowano wreszcie wzniesienie w Warszawie pomnika poety”.

W 1998 roku, w dwusetną rocznicę urodzin wieszczka, społeczeństwo niczego na władzy nie potrzebuje wymuszać, władza – i to zarówno w Polsce jak na Białorusi i Litwie – chętnie sama poparciem dla Mickiewicza przydaje sobie splendoru. Owszem, próbowano przy tej okazji wymusić na władzach rejonu nowogródzkiego zgodę na wybudowanie tam polskiej szkoły. Bezskutecznie. Dzieci polskie w Nowogródku powinny mieć prawo do nauki swego ojczystego języka, podobnie jak dzieci białoruskie w Krynkach, czy dzieci litewskie w Sejnach powinny mieć prawo do zapoznawania się w szkole za swoją narodową tradycją i historią. W każdym z tych przy-

padków Mickiewicz mógłby być patronem i rzecznikiem sprawy dzieci jako ten, który wielką wagę przywiązuje do więzi z tradycją przodków i z własną małą ojczyzną. Przy czym u autora „Prelekcji paryskich” piecza nad tym, co rodzime, równoczesna jest z dążeniem ku wspólnotowości, z pobratymstwem narodów, ze zjednoczeniem czy to Słowian, czy całej Europy. „Położenie Europy jest tego rodzaju, że odtąd staje się niepodobieństwem, aby jakiś lud kroczył w odosobnieniu na drodze postępu” – pisał w jednym z artykułów w *Trybunie Ludów*.

I w ten oto sposób odnajdujemy się z Mickiewiczem w biegu spraw roku 1998 i końca całego stulecia. Czy po tylu latach służenia nam, Polakom, za ostoję bytu narodowego zagrożonego przez XIX-wieczne zabory i XX-wieczne systemy totalitarne, w dalszym ciągu potrzebujemy jeszcze geniuszu tego poety wyłącznie dla naszej sprawy narodowej? A formułując to pytanie jeszcze inaczej: czy dzisiejsi Polacy nadal w takim stopniu jak kiedyś, choćby jeszcze w stanie wojennym, powinni być skoncentrowani na swoim partykularnym interesie narodowym? Oczywiście nie da się tego zakredytować raz na zawsze i nad tożsamością narodową pieczę należy sprawować bez względu na mniej lub bardziej sprzyjające okoliczności. Może jednak nadszedł czas by uznać, że pewien bój w swojej dziejowej drodze już wygraliśmy, nie zatraciliśmy swego narodowego gospodarstwa, a teraz pora wyruszyć w dalszą drogę. Czy Mickiewicz może nam w tej drodze towarzyszyć? Wydaje się, że jakby na to tylko czekał. Jakby czekał na szansę rzucenia się razem z nami w wir budowania cywilizacyjnego i czynu duchowego przedsięwziętego wspólnie z innymi pobratymcami. Ten Mickiewicz nie mieści się już w szrankach jednego państwa narodowego, prowadzi nas na nowo ku spotkaniu z naszymi sąsiadami, ku przełamaniu barier, które w przeciągu ostatniego stulecia wysoko się pomiędzy nami spiętrzyły. Dzisiejsze wspólnotowe odczuwanie „naszego” Mickiewicza to już nie odczuwanie ponad zaborami czy podziałami społecznymi, ale ponad granicami państw narodowych. Mickiewicz jest „nasz” również na Litwie i Białorusi. Nie powinniśmy tracić z oczu tego tropu pozostawionego przez Mistrza, bo w nowe on nas kieruje przestrzenie i nowe stawia przed nami wyzwania.

Zadziwiająca jest moc mickiewiczowskiej geografii. Gdzie szukać jego miejsca w dzisiejszej Polsce? Oczywiście na Wawelu. Bo za życia jedynie epizod powstaniowy w Poznańskim. Dlatego łatwo możemy sobie wyobrazić symboliczne znaczenie sprowadzenia prochów Mickiewicza na Wawel w 1890 roku. Ta bardzo podniosła wówczas uroczystość łączyła trwale poetę z krajem, w którym praktycznie go nie było. Natomiast jego moc poetycka sprawiła, że nawet historia narodu, rozstrzygająca się w owym czasie głównie przeciw w Kongresówce, przeniosła się w naszej wyobraźni i na trwałe zdomowała w stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Boy-Żeleński konstatował: „Warszawa powstała, Polska się skrwawiła, ale despotyzm poezji przeniósł serce narodu do Wilna, gdzie młode litewskie dryblasy piły mleko, harcowały po łące i odmawiały litanie do Tomasza Zana”.

Co począć z takim dziedzictwem geografii mickiewiczowskiej dzisiaj, kiedy Wilno jest stolicą niepodległej Republiki Litewskiej, a drogę do Nowogródka przecina pilnie strzeżona granica państwa białoruskiego? Można oczywiście pójść śladem tej nowej geografii i prowadzić niekończące się dyskusje pod hasłem „Czyj jest ten Mickiewicz?”. Natomiast kierując się duchem geografii mickiewiczowskiej można by spróbować powiedzieć po polsku, litewsku i białorusku tak: Mickiewicz jest „nasz” na Białorusi, Litwie i w Polsce, a my z nim. Śmiało powiedziane? A może za trudny dla nas ten Mickiewicz?

Tą paradoksalną dzisiaj dla nas lekcję geografii rozumie dobrze język, którym władał Adam Mickiewicz. Język ten, podobnie jak dzisiaj, nazywał się językiem polskim, ale nieco inaczej był rozumiany, przynajmniej w sensie kulturowym. Przynależał wówczas do przestrzeni cywilizacyjnej, nie narodowej. Mickiewicz piszący w języku polskim był „swój” nie tylko pośród Polaków żyjących na obszarach dzisiejszej Litwy i Białorusi, ale także pośród samych Białorusinów i Litwinów. I jest zupełnie naturalne, że również dzisiaj i jedni, i drudzy upominają się o „swojego” Mickiewicza. „Jest czymś wspaniałym – pisze Sokrat Janowicz – że czytając Mickiewicza Białorusin czuje się swojsko...”. Język Mistrza to ciągle jeszcze dla nas niedościgniona dojrzałość, nie tylko w sensie warsztatu poetyckiego, ale także w sensie kulturowym. Jego darem

była wspólnotowość, którą zatraciliśmy i do której na nowo musimy dorastać. A to, że na co dzień mówimy po polsku wcale jeszcze nie oznacza, że łatwiej nam będzie wspomnianą dojrzałość osiągnąć. Dzieli nas od niej ten sam dystans, co innych współmieszkańców dawnej Rzeczypospolitej. Wypowiadamy w języku polskim, języku oryginału, słowa „Litwo, ojczyzna moja...” i staramy się odkryć ich sens wymykający się naszemu rozumieniu znaczenia poszczególnych słów. Podobnie inną od dotychczas używanej mapę musimy rozłożyć, by odczytać sens mickiewiczowskiej przestrzeni.

W roku 1998 Adam Mickiewicz odkrywa przed nami kolejną kartę „Księgi pielgrzymstwa” i stawia nowe wyzwania. W dalszym ciągu może być przewodnikiem w tej drodze. Ważne, by właściwie odczytać jego przesłanie w czasie obecnym, innymi słowy – by za nim nadążyć, przewyżczając własne lenistwo w powtarzaniu zużytych już formuł interpretacyjnych, odnoszących się do tego, co było kiedyś. Nie ma już w nich żywego słowa poety. Trzeba go szukać na nowo i w nowej formie wyrazu. Przed podobnym zadaniem stanęli po drugiej wojnie światowej twórcy Instytutu Literackiego kierowanego przez Jerzego Giedroycia. Pierwszą książką oddaną przez nich do druku jeszcze w Rzymie w 1946 roku były „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego”. Autorem wstępu był Gustaw Herling-Grudziński, który rozprawiając się z megalomanią narodową i mitem mesjańskim, pisał o nowej treści wypełniającej „pielgrzymowanie dla wolności”. Treść tę miał stanowić „ruch społeczno-polityczny, w którego kręgu odnajdują swą godność polityczną i niezłamaną wierność ideałom społecznym wszyscy europejscy wygnańcy...”. Jaką treścią wypełnimy mickiewiczowskie pielgrzymowanie dzisiaj, kiedy emigracja nie jest już koniecznością, a Polska, Litwa i Białoruś mają już swój własny niepodległy byt państwowy. Pomimo tych różnic dzisiejsza treść niewiele musi odbiegać od tej wypracowanej przez twórców „linii” paryskiej *Kultury*. Warto zapamiętać słowa Mickiewicza z odczytu „O duchu narodowym”, cytowane przez Herlinga-Grudzińskiego we wstępie: „Im mocniej Polska czuła i podzielała uczucia rodzinne Europy, tym była szczęśliwszą i sławniejszą; im bardziej oddzielała się od Europy tym widoczniej słabła...”.

Ci, którzy pójdą tropem „wspólnotowym” Mickiewicza, będą się czuli źle w kulturach etnocentrycznych Polski, Litwy i Białorusi. Ale – jak zauważył Czesław Miłosz – „użyteczność takich osobników na tym właśnie może polegać, że tworzą ‘tkankę łączną’ tam, gdzie sprzeczne narodowe lojalności zdają się nie do pogodzenia”.

Krzysztof CZYŻEWSKI

Jan Lebenstein – kronika amerykańska

*Każdego z takich jak Ty świat nie może
Od razu przyjąć na spokojne łoża,
I nie przyjmował nigdy, jak wiek wiekiem.*

Norwid

Studiując życiorys artysty, jego dorobek, listy wystaw indywidualnych i zbiorowych, począwszy od jego pierwszej wystawy w 1956 roku w Teatrze na Tarczyńskiej w Warszawie, nie sposób w paru słowach ogarnąć ogromu dzieła, które stworzył. Nie sposób go też sklasyfikować, zaszukadkować czy jednoznacznie zdefiniować. Nie należy ono bowiem do żadnego kierunku, czy szkoły. Jest malarstwem oryginalnym i niepowtarzalnym, wyrastającym z najgłębszej filozoficznej zadumy artysty nad sensem ludzkiego istnienia i człowieczego cierpienia. Jest dziełem o miłości, samotności i umieraniu; traktatem o ludzkiej godności i upadku. Malarstwo to jest świadectwem, które artysta wystawia ludzkości, każdemu z nas z osobna. Świadectwem człowieka, którego cechuje „fundamentalna niewinność istoty śniącej na piersi Boga”, jak nazwał go jeden z przyjaciół. To malarstwo to requiem o ludzkości.

Obecność Lebensteina w świadomości amerykańskiej datuje się już od późnych lat pięćdziesiątych. Na rok przed otrzymaniem we Francji Grand Prix de la Ville de Paris, Biennale w Wenecji, Biennale w Sao Paolo, Dokumenta II w Kassel, bo już w roku 1958, młody polski artysta bierze udział w wystawie Guggenheim International Award w Solomon R. Guggenheim Museum w Nowym Jorku, gdzie zaprezentował swoją „Small Figure in Blue Frame” z 1957 (obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie). Dopiero jednak rok 1959 staje się dla kariery Lebensteina przełomowym. Jego figury osiowe, mieszczące się gdzieś na pograniczu abstrakcji i sztuki informelu, budzą niezwykle żywe zainteresowanie krytyków, zarówno w Europie, jak i za Oceanem. Dużo się o nich mówi i pisze, co nie uchodzi uwadze największych muzeów i kolekcjonerów sztuki. Dochodzi nawet do tego, iż jedni i drudzy za punkt honoru biorą sobie posiadanie we własnych zbiorach „Lebensteina”.

Obchodzące hucznie trzydziestolecie swego istnienia Museum of Modern Art w Nowym Jorku organizuje na przełomie 1960 i 1961 roku wystawę swych najnowszych nabytków „Toward the ‘New’ Museum of Modern Art”, wśród których znalazło się płótno artysty „Turning Form XXXVI” z 1959 roku, подарowane muzeum przez znanego kolekcjonera sztuki Davida G. Thompsona. W grudniowym numerze *The New York Times* ukazał się artykuł Johna Canadaya o tej wystawie, gdzie reprodukcja obrazu Lebensteina znalazła się w towarzystwie dzieł Picassa i Degasa.

W tym samym czasie dzieło artysty propagowane jest przez znanych nowojorskich kolekcjonerów sztuki, doktora Arthura Lejwę, który poznał młodego malarza w czasie pobytu w Polsce w 1952 roku, i jego żonę Madeleine Chalette-Lejwa. Już w kwietniu 1961 roku, w Galerie Chalette na Madison Avenue, organizują oni wystawę polskiej sztuki współczesnej „Six Contemporary Polish Painters”. Pięć obrazów Lebensteina znalazło się w doborowym towarzystwie dzieł tak znanych polskich malarzy, jak Stefan Gierowski, Jerzy Tchórzewski, Henryk Stażewski, Jonasz Stern i Bronisław Kierzkowski. Krytyk *Art News*, w swej recenzji z wystawy, podkreśla niezwykle siłę wyrazu obrazów Lebensteina, ich często anegdotyczny charakter, kojarzący mu się z malarstwem Paula

Klee i Dubuffeta, a także z malowidłami ściennymi z atycznych grobowców. Informacja o wystawie ukazała się również w *Arts Magazine*, czasopiśmie o międzynarodowym zasięgu, gdzie obok dzieł innych polskich malarzy, pojawiła się reprodukcja „Axial Figure Number 38” z 1960 roku.

Niecałe dwa miesiące później, na fali zainteresowania sztuką krajów do tej pory oddzielonych Żelazną Kurtyną, Museum of Modern Art organizuje przeglądową wystawę współczesnej sztuki polskiej, „Fifteen Polish Painters”. Pojawiły się na niej dzieła artystów już wcześniej wspomnianych, a także najnowsze płótna Tadeusza Kantora, Piotra Potworowskiego, Tadeusza Brzozowskiego, Teresy Pągowskiej, Tadeusza Dominika, Jerzego Kujawskiego. W ekspozycji znalazło się aż dziewięć obrazów olejnych artysty z serii figur osiowych z lat 1959-1961 oraz dwa gwasze. Większość prac pochodziła z prywatnych kolekcji nowojorskich muzyków, Fredericka Zimmermanna, Lorina Bernsohna, Williama Lincera oraz z Galerie Chalette, a także z Waszyngtonu i Pittsburgha. We wstępie do katalogu wystawy, jej kurator Peter Selz, podkreśla niezwykle oryginalność figur na osi. Cytuje polskiego historyka sztuki Juliusza Starzyńskiego, który w figurach Lebensteina dopatrywał się rozwiązania trwającego w teorii sztuki sporu co do znaczenia, miejsca i roli sztuki abstrakcyjnej i reprezentatywnej. Zachwyca się mistrzostwem wykonania „Axial Figure Number 110”, jej niezwykle trapezoidalnym kształtem rzuconym na czarne tło płótna, budzącym analogie z jakimś niezwykle bóstwem czy demone, strasznym ale i pełnym godności, strzegącym swego terytorium. Selzowi wtóruje Konstanty A. Jeleński, który zalicza Lebensteina do czołówki polskiej „nowej fali” w swej świetnej recenzji z wystawy na łamach *Arts Magazine*. Wylicza analogie jakie budzi jego sztuka u krytyki zachodniej, która w figurach osiowych dopatruje się krzyży z polskich rozdroży, mitologicznych słowiańskich idoli, totemów, pieczęci, spalonych ciał, telegraficznych słupów i innych symboli. Podkreśla niezwykle mistrzostwo rysunku artysty, który dla zabawy potrafi świetnie naśladować zarówno styl Tiepola, jak i Daumiera czy Picassa. Na koniec Jeleński dzieli się sarkastyczną refleksją nad kompletnym niezrozumieniem głębokiej sztuki artysty przez wielu kolekcjonerów i krytyków,

którzy patrząc na „swego Lebensteina” nie potrafią dostrzec pod fizyczną płaszczyzną obrazu, symbolicznej dychotomii, Eros – Tanatos.

Na przełomie dwóch lat wystawa nowojorskiego muzeum pokazana została publiczności w Ottawie i Montrealu w Kanadzie oraz w Minneapolis, St. Louis i Utica w Stanach Zjednoczonych.

W 1961 roku „Axial Figure” artysty zostaje pokazana i sprzedana na Pittsburgh International Exhibition Of Contemporary Painting and Sculpture w Carnegie Institute. Instytut włączył też obrazy Lebensteina do swoich ekspozycji w 1964 („Figure 184”) i 1967 roku („The Carpathian”). Gwasz „Personnage” z 1960 roku, zakupiony w Galerie Chalette i ofiarowany San Francisco Museum of Modern Art został pokazany tamże na wystawie na przełomie stycznia i lutego 1962 roku, a następnie w University of California Museum of Art w Berkeley.

W Berkeley Lebenstein odwiedza Czesława Miłosza, którego poznał osobiście w Paryżu w 1959 roku. Poeta pojawił się wówczas na wernisżu indywidualnej wystawy w Galerie Lambert, gdzie artysta pokazał serię gwaszy figur osiowych. Wizyta ta daje początek wielkiej przyjaźni, która łączy obu Mistrzów do dziś, i która zaowocowała, m.in. wspianymi cyklami grafik Lebensteina do „Księgi Hioba” i „Apokalipsy” w tłumaczeniu naszego noblisty.

Olbrzymie znaczenie dla kariery artysty miała jego pierwsza indywidualna wystawa w Galerie Chalette na przełomie marca i kwietnia 1962 r. Artysta zaprezentował trzydzieści jeden obrazów i rysunków z lat 1959-1961, czyli większość prac ze swego okresu paryskiego uwieńczonego solową wystawą w październiku 1961 w Musée d'Art Moderne de la Ville de Paris, gdzie zaprezentowano czterdzieści cztery obrazy. Krytycy nowojorscy nie ukrywali podziwu i nie szczędzili słów uznania dla młodego polskiego malarza. Krytyk *Arts Magazine*, Donald Judd, podkreśla niezwykle różnorodność i bogactwo fraktury figur osiowych; zachwyca się formalnymi rozwiązaniami utrzymanej w monochromatycznych szarościach „Figure Number 125”, która według niego jest jedną z najlepszych pokazanych na wystawie. Z kolei krytyk *Arts News* nazywa Lebensteina jednym z najbardziej prowo-

kujących polskich malarzy młodego pokolenia. Analizuje strukturę obrazów, niezwykłą technikę artysty, dającą wręcz wrażenie trójwymiarowości. Podkreśla niesamowitość i niezwykłą siłę ekspresji płócien, niepokój, który budzą u widzów. „Dramatycznie dekoracyjne” i „niezmiernie poruszające” to tylko niektóre z określeń, których używa John Canaday na łamach *The New York Times*, by opisać figury osiowe polskiego malarza. To już nie tylko wystawa – to spektakl, to misterium. Gigantyczne postaci mitycznych kapłanów patrzą z płócien na widzów, swymi szeroko otwartymi oczyma, porażają szkieletowością, bądź przesadnym bogactwem, kabalistycznymi znakami i insygniami. Najwyraźniej chcą przekazać ludzkości niezwykle ważną wiadomość, przesłanie. Czy nastąpi dialog?

Źródłem niezwykłego powodzenia sztuki Lebensteina, Canaday dopatruje się w nadzwyczajnej kompozycji figur osiowych, które miast nużyć widza swą powtarzalnością powodują reakcję odwrotną, a mianowicie fascynację różnorodnością ich ornamentalnej dekoracyjności. Wykorzystuje ją malarz do spotęgowania ekspresji obrazu, do nawiązania bliższego kontaktu z widzem. „Musi zaistnieć dialog” – mówi malarz w jednym z wywiadów w 1966 roku. – „Sztuka polega na pobudzaniu, wewnętrznym przetwarzaniu świata przez twórcę i odbiorcę. Ten współdziałanie jest niezbędny i niesłuchanie kreatywny”. Artysta, który przybył z Paryża na czas wystawy, wykorzystuje wolne chwile na zwiedzanie nowojorskich muzeów i galerii, jest urzeczony wspaniałymi zbiorami Frick Collection.

Między wrześniem a listopadem tegoż roku rysunki, gwasze i obrazy olejne Lebensteina wędrują z Galerie Chalette do White Museum w Cornell University w Ithaca, w stanie Nowy Jork, gdzie ma miejsce kolejna wystawa indywidualna artysty.

Trzyletnia już współpraca artysty z galerią na Madison Avenue owocuje kolejną wystawą w maju 1963 roku. Lebenstein prezentuje na niej swe ostatnie rysunki i gwasze z cyklu figur osiowych. Recenzent *Art News* podkreśla niezwykły talent polskiego malarza, który przy minimalnych środkach potrafi osiągnąć niebywały efekt. To również moment niezwykłego i autentycznego powodzenia artysty na światowym

rynku sztuki. Wspomina o tym jego przyjaciel, Konstanty A. Jeleński, w eseju „Lebenstein – mitotwórca ludzkiej natury” na łamach paryskiej *Kultury*: „Jest to moment międzynarodowej sławy Lebensteina, moment niebezpieczny dla współczesnego artysty, gdyż krytyk, muzeum, galeria, identyfikują nową i oryginalną formę z podpisem i poddany jest on trudno uchwytnemu naciskowi aby skostniał i za tę cenę przeszedł raz na zawsze do ‘Nomenklatury’”. Nie mogło jednak skostnieć, czy poddać się jakimkolwiek presjom zewnętrznym dzieło, u którego podstawy leży „byt wymyślany na nowo, który implikuje zarówno odosobnienie, jak i wewnętrzny dystans”. Wszelkie próby dialogu z przedstawicielami wiodących galerii, największych muzeów i kolekcji, niezwykle ciepło nastawionych do zdobywcy paryskiego Grand Prix, kończą się coraz częściej fiaskiem. Artysta, na wskroś uczciwy w tworzeniu dzieła swego życia, wierny swym ideałom i wyznawanym przez siebie zasadom, nie potrafi odnaleźć wspólnego języka ze zinstytucjonalizowanym zachodnim establishmentem artystycznym, decydującym o nagrodach, stypendiach, cenach obrazów, a w końcu losach i karierach poszczególnych artystów. Jak wspomina dalej Jeleński w „Samotnej drodze Jana Lebensteina”: „Janka Potęga Smaku nie tylko kazała mu ‘skrzywić się, wycedzić szyderstwo’, ale wprost spuścić rozmówców ze schodów. Ze szkodą dla sławy i spraw bytowych – zapewne. Ale z korzyścią wywojowania sobie tej najtrudniejszej dziś do uzyskania pozycji – *d’un artiste maudit*”.

Formy jakie zaczynają przyjmować nowe figury artysty z tego okresu są mniej regularne, mniej ostre; bardziej organiczne, rozmyte. Symetria, często zachowana w ogólnym szkielecie figury, zostaje zachwiana przez użycie różnorodnych detali, co powoduje zwiększenie ekspresji obrazu. Jest to efektem przemian, które można dostrzec w twórczości artysty z tych lat. Z figur na osi zaczynają się wyłaniać formy obłe, z licznymi odnóżami, mackami, przypominające kształtem jakieś fantastyczne prehistoryczne stwory. To początek dziejów ludzkości według Lebensteina, to wyłanianie się na powierzchnię „Potwornych zwierząt” i mitycznych bohaterów z „Karnetu intymnego”, który szokował publiczność rozbuhaną cielesnością. Ale jak pisze Mariusz Hermansdorfer:

„Wszystko jest umowne, wyobrazone, dotyczy idei a nie konkretnego. Powstaje bowiem mit o dziejach ludzkości, o naturze człowieka, o jej archetypach”.

W latach sześćdziesiątych, po zerwaniu współpracy z dotychczasowymi marszandami, Lebenstein bierze jeszcze udział w kilku znaczących wystawach zbiorowych. W 1963 roku jego obrazy można zobaczyć na wystawie „Plastic Art and Contemporary Painting” w Herron School of Art w Indianapolis. W grudniu tegoż roku płótna artysty, będące w zbiorach nowojorskiego Museum of Modern Art, wędrują do National Gallery of Art w Waszyngtonie, gdzie zostają włączone do ekspozycji poświęconej kolekcji MoMA. Gwazdy z kolei zaprezentowane zostają przez MoMA w roku 1966 na wystawie „European Watercolours” w Nowym Jorku i innych miastach USA i Kanady. W listopadzie tegoż roku, obok dzieł Zbigniewa Makowskiego i Henryka Stażewskiego, szesnaście prac artysty, m.in., „La Bete Verte”, figury osiowe numer 12, 60, 61, 69, 70, 96, oraz rysunki i gwazdy można zobaczyć w Rosary College (obecnie Dominican University) w River Forest, w stanie Illinois, na wystawie „Polish Art from the Collection” of M. A. Lipschultz. Prócz wspomnianych wcześniej Pittsburgh International, malarz bierze jeszcze udział w wystawie „Fantastic Drawings in Chicago Collections” na przełomie 1967 i 1968 roku. Jest to jedna z pierwszych wystaw otwartego w październiku 1967 roku Museum of Contemporary Art w Chicago.

Koniec lat sześćdziesiątych to w twórczości artysty jeszcze większy zwrot ku językowi mitu, symbolu. Tragiczna, ludzkozwierzęca alegoryka jego wcześniejszych cyklów „Creatures Abominables” czy „Carnet Intime” ulega transformacji, by osiągnąć apogeum w cyklu „spektakli” z lat 1970-71, w których artysta w sposób niezwykle sarkastyczny przedstawia wizję stosunków międzyludzkich we współczesnym społeczeństwie. W dziesięć lat po pierwszej indywidualnej wystawie w Galerie Chalette, David Mann, przy współpracy polskiego mecenas sztuki, pani Ewy Pape, organizuje w Bodley Gallery na Madison Avenue kolejny olbrzymi pokaz najnowszych prac artysty. Na wystawie można było obejrzeć piętnaście olbrzymich formatów płócien, wśród nich „Strasbourg – St. Denis”, „L'Apogée” z 1969, „Western”, „Le Parquet”, „Actualités”

z 1970, „Image double” z 1971, czy najnowsze „Big Chief”, „Les dos”, „Image double II” z 1972, oraz osiemnaście gwazdy i pasteli z lat 1966-72. O rozdarciu natury ludzkiej napisała pięknie we wstępie do katalogu wystawy Mary McCarthy: „patrzac na jego [Lebensteina] obrazy publiczności w kinie, zafascynowanej ekranem, przyszła mi na myśl jakaś smutna, zdegradowana wersja mitu 'Jaskini' [Platona], podobnie jak rozdwojone figury osiowe są echem innego mitu z 'Sympozjonu', który mówi nam jak Zeus podzielił na dwoje pierwotnych ludzi, skąd początek bólu i szaleństwa miłości”.

Na łamach *Art News* Al Brunelle wspomina niezwykłą sławę jaką się cieszył Lebenstein w Stanach Zjednoczonych przed dziesięć laty za sprawą swych abstrakcyjnych figur, oraz podkreśla zmianę stylu artysty, który zwrócił się obecnie w kierunku malarstwa figuratywnego i surrealistycznego. Nowy sposób wyrazu artysty, nowe środki, głęboka symbolika cyklu „spektakli” nie spotkały się z przychylnym przyjęciem krytyki i marszandów, którzy wciąż czuli się obrażeni nieprzejednanym stanowiskiem malarza, który nie poddał się ich presji i podążył własną, wybraną przez siebie drogą. Nie zapomnieli również Lebensteinowi „odpowiedzi” jakiej udzielił kilka lat wcześniej jednemu z nich. W rok po wystawie w Bodley, na przełomie lutego i marca 1973 roku, obrazy artysty zostały zaprezentowane w Wyman Gallery w Chicago. Recenzja Franza Schulze na łamach majowego wydania *Art in America* była miażdżąca. Powodzenia wczesnych prac artysty dopatruje się on jedynie w ich niezwyklej brutalności i figuratywności. Zalicza jego twórczość do nurtu ekspresjonistycznego, raczej retorycznego, niżli genialnego, skupionego pod sztandarem humanistycznego egzystencjalizmu. Wymienia nazwiska takich malarzy, jak: Octave Landyut, Rico Lebrun, Leonard Baskin, którzy podobnie jak Lebenstein, przynajmniej w Ameryce, zostali kompletnie zapomniani. Zarzuca malarzowi, iż jego obrazy, pełne dziwnych, fantastycznych postaci, stworów, nagich kobiet, służą jedynie szokowaniu widza, pozbawione są jednak tak głębokiego sensu i nastroju, jak miało to miejsce na przykład w serii „czarnych obrazów” Goi. Przy tym, gdy Goya był w swym gniewie uczciwy i tragiczny, według Schulze'a potwory Lebensteina są wydumane i zbyt teatralne. Na koniec krytyk

zarzuca Mary McCarthy, iż w swym eseju o artyście, stara się na siłę i bezpodstawnie tłumaczyć jego sztukę na płaszczyźnie filozoficznej. Niesprawiedliwe i tendencyjne uwagi Schulze'a mogłyby budzić jedynie uśmiech politowania, gdyby nie fakt, iż opublikowane zostały w tak uznanym i ważnym czasopiśmie artystycznym. Jeszcze raz okazało się, jak potężną siłę ma słowo pisane, i jak olbrzymią władzę mają ci, którzy decydują o karierach i sławie artystów.

Rok 1974 to kolejna próba, tym razem duetu Pape-Ruddy Art Associates, przybliżenia współczesnego malarstwa polskiego publiczności amerykańskiej na zachodnim wybrzeżu. Na przełomie października i listopada prace Henryka Stażewskiego, Zbigniewa Makowskiego, Anny Gunter, oraz Jana Lebensteina zaprezentowane zostały w Los Angeles. W swej recenzji z wystawy Melinda Wortz na łamach *Arts Magazine* podkreśla niezwykle niepokój jaki budzą u widza ostatnie obrazy figuratywne Lebensteina, pełne mitologicznych stworów, fantastycznych zwierząt i nagich kobiet. „Jeux de Faun” i „Leda and the Swan” artysty oraz prace pozostałych trzech polskich malarzy pokazane zostają następnie w Huntsville Museum of Art w stanie Alabama. Od 1 października 1974 do 15 września 1975 „Axial Figure 90” z 1960 roku została włączona do inauguracyjnej wystawy w Hirshhorn Museum and Sculpture Garden, będącym częścią Smithsonian Institution w Waszyngtonie. Na przełomie 1975/76, olbrzymich rozmiarów płótno artysty „Dialogue Vertebral” z 1967 pochodzące z kolekcji Martina Lipschultza znalazło się na wystawie „Jewish Artists of the Twentieth Century” w Spertus Museum of Judaica w Chicago. Ekspozycja w Spertus zyskała pochlebne oceny krytyki i spotkała się z lepszym przyjęciem niż otwarta równolegle w nowojorskim Jewish Museum wystawa „The Jewish Experience”. W tym samym czasie, w Nowym Jorku, malarz otrzymuje niezwykle prestiżową nagrodę Fundacji Alfreda Jurzykowskiego w dziedzinie sztuk plastycznych za rok 1975. Od 17 listopada 1977 do 15 stycznia 1978 roku płótno „Animal II” z serii „Creatures Abominables” z roku 1963 zostało pokazane na wystawie „The Animal in Art” zorganizowanej ponownie przez Hirshhorn Museum, w którego zbiorach znajduje się kilkanaście prac artysty.

Prawie piętnaście lat miłośnicy twórczości Lebensteina musieli czekać na kolejną wystawę artysty. Nie była to też wystawa indywidualna, lecz pokaz malarstwa polskiego ze zbiorów Toma Podla z Bellevue, z okolic Seattle, w stanie Washington. W tej, jednej z najbardziej na północny-zachód wysuniętej metropolii, potomek polskich zesłańców na Sybir, zebrał w przeciągu kilkunastu lat kolekcję, porównywalną chyba jedynie z tą Ewy i Wojtka Fibaków. Podobnie jak u tych ostatnich, także w kolekcji Podla znalazło się miejsce dla reprezentantów sztuki współczesnej, w tym dla tworzącego od 1959 roku w Paryżu, Lebensteina. Na wystawie „A Discovering Eye. The Podl Collection” zorganizowanej przez Muzeum Polskie w Ameryce, od 20 marca do 30 maja 1993 roku została pokazana „Blue Figure” artysty z 1958 roku. Na tejże wystawie, przeniesionej w sierpniu do Frye Art Museum w Seattle, można było obejrzeć ponadto dwie olejne prace Lebensteina: „Gold Figure” z 1961 oraz „Bêtes de Salon” z roku 1967.

Już w trzy lata później, dzięki bliskim kontaktom kolekcjonera z Galerią 1112 w Chicago, kolejne rewelacyjne prace Lebensteina zaprezentowane zostały w tejże galerii na wystawie „Contemporary Warsaw Masters”. Na przełomie czerwca i lipca 1996 roku, obok jedenastu uznanych polskich artystów, związanych z warszawskim środowiskiem artystycznym, m.in. Stefana Gierowskiego, Jerzego Tchórzewskiego, Adama Myjaka, publiczność miała szansę obejrzenia trzech obrazów artysty z kolekcji Toma Podla. Wspaniałe dyptyk „Points de Vue” z 1967 roku, pokazany na wystawie w Galerie Desbriere w Paryżu w roku 1968, znalazł się na okładce pięknego katalogu towarzyszącego ekspozycji oraz na plakacie. Wyszukaną dekoracyjnością z jednej strony i niezwykle sarkazmem z drugiej, uderzają widza wspomniane wcześniej „Bêtes de Salon”. Znacząca twórczość Lebensteina olśniła z pewnością jego „Drafted Figure” z roku 1958.

Równo dwadzieścia cztery lata po wystawie w Wyman Gallery, wielbiciel talentu artysty mieli kolejną szansę obejrzenia jego prac z końca lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych, tym razem podczas indywidualnej ekspozycji zorganizowanej przez Galerię 1112 i Towarzystwo Sztuki w Chicago. Od 14 lutego do 9 marca 1997 roku przy 1112 Mil-

waukee Avenue publiczność mogła podziwiać dwadzieścia obrazów z nowojorskiej kolekcji Kena Browne'a.

Obecność artysty na kontynencie amerykańskim to nie tylko jego liczne wystawy indywidualne i grupowe, lecz także setki obrazów olejnych, gwaszy, rysunków i grafik, rozsianych w licznych zbiorach prywatnych, a także w kolekcjach największych muzeów amerykańskich. Dzieła artysty znalazły uznanie w oczach potentatów przemysłowych, jak niezującego już Davida G. Thompsona z Pittsburgha, polityków, gubernatora i wiceprezydenta USA Nelsona A. Rockefellera i jego brata, filantropa sztuki, Johna D. Rockefellera III, znanego pisarza i publicysty politycznego Josepha Alsopa z Waszyngtonu, muzyka i dyrygenta filharmonii nowojorskiej Fredericka Zimmermanna, którzy byli również znanymi kolekcjonerami i miłośnikami sztuki współczesnej. To właśnie w rękach muzyków nowojorskich oraz ludzi związanych ze światem opery znajdują się wciąż wspaniałe, liczące niejednokrotnie po kilkanaście dzieł, kolekcje obrazów artysty, wiszące w towarzystwie prac Egona Schiele, Oskara Kokoschki, a często i polskich klasyków, jak Stażewskiego, Kierzkowskiego, Fangora, Makowskiego, czy Dominika. Poza Nowym Jorkiem obrazy Lebensteina znaleźć można w kilku kolekcjach w New Jersey, w Hackensack, Trenton, Wallington, Montclair, w Pensylwanii, Oregonie, Colorado, Kalifornii, Północnej Karolinie, na Florydzie, oraz w Illinois, gdzie spadkobiercy Martina Lipschultza znaleźli się w posiadaniu olbrzymiej kolekcji polskiej sztuki współczesnej, w tym prawdopodobnie największego w Stanach Zjednoczonych zbioru obrazów olejnych, gwaszy i rysunków Lebensteina z lat 1955-67.

„Turning Form XXXVI” z roku 1959, „Axial Figure 110” z 1961, cztery gwasze oraz dwadzieścia jeden szkiców figur osiowych z 1961 roku znajdują się w kolekcji Museum of Modern Art w Nowym Jorku. „Axial Figure 84” i „103”, a także gwasz artysty z 1965 roku zdobią wnętrze Fundacji Kościuszkowskiej przy 65 Ulicy na Manhattanie. Obraz olejny „Axial Figure” z 1959 jest w stałej ekspozycji w Snite Museum of Art w University of Notre Dame w Indianie. Obrazy olejne: „Axial Figure” z 1959, „Axial Figure 38, 68, 76, 90” z 1960, oraz „Axial Figure 154” z 1962 i „197” z 1963 roku, a także pięć gwaszy figur osiowych z końca lat

pięćdziesiątych z kolekcji Josepha H. Hirshhorna posiada obecnie Hirshhorn Museum w Waszyngtonie. Niewielkich rozmiarów gwasz „Personnage” z 1960 znalazł się w zbiorach San Francisco Museum of Modern Art w 1961 roku. Nie posiada natomiast żadnych prac Lebensteina Carnegie Institute w Pittsburghu, mimo, iż wymieniany jest on w wielu katalogach i opracowaniach twórczości artysty.

W ciągu czterdziestu lat, które minęły od wystawy w Guggenheim Museum, artysta obecny był wielokrotnie w Stanach Zjednoczonych. Zarówno z okazji licznych wystaw, wernisaży, spotkań, a także by zwiedzać (zachwycony zbiorami National Gallery w Waszyngtonie), podróżować (większość stanów, liczne parki narodowe, Dinosaur National Monument, gdzie olśniły go na wpół odkryte szkielety prehistorycznych potworów), a w końcu by malować. I tak, w czasie wakacji 1981 i 1982 roku powstaje genialny cykl olbrzymich rysunków z natury, przedstawiających fantastyczne i niepowtarzalne formy Grand Canyon w stanie Colorado, o którym na łamach paryskiej *Kultury* Krzysztof Pomian pisze, iż: „Przecinając nagromadzone warstwy, kanion czyni... niewidzialne widzialnym, obnaża to, co ukryte, uzewnętrznia, co wewnętrzne: kościec ziemi. Wyprowadza na powierzchnię to, co głębokie, ukazuje skałę pod piaskiem. Osiąga więc ten sam efekt, co wyobraźnia Lebensteina, gdy prześwieśla ciało promieniami śmierci lub poddaje wiwisekcji duszę”.

Na zakończenie, zamiast konkluzji, posłużę się jeszcze raz cytatem z artykułu Johna Canaday'a na łamach *The New York Times*. Twierdzi on bowiem, i słusznie, iż siła sztuki Lebensteina tkwi w „ukazywaniu tajemnic, o których ludzie zapomnieli, bądź ukryli głęboko w podświadomości, tak, iż nie zdają sobie sprawy, że w nich istnieją (...) Jego sztuka nie jest do wytłumaczenia, lecz do przeżywania wzruszeń i emocji, które implikuje (...) Ze swą techniczną wirtuozerią, niezwykłą dekoracyjnością i kolorem jest ona czymś bardzo obiecującym w stosunku do jałowego pola sztuki współczesnej”. Myślę, iż słowa te, napisane trzydzieści sześć lat temu, nic nie straciły na swej aktualności.

Jan Kazimierz KAPERA

Głos odchodzącego pokolenia

W 85-tą rocznicę urodzin Łucji Pinczewskiej-Gliksman

Urodzona osiemdziesiąt pięć lat temu w Opatówku koło Kalisza Łucja Pinczewska-Gliksman jest w Polsce autorką prawie nieznaną. Stało się tak mimo tego, że przez wiele lat była stałym współpracownikiem kilku pism emigracyjnych, w tym paryskiej *Kultury*. Publikowała jednak pod pseudonimem (Wanda Falk) i głównie w języku angielskim, a jej prace dotyczyły przede wszystkim problematyki z obszaru współczesnej literatury rosyjskiej i historii totalitaryzmu sowieckiego. Stąd też jej nieobecność na księgarskim rynku krajowym w okresie powojennym.

Poetka, tłumaczka, publicystka literacka, historyk literatury, edytor. Wychowywała się w zasymilowanej inteligentkiej rodzinie żydowskiej. Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie studiowała w latach trzydziestych pod kierunkiem takich profesorów jak: J. Ujejski, Z. Szmidowa, czy W. Doroszewski. Swą pierwszą pracę polonistyczną podjęła jeszcze przed wojną, odbywając praktykę nauczycielską w stołecznym, prywatnym gimnazjum męskim.

Okres okupacji spędziła początkowo w Warszawie. Następnie przebywała we Lwowie, skąd w czerwcu 1940 roku została deportowana do Kopiejska za Uralem. Tam przez wiele miesięcy zmuszana była do niewolniczej pracy w kopalni węgla. Zwolniona z miejsca przymusowego pobytu jesienią 1941 roku, na mocy porozumienia między Polskim Rządem Emigracyjnym a Stalinem. Ostatni okres pobytu w Związku Sowieckim spędziła w Tadżykistanie. Następnie rozpoczęła pracę w Delegaturze Rządu Londyńskiego, z ramienia którego organizowała polską szkołę, placówki opiekuńczo-wychowawcze dla sierot, prowadziła rejestr polskich rodzin żyjących na Wschodzie. W 1942 roku, wraz z Armią Generała Władysława Andersa, w ramach ewakuacji polskiej ludności cywilnej, wyjechała najpierw do Teheranu, a później na Bliski Wschód. Do końca wojny pracowała jako referent kulturalno-oświatowy Delegatury Rządu Polskiego. Swoje pierwsze

utwory poetyckie publikowała w emigracyjnym piśmie *Polak w Iranie*. W okresie pobytu w polskiej armii wydała dwie znaczące antologie polskich poetów: J. Kasprowicza (1944) i K. Ujejskiego (1946).

Tuż po wojnie, wraz z mężem Jerzym Gliksmanem, wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Tam też wspólnie opracowali monografię na temat sowieckich obozów koncentracyjnych „Tell the West. An account of his experiences as a slave laborer in the Union of Soviet Socialist Republics” (New York, 1948), tłum. polskie: „Powiedz Zachodowi. Wspomnienia autora z okresu niewoli w obozie pracy przymusowej w Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik” (New York, 1951). Pobyt w Ameryce Łucja Pinczewska-Gliksman poświęciła przede wszystkim na dalsze studia akademickie, prowadząc równocześnie zajęcia dydaktyczne ze studentami slawistyki w University of Chicago. Wykładała również literaturę sowiecką w Roosevelt University. Później była pracownikiem Russian Institute w Harvardzie, gdzie prowadziła dalszą działalność naukowo-dydaktyczną. W Ameryce wiele publikowała, szczególnie w zakresie współczesnej literatury rosyjskiej (po 1917 roku). Po śmierci męża powróciła do Europy. Mieszkała początkowo we Francji i Belgii, by następnie osiedlić się na stałe w Izraelu.

Łucja Gliksman związała się na stałe z polskim środowiskiem literackim w Tel-Awiiwie. Jest członkiem Związku Autorów Piszących po Polsku w Izraelu. Uczestniczyła aktywnie w redagowaniu i wydaniu czwartego numeru almanachu *Kontury*. W ostatnich latach opiekowała się nieuleczalnie chorym Leo Lipskim, opracowując jednocześnie i przysposabiając do druku całą jego spuściznę pisarską.

Autorka wydała trzy tomy poezji w języku polskim: „Wczoraj” (Tel-Awiiw 1993), „Nostalgia” (Olsztyn 1995) oraz „Na aryjskich papierach” (Jerozolima-Lublin 1996). Jej poezja przepełniona jest tęsknotą za krajem ojczystym. I choć krajobraz polski widziany jest z oddalenia, to przywoływane obrazy są niezwykle aktualne i plastyczne. Optyka widzenia świata w wierszach Gliksman zmienia się – podmiot liryczny w jej poezji to podróżnik, będący w ciągłym ruchu. Jest on jakby skazany na ten los, a sytuacja wydaje się bez wyjścia. Wędrowki te naznaczone są bólem, cierpieniem i żalem. Wiersze Gliksman są świadectwem „gorzkiej żydowskiej egzystencji”, trwania na granicy dwóch światów – pomiędzy życiem a śmiercią. Przestrzeń w tych klasycznych lirykach jest

przeważnie obszarem wypełnionym światłością, spokojem i odpoczynkiem.

Podstawową cechą warsztatu twórczego autorki jest widoczna tendencja do przechodzenia w tekście od obrazów poetyckich, pełnych barw, kształtów i światła, do całej gamy uczuć, tak charakterystycznych dla liryki pisanej przez poetów żyjących na emigracji. Poezja nabiera przez to cech typowych dla egzystencjalnego nurtu literatury europejskiej. Może dlatego poetka chętnie wypowiada się w liczbie mnogiej, tak jak czyni to w wierszu „Łąka” z tomu „Na aryjskich papierach”, stając się w ten oto sposób głosem całego pokolenia, „generacji odchodzącej” Żydów polskich:

Pochodzimy jeszcze po życiu

Jak po ładnej, rozkwitłej łące,

Zobaczymy, jak rosa opada

I jak potem osusza ją słońce.

Zobaczymy firletki wśród trawy

I zielone łątki nad wodą.

Odetchniemy jeszcze raz życiem

Jak spokojną wiosenną pogodą.

Potem przyjdzie sen bez przebudzeń,

Gdzieś nas wezmą, dokąś poniosą –

Zakwitniemy firletką na łące

Opadniemy wieczorną rosą.

Sławomir J. ŻUREK

Krakowskie Forum Rozwoju

Krakowianie mieszkają w różnych zakątkach świata. Wielu z nich to wybitni naukowcy, artyści, przemysłowcy – ludzie, którzy odnieśli sukces w różnych dziedzinach. Duża ich część czuje się związana ze swoim rodzinnym miastem. Są dumni z tego, że urodzili się, wychowali, studiowali w Krakowie. Odwiedzają Kraków, utrzymują kontakt z mieszka-

jącymi tu krewnymi i znajomymi. Czy jednak ich krakowskie powiązania muszą się ograniczać jedynie do płaszczyzny prywatnej? Wśród członków Krakowskiego Forum Rozwoju powstał pomysł, aby stworzyć Światową Listę Krakowian. Listę ludzi, którzy pochodzą z naszego miasta, którzy tu mieszkali i studiowali, którzy przede wszystkim czują się krakowianami i chcą swoją „krakowskość” kultywować, choć dzisiaj mieszkają w różnych zakątkach świata. KFR na mocy porozumienia z Urzędem Miasta Krakowa będzie koordynować tworzenie i rozwój Listy.

Krakowskie Forum Rozwoju zamierza zbierać informacje o takich ludziach i gromadzić je w formie komputerowej bazy danych. Chcemy utrzymywać z nimi kontakt korespondencyjny i przekazywać ciekawe informacje o Krakowie. Mamy nadzieję, że doprowadzi to do wzmożenia ich kontaktów z Krakowem – nie tylko prywatnych. Być może umożliwi również nawiązanie znajomości pomiędzy krakowianami mieszkającymi w jednym mieście czy kraju, którzy do tej pory niewiele wzajemnie o sobie wiedzieli. Proponujemy także przygotowanie Informatora Biuletynowego o tym, co dzieje się w mieście i rozprowadzenie go wśród znajdujących się na Liście Krakowian za pośrednictwem poczty tradycyjnej i elektronicznej.

W roku 2000 Kraków będzie jedną z europejskich stolic kultury. Planujemy wtedy zorganizować Zjazd Krakowian 2000: imprezę kulturalno-naukową dla krakowian, którzy pragną spotkać się w swoim mieście.

Naszym strategicznym celem jest stworzenie lobby krakowian z całego świata na rzecz ich rodzinnego miasta.

Wykorzystajmy ogromny potencjał wynikający z faktu że świat jest pełen krakowian.

Informacje o „Liście Krakowian” są obecnie dostępne w miejskiej prezentacji internetowej „Magiczny Kraków” na stronach WWW.krakow.pl, jak również ukażą się w październikowym numerze informatora kulturalnego „Miesiąc w Krakowie” i w Biuletynie Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

KRAKOWSKIE FORUM ROZWOJU

ul. Floriańska 31, 31-019 Kraków

Tel./fax: (0-12)-4295190, Tel.: (0-12)-4295263,

e-mail: kr-forum@kki.krakow.pl

Gdański zegar astronomiczny

W Gdańsku ukazał się piękny album, opracowany przez dr. Andrzeja Januszajtisa, miłośnika i znawcę kultury gdańskiej, pt. „Zegar astronomiczny w Kościele Mariackim w Gdańsku”, wydany przez Oficynę Marpsre w serii „Gdańska Kolekcja 1000-lecia”. Sławny zegar, rozebrany i wywieziony w czasie ostatniej wojny, zachował większość autentycznego wystroju po rekonstrukcji, która była możliwa dzięki grupie zapalonych specjalistów z dr. Januszajtisem na czele. W listopadzie 1983 r. powołali oni Społeczny Zespół Odbudowy i rozpoczęli studia i zbieranie dokumentacji historycznej.

„Gdański zegar astronomiczny jest jednym z najcenniejszych tego rodzaju zabytków w Europie. Ukończony trzy lata przed narodzeniem Kopernika, funkcjonował do połowy XVI wieku, po czym popadł w zaniebanie, obrastając kurzem i legendami”. Tym zdaniem rozpoczyna się w książce historia zegara.

Budowa jego trwała sześć lat (1464-1470), podczas gdy odbudowa dwa razy dłużej (1983-1997), gdyż miała do pokonania stokrotnie więcej problemów. Zegar, którego wysokość wynosi prawie 14,3 m. a szerokość od 4,1 m. do 4,5 m., składa się z trzech kręgów głównych. Na samym szczycie jest Teatr Figur, niżej – Planetarium i ostatnia część to Kalendarium, które jest najważniejszym informatorem ludzkiego losu. Pierwszy zegar Kościoła Mariackiego i jednocześnie pierwszy zegar gdański publiczny z mechanizmem wybijającym godziny, istniał już w 1389 r. Jego dzieje obfitowały w różne dramatyczne fakty, które poznajemy z cytatów, zamieszczonych w publikacji. W r. 1676 niejaki Kazimierz Haur pisze: „...niektórzy powiadają, że mu oczu wyłupiono: a tak ten Mistrz tego kunsztu dla pomsty wyjął jedną sprężynę, na której wszystko zawisło, y zepsował, że żaden inny do tego czasu Rzemieslnik nie może potrafić, aby ten Zegar do swojej przyszedł perfectiey”. Książka jest ilustrowana oryginalnymi zdjęciami, a także pokazuje fragmenty zegara, do których z powodu jego wysokości, nasz wzrok nie sięga.

Proboszcz Bazyliki, ks. infułat Stanisław Bogdanowicz zapowiedział, że zegar będzie uruchomiany w określonych godzinach.

Eugeniusz KUPPER

Ci, co odeszli

Aniela

Odkąd pamiętam, nie trzeba było dodawać nazwiska, wystarczyło – Aniela. Zanim to się stało, była przed wojną jedną z czterech pięknych sióstr, córek architekta Lilpopa, znanych w całej Warszawie, nieustannie obecnych w jej towarzyskim życiu. Organizowały bale dobroczynne i tańczyły na nich do rana, zawsze otoczone, adorowane, kwestowały na ulicach, jak to wtedy było w zwyczaju, przyjaźniły się z pisarzami, malarzami, zawsze którąś z nich można było spotkać na piątkowym koncercie w Filharmonii, w teatrze, na korcie tenisowym, w artystycznej kawiarni. Bawiły się, ale ich wychowanie trzymało je w dyscyplinie pracy i społecznych obowiązków. Najstarsza Halina wyszła za mąż za dyrygenta o światowej sławie, Artura Rodzińskiego i wyjechała z Polski; Fela, w której kochali się wszyscy koledzy w Akademii Sztuk Pięknych – za pianistę Kazimierza Kranca; najmłodsza Marysia – za Zbigniewa Uniłowskiego, młodego pisarza, rokującego wielkie nadzieje, a Aniela – za Witolda Mieczysławskiego, urzędnika MSZ, z którym wyjechała na dyplomatyczną placówkę do Rumunii. Małżeństwo nie trwało długo, przyszła wojna i różne losy zaprowadziły wszystkie siostry do Stanów, gdzie znowy były razem.

I wtedy narodziła się Aniela amerykańska, czynna, o niewyczerpanej energii, wszystkim życzliwa, niezbędna, ale to był tylko margines jej życia, konieczny dla codziennej egzystencji, najmniej ważny. Dawne światowości ustąpiły teraz miejsca wyniesionej z domu pasji pomagania ludziom i sprawom. W indeksach nazwisk licznych książek z tych powojennych lat – „Dziennik” Lechonia, korespondencja Jerzego Giedroycia z pisarzami – powtarza się nazwisko „Aniela Mieczysławska”. To odniesienie do określonej strony oznacza, że właśnie coś dla kogoś zrobiła, że poszła, zdobyła, posłała, napisała, całe lata zafatwania cudzych spraw, starań, opieki. Nie tylko dla tych, którzy byli blisko, jak Lechoń, wciąż wołający na pomoc, ale i dla każdego, kto przyjeżdżał ze świata i szukał życzliwej osoby. Jej małe mieszkanie rozszerzało ściany dla Czapskiego z Paryża, dla Bobkowskiego z Gwatemali i tylu, tylu innych. Andrzej

Bobkowski nazywał ją PAM (Polska Agencja Mieczysławska).

Obok tych osobistych świadczeń brała na siebie niewdzięczną rolę wiecznego kwestarza. Pomagały jej w tym towarzyskie zalety i stosunki, jakie umiała łatwo nawiązywać, osobisty urok i wyniesiony z warszawskich doświadczeń upór, by wydobyć pomoc na ważne sprawy. Na ich długiej liście były w różnych czasach paryska *Kultura*, Dom dla Ociemniałych w Laskach, Instytut Sikorskiego w Londynie... Mówiono o niej serdecznie – Wielka Jałmużniczka; Lechoń nazwał ją w swym „Dzienniku” – „Nasza narodowa Aniela Mieczysławska”.

Polski Londyn poznał Anielę, gdy związała swe życie z Edwardem Raczyńskim, opuściła Nowy Jork i przeniosła się do Anglii. Nie trzeba było dużo czasu, by włączyła się w nowy świat, wciąż piękna, energiczna, życzliwa, uśmiechnięta. Jak dawniej, jak gdzie indziej. Nauczyła się od razu wszystko wiedzieć, znać wszystkich i załatwiać, tylko teraz robiła to inaczej, idąc obok, w cieniu Ambasadora, a potem Prezydenta Raczyńskiego. Największą troską otoczyła wtedy i jemu bliski Instytut Sikorskiego. Setki jej osobiście pisanych listów, apele, imprezy, w dużej mierze pozwoliły Instytutowi pokonać niejedną trudność, okrzepnąć i trwać. Ale życie towarzyskie, liczne nowe przyjaźnie, praca – bo nigdy nie była bezczynna – i reprezentacja, która stała się jedną z jej oficjalnych funkcji, traciły znaczenie wobec prywatnego, domowego szczęścia. Było ono niemal dotykalne, czuli je nawet obcy i ze wzruszeniem patrzyli na wzajemne oddanie tych dwojga ludzi, którzy spotkali się późno, by połączyć swe życie w spokojnym, ostatecznym porozumieniu.

Aniela, młodsza od Raczyńskiego o pokolenie i wciąż młoda swą zdumiewającą żywotnością i niezmaconą pogodą, z każdym rokiem – zbliżającym go do setki, którą przekroczył – stawała się coraz mocniej z nim związana. Choć jego córki, kochające, oddane, wciąż były obecne, choć nie brakowało mu opieki, trudno już było wyobrazić go sobie bez Anieli obok. To już było jedno wspólne życie. Swoją ostatni wywiad dla Radia Wolna Europa, parę tygodni przed śmiercią, zakończył ze wzruszeniem inwokacją do matki, Pani Róży i żony Anieli, dziękując im za miłość.

Z jego śmiercią skończyło się i życie Anieli, choć przez jakiś czas robiła co potrzeba, porządkowała swoje i jego sprawy, ale był to już automatyzm wrodzonego ładu. Pozornie jeszcze coś czytała, czegoś słuchała, trudno było jednak wiedzieć co z tego dochodziło do niej. Przeszawała chodzić, przeszawała wstawać z łóżka, przeszawała jeść, coraz mniej jej było na świecie. Przez kilka lat, które dzieliły ją od śmierci męża, choć nie chorowała, nie cierpiała, życie wypływało z niej powoli, kropla po kropki, aż do tej ostatniej, gdy zamknęła oczy, by zasnąć, jak co noc...

Stefania KOSSOWSKA

Książki

Dialog ponad przestrzenią

Korespondencję Marii Danilewiczowej ze Stanisławem Pigońem czyta się jak powieść w listach, bo też sytuacja narracyjna i postacie korespondentów są jakby z pogranicza rzeczywistości i fikcji. Nawet narrator, prawie wszystkowiedzący organizator i komentator, Czesław Kłak, mógłby być z powodzeniem postacią wymyśloną, ze świecą dziś bowiem szukać wydawcy, który z takim pietyzmem pochyla się nad tekstem*.

Dwóch historyków literatury, na przestrzeni dziesięciu lat (1958-1968) prowadzi korespondencję, której wątkiem przewodnim jest wymiana informacji niezbędnych w pracach edytorskich nad dziełami polskich klasyków i innych filologicznych zatrudnieniach (bibliotecznych, bibliograficznych, historyczno-literackich). Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego gdyby korespondencja ta nie toczyła się ponad przestrzenią przedzielną kordonem wrogim filologii i wolnej myśli.

Maria Danilewiczowa, kierowniczka Biblioteki Polskiej w Londynie, staje się *de facto* asystentką profesora Pigońa do specjalnych poruczeń, tj. wyszukiwania danych niedostępnych w Polsce, a niezbędnych dla wydawcy i badacza dzieł Mickiewicza, Krasieńskiego, Fredry, Żeromskiego i in. Ponadto regularnie przesyłane przez nią wycinki z prasy emigracyjnej, książki i pisma, choć nie zawsze dochodzą do adresata, pozwalają mu orientować się i uczestniczyć w życiu literackim i naukowym Emigracji. Maria Danilewiczowa służy też pośrednictwem w kontaktach z innymi pisarzami i naukowcami emigracyjnymi i zajmuje się drukiem tekstów Pigońa na Zachodzie.

Jestem wielce zobowiązany i głęboko wdzięczny – pisze Sta-

* Maria Danilewiczowa, Stanisław Pigoń. „Dialog korespondencyjny (1958-1968)”. Do druku przygotował, wstępem i komentarzem opatrzył Czesław Kłak. Wyd. Wyższej Szkoły Pedagogicznej, Rzeszów, 1996.

niśław Pigoń 18 maja 1961 r. – za tyle opiekuńczego trudu włożonego w losy mej pisaniny i za uzyskanie dla niej miejsca i za troskę o szatę słowną. Co się tyczy zmian wprowadzonych, jakże minimalnych, nie mam żadnych zastrzeżeń, przeprowadziła je Pani z kurtuazją, która dla nas tutaj jest z drugiej półkuli. Czekam teraz niecierpliwie na egzemplarz, może jako fragment numeru przejdzie przez Scyllę i Charybdę. Na ogół wycinki, tak łaskawie mi przesyłane, otrzymuję dość często. Osobne za nie dzięki (s. 212).

Profesor Pigoń z kolei wtajemnicza Marię Danilewiczową w przebieg swych prac, informuje o nowych książkach, dzieli troskami i radościami wydawcy i filologa. Na dary odpowiada darami, wśród których są i prawdziwie królewskie, jak „Formowanie drugiej części ‘Dziadów’”.

„Formowanie” to niebywała relacja – pisze w odpowiedzi Danilewiczowa, w jednym z ostatnich listów przed śmiercią profesora. – Podziwiam koronkową robotę filologiczną i to, co pisząc o „Formowaniu” określiłam jako pokorę uczonego wobec arcydzieła: ostrożne stąpanie, by nie przypisywać zbyt wiele, ten wspaniały umiar – a dlatego, że umiar tak podpierający dowodzenie (...). Tu trudno oddać, czym są dla nas takie przesyłki z Kraju. Jak to dobrze, że Pan Profesor żyje, pracuje, jest wśród nas, ponad przestrzenią i naszym tragicznym losem (s. 406).

Nie brak też wyrazów podziwu krakowskiego uczonego dla swej londyńskiej korespondentki: „Pani pracowitość i jej plony podziwiam. Każda pozycja to przecież kawał budulca odłamany od skały w najtrudniejszych warunkach (...) Pozycja z *Kultury*, gdy się ukaże, jest jak najbardziej upragniona. To ptactwo w nasze strony nie dolata” (s. 183).

Wymianę bio- i bibliograficznych informacji związanych z bieżącymi pracami obu uczonych urozmaicają epizody z życia środowiska emigracyjnego, relacje z wakacyjnych podróży Danilewiczowej, czasem plotki, jak ta przypisująca Pigionowi udział w zlikwidowaniu rzekomych dowodów na współpracę Mickiewicza z Ochraną. Nie brak również mniej lub bardziej zaszyfrowanych aluzji do cenzury, czy też nieliczących się ze względami ostrożności komentarzy pod jej adresem: „Rzecz ciekawą, lecz trudną do wierzenia podam”. Spotkał się filolog z książkami. O dziwo! przyszły wszystkie, mimo że je owąchano w drodze” (List z dn. 2 czerwca 1965 r., s. 381).

W roku 1962 zrodziła się w „polskim” Londynie myśl zafundowania Pigionowi wyjazdu do Londynu „na leczenie i spotkanie z uczniami i przyjaciółmi”. Cztery lata później, już jako sygnatariusz „Listu 34”, tak oto komentuje on starania, w których i Danilewiczowa bierze udział:

„Słyszę, że nosi się Pani z zamiarem by p. Countryman przesłać – jakby Mickiewicz powiedział – „równiankę”: z róż, lili i tymianka. Chciałbym przed tym przestrzec. Pan ów – to dziwak, mieszka w domostwie ogrodzonym przez wał 34-centymetrowy, bezwzględnie nieprzenikalny. Szkoda kwiatów, które zwiędną i zarzucone w mierzwie – pójdą na paszę. (s. 394.)

Kto by jednak szukał w tym dialogu korespondencyjnym więcej takich świadectw czy komentarzy na temat sytuacji politycznej w Kraju, rozczaruje się. Jest to bowiem dialog nie tylko ponad przestrzenią, ale i jakby ponad czasem terazniejszą historią. Czasem i przestrzenią tej korespondencji jest w głównej mierze czas i przestrzeń tekstów, którym ona służy. Chodzi tu przede wszystkim o ocalenie tekstów rozproszonych, ustalenie ich poprawnej wersji, dotarcie do źródeł, które mogą rozjaśnić ich powstanie czy też międzytekstowe związki. Choć skromna może się wydać ta przysługa, z filologicznego punktu widzenia nie ustępuje ona znaczeniu głębokich interpretacji, filozoficznych roztrząsań czy historyczno-literackich analiz. Lecz nie tylko o służenie poszczególnym tekstom w dialogu tym chodzi. Jest on także służeniem temu co w kulturze istnieje poza tekstami: poczuciu jej jedności i niepodzielności, a także jej związku ze wspólnotami innych kultur i języków. Dialog filologiczny Danilewiczowej z Pigionem to jedno z najbardziej niezwykłych, a zarazem jakże naturalnych świadectw jedności kultury polskiej w czasach jej zagrożenia.

Henryk SIEWIERSKI

Tłumacz prawdziwy

O TRANSLATORSKIEJ TWÓRCZOŚCI FLORIANA ŚMIEI

Stali czytelnicy *Kultury* znają Floriana Śmieję głównie jako wieloletniego komentatora przekładów z literatury hiszpańskiej. Od połowy lat pięćdziesiątych pod tytułem „Nowe przekłady z hiszpańskiego” publikował on najczęściej zbiorowe recenzje ukazujących się w Polsce tłumaczeń. *Kultura* drukowała także jego przekłady poezji arabsko-andaluzyjskich oraz wierszy Pabla Nerudy.

Nie sposób chyba zliczyć drobnych przekładów hiszpańskiej

i hispanoamerykańskiej poezji (m.in. Garcilaso de la Vega, Miguel de Unamuno, Rafael Alberti, Luis Cernuda, Carlos Bousoño, Blas de Otero oraz Miguel Angel Asturias, Jorge Luis Borges) i prozy (np. Miguel de Cervantes, Pío Baroja) publikowanych przez Śmieję początkowo w pismach emigracyjnych, potem krajowych oraz w wielu antologiach. Jego translatorskim debiutem był wiersz Federico Garcii Lorki zatytułowany „Księżyc”, drukowany w 1954 roku w londyńskim *Życiu*, po którym Śmieja ogłosił w pismach emigracyjnych i krajowych (*Wiadomościach*, *Merkuriuszu*, *Kontynentach*, *Tygodniku Powszechnym*, *Więzi* oraz w *Związku*) fragmenty prozy poetyckiej „Srebroń i ja” hiszpańskiego modernisty Juana Ramona Jimeneza. Utwór ten wydany w roku 1961 przez Oficynę Poetów i Malarzy był jednocześnie pierwszą publikacją książkową w przekładowym dorobku Śmiei. W latach późniejszych tłumacz kilkakrotnie powracał do tekstu „Srebroń”, podobnie jak do renesansowej powieści sentymentalnej „Abencerraje i piękna Haryfa”, wydanej po raz pierwszy przez Wydawnictwo Literackie w przekładzie Śmiei w roku 1965.

W 1972 r. PIW opublikował w tłumaczeniu Śmiei „Misję” autorstwa dwudziestowiecznego portugalskiego prozaika José Marii Fereira de Castro. W rok później w Wydawnictwie Literackim ukazał się „Gniew” Meksykanina Mariano Azuela, jedna z najważniejszych powieści latynoamerykańskich pierwszej połowy XX wieku. Książka należąca do nurtu tzw. *novela de la revolución mexicana* (powieść o rewolucji meksykańskiej), to naturalistyczna epopeja, opowiadająca dzieje jednego z oddziałów powstańczych, który podejmując początkowo szlachetną walkę o ideały społeczne, w konsekwencji stacza się w otchłań podłości i zbrodni.

W 1978 r. w tej samej krakowskiej oficynie ukazał się przekład „Czasu milczenia” Luisa Martina-Santosa. Ta fundamentalna powieść hiszpańska okresu powojennego łącząca różne gatunki literackie (proza poetycka, opowiadanie, esej, studium o malarstwie) obfituje w barokowe środki językowe i stylistyczne. Głosy licznych narratorów splatają się w wypowiedziami bohaterów, a dialogi przytaczają wyznania jednego tylko uczestnika rozmowy. Liczne neologizmy, rozmaite typy słownictwa naukowego, jak również eksperymenty syntaktyczne (sięganie do wzorów łacińskich) i interpunkcyjne (ironiczne użycie nawiasów i myślników) stanowiły dla tłumacza z pewnością poważne utrudnienie. W swej warstwie językowej „Czas milczenia” zawiera ponadto wiele innych pułapek, takich jak zapożyczenia z języków

obcych, użycie zwrotów rzadkich bądź archaicznych, odwołania do barokowych tradycji, w szczególności zaś do Gongory, od którego Martín-Santos przejął zapomniane już dziś metafory.

W 1988 r. w Toronto ukazał się w przekładzie Śmiei tom „Poezji arabsko-andaluzyjskich”, oryginalnej twórczości Arabów zamieszkujących w wiekach VIII-XV południową Hiszpanię, wznowiony w 1993 r. przez Centrum Kultury w Katowicach. Trzy lata temu Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego opublikowało ponownie w dwujęzycznej wersji i pod zmienionym tytułem książkę „Abencerrag. Historia Abindarraeza i pięknej Haryfy”. Ta anonimowa powieść sentymentalna jest dowodem rosnącego w XVI-wiecznej Hiszpanii zainteresowania prozą i wpływem, jaki włoscy *novellieri* – Boccaccio, Bandello, Giraldi – wywarli na jej rozwój. Wyidealizowaną i egzotyczną scenerią wzruszającej opowieści o rycerskiej miłości jest granica Andaluzji z Kastylią, gdzie toczyły się walki chrześcijan z wyznawcami Islamu. Losy Abindarraeza, szlachetnego Maura, były niezwykle popularne w renesansowej Europie i doczekały się wielu wersji, wśród których najśłynniejsza wyszła spod pióra Antonia de Villegas. Jego edycja będąca kompilacją liryki i prozy stała się podstawą wydania przygotowanego przez Śmieję.

W 1997 r. we Wrocławiu, w niewielkim, prywatnym wydawnictwie Waclawa Bagińskiego, ukazał się pierwszy przekład całości utworu „Srebroń i ja” Juana Ramona Jimeneza wraz z towarzyszącym mu tekstem oryginału. Autor uznawany w swym kraju za jedną z największych indywidualności poetyckich XX wieku (uhonorowany w 1956 r. literackim Noblem, którego konsekwencją były przekłady na większość cywilizowanych języków) nie miał szczęścia do naszych wydawców. W Polsce Jimenez do dziś nie doczekał się książkowego wyboru wierszy. „Srebroń i ja” to andaluzyjska elegia – przez samego autora określana jako książka dla dzieci – ale także poetycki zapis wzruszeń i impresji pisarza, wyrażanych często za pomocą subtelnej ironii i łagodnej kpiny, kierowanych do srebrzystego osiołka imieniem Platero, towarzysza jego wypraw po ulicach, podwórkach i ogrodach południowohiszpańskiego miasteczka Moguer. W opisach wspólnych spacerów odnajdujemy zmysłowe obrazy andaluzyjskiej prowincji, którym niekiedy towarzyszą elementy krytyki społecznej bądź doświadczenie brutalności otaczającego świata. Przekład tej prozy nie jest dla tłumacza zadaniem łatwym: liryczne neologizmy, bogactwo używanego w Andaluzji słownictwa, gwarowe brzmienie dialogów, wymagają językowej i składniowej doskonałości. Jako pierwszy trudności te usiłował

pokonać Józef Łobodowski drukując pięć rozdziałów książki w *Kulturze* z 1948 r. W kilka lat później zmierzył się z nimi Florian Śmieja, publikując pomiędzy 1956 i 1961 r. fragmenty „Srebronia” w pismach emigracyjnych oraz w *Tygodniku Pow-szechnym*. W roku 1961, w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy ukazał się pierwszy przekład książkowy w jego tłumaczeniu.

Drugi przekład Floriana Śmiei wydany w ubiegłym roku we Wrocławiu to „Zadumana” Jesusa Goytortúa, meksykańska powieść popularna z 1945 r., która na świecie doczekała się ekranizacji oraz tłumaczeń na angielski, włoski i francuski. „Mówiąc literatura popularna – pisał Śmieja w artykule poświęconym szczegółom pracy nad tym przekładem – mam na myśli chętnie czytane teksty prozatorskie napisane dla czytelnika szukającego przystępnej, atrakcyjnej, przygodowej, a niejednokrotnie romantycznej lektury. Taka książka nie musi też wcale rezygnować z rzetelnego warsztatu pisarskiego”.

„Zadumana” to wplątany w wydarzenia polityczne lat dwudziestych i trzydziestych romans, którego autor od początku do końca utrzymuje w obranej konwencji: książka obfituje w niezwykle wydarzenia i niespodziewane zwroty akcji rozgrywające się na tle górskich krajobrazów stanu Jalisco. Piękna, mądra i bogata Zadumana, w której nieszczęśliwie zakochuje się narrator książki, jest – jak okazuje się w zaskakującym finale – Panią Generał wojsk *cristeros*. Powieść Jesusa Goytortúa można potraktować właśnie jako epopeję tego niezwykłego powstania meksykańskich katolików, którzy z okrzykiem „Niech żyje Chrystus Król!” (stąd nazwa) wystąpili zbrojnie w latach 1926-29 oraz 1934-37 przeciw krwawym prześladowaniom i represyjnej polityce rządu, mającej na celu wykorzenienie Kościoła z porewolucyjnego społeczeństwa. Wydarzenia te stanowią po dziś dzień sporny i nieco wstydlivy problem w najnowszej historii kraju i może dlatego właśnie „Zadumana”, rzadki przykład powieści zajmującej się tym tematem, zasługuje na uwagę zwłaszcza polskich czytelników.

Zainteresowanie Śmiei hiszpańskojęzycznym teatrem (jest wybitnym specjalistą w dziedzinie teatru hiszpańskiego Złotego Wieku, autorem wielu opracowań i monografii) zaowocowało także tłumaczeniami kilku sztuk, wśród których na szczególną uwagę zasługują „Przedziwna szewcowa” Federica Garcii Lorki, opublikowana przez Oficynę Poetów i Malarzy i wystawiana w Londynie przez Pro Arte w latach 1967-68, oraz „Papierowe kwiaty” współczesnego dramaturga chilijskiego Egona Wolffa, grane w Teatrze Nowym w Łodzi w roku 1990. Śmieja przekła-

dał również utwory autorów polskich: hiszpańskie i kolumbijskie pisma publikowały jego tłumaczenia Herberta i Szymborskiej, zaś w 1985 r. w Meksyku ukazało się książkowe wydanie „Myśli nieuczesanych” Leca.

Na bogaty dorobek przekładowy Floriana Śmiei, podobnie jak na jego dokonania poetyckie, naukowe i dziennikarskie, zwracali uwagę uczestnicy sesji zorganizowanej przed dwoma laty z okazji siedemdziesiątych urodzin autora „Czuwania u drzwi”. Pokłosiem owego spotkania na wrocławskiej iberystyce jest opublikowany niedawno przez Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego najnowszy, szósty tom hispanistycznego pisma *Estudios Hispánicos* zatytułowany „Miscelánea en homenaje a Florian Ludwik Śmieja”. Trzy artykuły wstępne tego numeru to tekst Ewy Kulak o hispanistycznej i poetyckiej biografii Śmiei, referat Teresy Eminowicz podsumowujący wyniki badań profesora nad polsko-hiszpańskimi związkami literackimi oraz praca Justyny Ziarkowskiej, poświęcona jego działalności redakcyjnej w *Merkuriuszu* i *Kontynentach*. W piśmie odnaleźć można przekłady poezji Zbigniewa Herberta na hiszpański, które wyszły spod pióra jubilata, a także bibliografię hispanistycznych publikacji Floriana Śmiei (warto zaznaczyć tu, że jest on uczniem dwóch najwybitniejszych iberystów naszego stulecia E.M. Wilsona i A.A. Parkera), jakie ujrzały światło dzienne w naukowych pismach stulecia wielu krajów.

Justyna ZIARKOWSKA

Zakończenie sagi

W tym roku mija czterdzieści lat od książkowego debiutu Danuty Mostwin. Była nim powieść „Dom starej lady”, wydana przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie. Jej treścią były przeżycia Polaków, którzy po zakończeniu wojny nie widzieli możliwości powrotu do pojałtańskiej Polski. „Dom starej lady” stał się ogniwem siedmioczęściowej sagi o losach polskiej emigracji niepodległościowej po drugiej

wojnie światowej. Jej wspólne motto, zaczerpnięte z Walta Whitmana, brzmi w tłumaczeniu autorki:

*We wszystkich ludziach widzę siebie
Ani więcej, ani o ziarno jęczmienia mniej
I to co dobrego i złego mówię o sobie, o nich powiem.*

„Dom starej lady” nie jest pierwszą częścią cyklu. Autorka dopisywała przez lata poprzedzające ją i następujące po niej ogniwa, które ukazywały się w kraju i na emigracji w takiej tematycznej i problemowej kolejności: „Cień księdza Piotra” (1985), „Smaragdowa zjawa” (1988), „Tajemnica zwyciężonych” (1992), „Nie ma domu” (1996), „Dom starej lady” (1958), „Ameryko, Ameryko!” (1961).

Obecnie, po czterdziestu latach od rozpoczęcia tej sagi, ukazała się jej siódma i ostatnia część pt. „Słyszę jak śpiewa Ameryka”*, wydana, podobnie jak „Dom starej lady”, nakładem PFK w Londynie. Wszystkie poprzednie części cyklu, z których każda jest utworem samodzielnym (aczkolwiek ich odbiór jest głębszy i bogatszy, gdy można podczas lektury znaleźć odniesienia do części poprzednich) są utrzymane – ogólnie rzecz ujmując – w konwencji tradycyjnej powieści realistycznej, niekiedy (jak np. w „Tajemnicy zwyciężonych”) z próbami jej skomplikowania i urozmaicenia.

Ostatnia książka jest również utworem samodzielnym i także zawiera odesłania do tomów poprzednich. Nie jest ona powieścią, lecz zbiorem tekstów, pisanych w różnym czasie, o różnym przeznaczeniu, w rozmaitej konwencji i poetyce, połączonych ze sobą i z poprzednimi częściami cyklu wspólną, szeroko pojętą problematyką emigracyjną, dotyczącą wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych.

Tom otwiera, po „Słowie od autorki”, epicki esej historyczny pt. „Rzeka rzek” po „whitmanowsku” zakrojony, o powstawaniu Baltimore i Maryland, o lądowaniu na tej ziemi kolejnych fal przybyszów, o ich układaniu się z Indianami, a później o trudnym wchodzeniu we wcześniej osiadłe wspólnoty nowych przybyszów; o rozwoju miasta i o wpisywaniu się w jego organizm i historię najdzielniejszych spośród polskich emigrantów. Bez uciekania się do fabularnych konstrukcji powieściowych lub nowelistycznych, Danuta Mostwin zbliża się do nich w naszkicowanych portretach psy-

* Danuta Mostwin, „Słyszę jak śpiewa Ameryka”. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1998, str. 284.

chologicznych. Powściągliwości pióra towarzyszy zdolność obserwacji, wyostrowana przez wiedzę i doświadczenie zawodowe.

Wśród protretów znalazł się m.in. dr Zbigniew Lasowski. Był on lekarzem, związanym w początkach wojny ze Szpitalem Ujazdowskim w Warszawie, gdzie leczyli się ranni i chorzy żołnierze polskiego Września. W 1943 r. został aresztowany przez gestapo. W Mauthausen uratował od śmierci wielu współwięźniów. Po wojnie był lekarzem armii amerykańskiej we Francji i szczególną opieką otaczał tam polskich emigrantów. Na początku lat 70-tych osiadł w Stanach Zjednoczonych, gdzie spotkała się z nim autorka.

Lapidarnie i sugestywnie pokazany jest Stefan Mierzwa. W relacji autorki pojawia się już jako ponad 70-letni człowiek, którego droga z małej wsi pod Rzeszowem do godności profesora uniwersytetu Harvard i założyciela Fundacji Kościuszkowskiej wymagały niezwyklej siły ducha i dzielności.

Najświetniej chyba wykonanym obrazem jest portret Zofii Kozarynowej, wnuczki Tomasza Jeża, łączącej swym stuletnim i bogatym życiem, zasadami i dzielnością, zachowaną do ostatnich lat, najlepsze tradycje uchodźstwa XIX-wiecznego z najbardziej wartościowymi odłamami niepodległościowej emigracji polskiej naszego stulecia.

Bardzo poruszający jest „Pogrzeb kombatanta”. W lutym 1961 r. „jeden z pierwszych emigranckich pogrzebów”, pogrzeb matki Danuty Mostwin. Była ona pięknym przykładem przedsiębiorczej, dzielnej kobiety, która – podczas, gdy mąż był w wojsku na Zachodzie – w okupowanej Warszawie, w swym domu na Saskiej Kępie udzielała schronienia i pomocy przysyłanym z Londynu do kraju „cichociemnym”. Zapowiadali oni, że po wojnie wmurują w ścianę tego domu na ulicy Francuskiej pamiątkową tablicę: „Melina pod Parasolem”. Na dalekiej ziemi, w stanie Maryland, w Baltimore, na jej grobie jest napis: „Żołnierz AK, Opiekunka spadochroniarzy-kurierów Rządu Polskiego w Londynie”.

Są również w książce szkice do autoportretu autorki. Przypomina ona własne pierwsze kroki w odkrywaniu Ameryki przez siebie i dla siebie; uparte, broniące się przed degradacją społeczną wpisywanie się w amerykański krwioobieg społeczny; trudną wierność własnym aspiracjom i kontynuowanie nauki na wyższych uczelniach na przekór wszelkim trudnościom, napotykanym na swej drodze.

Można też spotkać w tej książce, jakby na prawach obszernego autocytatu, fragmenty z wcześniejszych tomów

autorki. „Lanczeneta przy Alei Północnej” to fragment powieści „Ameryko, Ameryko!”, obrazek z życia świeżo przybyłych emigrantów, zmuszonych do szukania źródeł zarobku i przeżywających na tym tle silne frustracje.

Drugi taki autocytat – to przedrukowane za tomu „Odkrywanie Ameryki” opowiadanie „Zegar z ułanem”. Było ono przyjęte z żywym zainteresowaniem, co mogło zachęcić autorkę do wprowadzenia go do zbioru „Słyszę jak śpiewa Ameryka”. Mogła być i głębsza tego przyczyna. Dotyka ono głębiej niezagojonej rany, sięgającej lubelskiego czasu z lat okupacji. Nie bez znaczenia jest również obecny w nim ślad nie najlepszych wspomnień z pierwszej po wojnie wizyty autorki w Polsce, związanych z obserwacją kraju, pozostającą w zastoju i zaniedbaniu.

Kto zetknął się z Polonią amerykańską, dawniejszą i powojenną, niepodległościową, ten wie do jakich spontanicznych porывów była zdolna, gdy odbierała z kraju sygnał wzywający pomocy w rzeczywistej potrzebie. Mówią o tym, w książce Danuty Mostwin, ciekawe diariuszowe „Notatki z amerykańskiej prowincji” i „Spotkanie w hotelu Myflower”. Odnoszą się one szczególnie do Solidarności po wprowadzeniu stanu wyjątkowego.

By użyć nadrealistycznego chwytu, jakim posłużyła się autorka w swej udratyzowanej „opowieści teatralnej”, można powiedzieć, że i w spotkaniach emigracyjnych, pełne najlepszej woli, entuzjazmu i ofiarności, włączały się „gargulce”, dostrzeżone przez uważną autorkę. Umiały się dobrze maskować i wyciągnąć z pięknej akcji korzyści dla siebie.

We wstępnym „Słowie od autorki” i w trzech tekstach, zamieszczonych na końcu książki, rozwinęła pisarka refleksje o własnym miejscu w duchowej przestrzeni między Polską i Ameryką, o swoim pisarstwie i jego uzasadnieniu, o różnicy między amerykańskim sposobem myślenia a polską, zwłaszcza polsko-emigracyjną mentalnością.

W swym słowie wstępnym Danuta Mostwin próbuje przedstawić w skrócie, na czym polega zdobycz emigranta, przejęta przez niego w kontakcie z Ameryką i dłuższym w niej pobycie. Na tę zdobycz składają się – jak pisze – „umiejętności nieskomplikowane, prawdy proste”. Sprowadza je do czterech punktów. Pierwsza – to pokora wobec misterium, jakim jest człowiek. Druga polega na dostrzeganiu indywidualności człowieka, jego jedyności i wyjątkowości i stawiania jej na pierwszym planie, przed grupą, przed wspólnotą, przed

społeczeństwem. Trzecia jest odkryciem, jednocześnie zachwytem i przerażeniem, że konflikty i przeżycia ludzkie na miarę greckich tragedii rozgrywają się wszędzie, także wśród wychodźczej biedoty, w emigracyjnych gettach, w murzynskich slumsach: nienawiść, miłość, ból, zawiedziona nadzieja, zbrodnia. Czwarta – to *wholeness*, widzenie człowieka we współzależności rzeczy i zdarzeń. „Jesteśmy częścią kosmosu, a kosmos jest w każdym z nas”.

Do tych uniwersaliów Danuta Mostwin dodaje jeszcze szczególne wartości, niezbędne dla polskiego emigranta w Stanach Zjednoczonych. Na pierwszym miejscu stawia język polski jako łącznik z pamięcią świata rodzinnego, chociażby było to niepełne, ułomne nim władanie, albo nawet tylko wrażliwość na jego dźwięk. I związek z kulturą polską, pamięć rodziców, dziedzictwa, które przejęło się od przodków i wyszło w świat. To są wspomnienia, wzruszenia dające o sobie znać nawet gdy już zapomni się języka.

Z napięcia między zafascynowaniem Ameryką i zakorzenieniem w polskim dziedzictwie wyrosła książka „Słyszę, jak śpiewa Ameryka”, podobnie zresztą jak prawie cała twórczość literacka Danuty Mostwin, a także rozwijana przez nią i popularyzowana „trzecia wartość”, która nie spełnia się w jednorazowym akcie, lecz jest nieustannym procesem, trudnym dążeniem i drogą do odnalezienia harmonii wśród dylematów, rozterek, wyrzutów sumienia i duchowych buntów polskiego emigranta w Stanach Zjednoczonych.

Uwaga należy się okładce książki, projektu Tadeusza Filipowicza. Na ciemnogrnatowym tle pokazano jest białoczerwony kontur Stanów Zjednoczonych. Nieczęsto zdarza się tak trafna okładka, która w tym wypadku przekazuje czytelnikowi informację, że jest w niej mowa przede wszystkim o polskiej Ameryce, o Ameryce polonijnej, o polskich środowiskach emigracyjnych w tym kraju i polskich działaczach.

Marian STĘPIEŃ

„Kozuchy w chmurach” czyli smakowanie sztuki

Artysta malarz Stanisław Frenkiel, najciekawszy chyba wśród żyjących w Londynie polskich twórców starej daty, nadal maluje w zaciszu swej pracowni na Wimbledonie, ale jego żywiołowa energia, pasja i miłość sztuki i życia przez lata znajdowały swój wyraz na innym jeszcze polu, w krytyce artystycznej. W końcu lat pięćdziesiątych artysta podjął się pisania o sztuce i aktualnych wystawach do londyńskich pism emigracyjnych i dla polskiej sekcji BBC. Wybór tych tekstów krytycznych z lat 1959-1992 (stanowiący około czterdziestu procent całej jego pisarskiej twórczości) opatrzony malowniczym tytułem „Kozuchy w chmurach i inne eseje o sztuce” ukazał się wiosną tego roku – jako szósty tom „Archiwum Emigracji”, wydawnictwa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

„Kozuchy w chmurach”, poprzedzone wstępem Jarosława Koźmińskiego o ich autorze z dodatkiem dwudziestu paru czarno-białych ilustracji, uporządkowane zostały tematycznie. Znajdziemy tu rozważania o kiczu i o cenzurze w sztuce, spaceru po Neapolu i apel o nową treść w sztuce nowoczesnej obok recenzji z wystaw tak różnych jak abstrakcyjne dzieła Malewicza, satyryczna twórczość Hogartha, Rembrandt, Bacon i wzniosłość Turnera obok australijskiego malarstwa lat czterdziestych. Wprowadzenie stanowią dwa osobiste eseje: o uprawianym przez autora malarstwie i o krytyce. Pozostałe pięćdziesiąt osiem tekstów podzielono na obszerniejsze eseje o ogólnej problematyce kulturalnej, niekiedy wychodzące poza sztuki plastyczne i teksty dotyczące bieżących oglądanych przez Frenkla wystaw; wreszcie w ostatniej części zamieszczone są teksty o polskich artystach i galeriach w Wielkiej Brytanii.

W rozpoczynających książkę, tytułowych „Kozuchach w chmurach”, Frenkiel mówi o swym zafascynowaniu komedią ludzkiego życia, jej scenerii, póż i kostiumów, o ryzykownym i „niemodnym” wyborze sztuki figuratywnej i swym sceptycyzmie wobec abstrakcji i malarstwa czystej materii (ten modny w latach 50-tych kierunek nazywa „towaroznawstwem”). Opowiada się za sztuką przedstawiającą, stawia na ekspresję, zaangażowanie i subiektywizm. Skupiony na człowieku, śledzi go w maskach i przebraniach, a niechęć do malarskiej abstrakcji jest bardziej

ogólną postawą sceptycyzmu wobec wszelkiego uogólnienia, formuły, zimnej abstrakcji intelektualnej idei. Przedkłada nad nią dotykalny konkret, unikalność każdego życia, momentu i osoby.

Pisząc o krytyce artystycznej, utyskując na nią, ale i podkreślając jej potrzebę, autor, jak zawsze niechętny sztywnym formułom i normom, uznaje to pisarstwo za domenę literatury pięknej, a krytyka za pisarza-artystę. Przy okazji wyraża też pewien niepokój wobec artystów piszących o własnej i cudzej sztuce (a więc i własnej sytuacji) – „ponieważ w wypowiedziach swych *implicite* argumentują na korzyść swojej twórczości”. Jest w tym oczywiście wiele prawdy. Frenkiel, malarz groteski ludzkich ciał i charakterów, lubujący się w erotycznych sytuacjach i aluzjach, nie obawia się w swych esejach pisać o własnych upodobaniach i niechęciach. Jego barokowy smak jest uczcą języka. Z pasją ściga purytańskie skłonności świętoszków sztuki, zachwalając przy każdej okazji mięsistą i zmysłową sztukę, która komentuje życie w całym bogactwie jego kolorów.

Czytając wystawowe recenzje, czuje się pasję i entuzjazm z jakimi pisze o malarzach takich jak Goya, Ensor, Rouault, Delacroix czy Dix lub gdy obwieszcza „Odrodzenie ekspresjonizmu”. Nieukrywany sceptycyzm rezerwuje dla artystów duchowo sobie odległych, zimnych twórców jak angielscy prerafałeci, brytyjski pop-artysta Richard Hamilton czy cała tradycja awangardy, którą analizuje w dłuższym tekście „Krytyka krytyki”.

Zamieszczone w zbiorze teksty o polskich artystach, wystawach i galeriach, choć nieuchronnie wycinkowe, są ważnym dokumentem. Przypominają o tej części tworzony w Londynie polskiej kultury, domenie tradycyjnie, jak zauważa sam Frenkiel, spychanej na plan dalszy i zapomnianej zwłaszcza, gdy porównać to z uwagą poświęcaną tworzonej na obczyźnie literaturze. Wiele apeli Frenkla, jego narzekań i konstruktywnych idei, nadal pozostaje aktualnymi – czy będzie to propozycja stworzenia dysponującej rocznym funduszem komisji artystycznej, która poprzez zakupy mogłaby przyczynić się do popierania polskich artystów czy troska malarza o zachowanie spuścizny tych, którzy z każdym rokiem odchodzą, czy wreszcie niepokój o przeciętny poziom plastycznego wyrobienia emigracyjnej publiczności.

Na zakończenie jeszcze drobna uwaga o pospiesznej korekcie tomu, tym bardziej przykrej, kiedy jak w wypadku przeinaczenia nazwiska malarza Andrzeja Kuhna na Andrzeja Kukua (str. 195 – „Polskie malarstwo i rzeźba w Wielkiej Brytanii”) ten interesujący malarz całkowicie znika z tego ważnego całościowego referatu.

Andrzej Maria BORKOWSKI

„Wypominki” do wypomnienia

Pani Joanna Siedlecka pisze w swojej książce „Wypominki” (wyd. w 1996 r. przez ABC-Futura) następująco o sławnym już Konstantym Jeleńskim w rozdziale pod pieśczośliwym tytułem „Kocik” (str. 136-144): „Miał też guwernantki od francuskiego, angielskiego, uczył się u Batorego a potem w jeszcze bardziej ekskluzywnej, liczącej się Rydzynie – liceum z internatem, wzorowanym na angielskim Eton, gdzie chesne wynosiło 3 tys. zł rocznie, a uczniami byli chłopcy z najlepszych i najbogatszych domów, między innymi Józio Zwiśłocki – wnuk prezydenta Mościckiego... i w ogóle sami Lubomirscy (był rzeczywiście jeden – Rafał, obecnie w USA – dop. ZTW), Platerowie i tym podobni” (s. 141). A dalej: „Niechętni mu tłumaczyli jego sukcesy i stosunki homoseksualizmem oraz dobrym pochodzeniem. To rzeczywiście było ważne, ale liczyły się też (podkr. – ZTW) jego zalety osobiste, inteligencja, przenikliwość, humor i wdzięk...” (s. 157).

Nic nie mogę powiedzieć o rzekomym homoseksualizmie K.J., bo w Rydzynie nikt go o to nie posądzał. A żyliśmy przecież wszyscy blisko ze sobą, w jednym Zamku, wiedząc o sobie prawie wszystko.

Niestety, w Polsce ktoś, kto się wybija ponad przeciętność, jest zazwyczaj posądzany albo o pochodzenie żydowskie, albo o homoseksualizm, względnie (w najlepszym razie) o przynależność do masonerii. Rzadko przypisuje się jego powodzenie zaletom osobistym, zdolnościom czy pracowitości. Szanowna Autorka również nie przypisuje decydującej roli tym cechom, skoro pisze, że „liczyły się też” inne zalety Jeleńskiego... By wzmocnić wywód Szanownej Autorki dodam, iż byli wśród uczniów – kolegów Jeleńskiego – również synowie znanych rodzin ziemiańskich z Wielkopolski i Pomorza (np. Ponikiewscy, Marigne, Donimirscy) oraz z Kresów (np. bracia Czarnowscy z Nowogródzczyzny – cała rodzina wymordowana w okresie II wojny przez „partyzantów” sowieckich), czy też synowie kilku generałów WP, ba, nawet paru cudzoziemców (np. Marek do Monfort, obecnie adwokat w Paryżu, do dzisiaj wspominający z sentymentem Rydzyne).

Lecz może powinna Autorka do tej „arystokracji” dodać i tych niezamożnych czy nawet biednych uczniów, synów drobnych rolników, rzemieślników, funkcjonariuszy i urzędników państwowych, którzy nic lub niewiele płacili za naukę i utrzymanie, a stanowili w pierwszych latach istnienia szkoły (do kryzysu rolnego) ok. 60% uczniów, zgodnie z zapisem fundatora ks. Augusta Sułkowskiego, który zapisał swe dobra ziemskie Komisji Edukacji Narodowej (1783 r.) dla kształcenia zdolnej lecz niezamożnej młodzieży szlacheckiej. A gdy w II RP kryzys się kończył i rolnicza Fundacja im. Sułkowskich zwiększyła swe roczne dotacje na Szkołę, jej założyciel i dyrektor Tadeusz Łopuszański zaczął znowu przyjmować niezamożną, a mającą dobre zadatki moralne młodzież do swego, jakoby „elitarnego” zakładu wychowawczego. Swoistym symbolem tego nowego okresu może być uczeń Bazyli Krawczyński, prawosławny, z ubogiej wsi poleskiej, której powszechną szkołą opiekował się samorząd uczniowski Szkoły Rydzyńskiej. Ten chłopiec po raz pierwszy w życiu jechał pociągiem do Rydzyny i tu dopiero poznał podstawowe urządzenia cywilizacyjne. A przecież te informacje nietrudno było uzyskać podczas zbierania informacji o K. Jeleńskim, choćby u niżej podpisanego, który miał zaszczyt przyjąć Autorkę u siebie. Bądź sięgnąć do książki Tadeusza Łopuszańskiego pt. „Rydzyńska Gimnazjum im. Sułkowskich” (1937). O tym dziele pedagogicznym, jakich niewiele mamy w Polsce, wyraził się prof. Kazimierz Bartel ze Lwowa w swym liście do jego Autora: „treści tej książki powinien nauczyć się na pamięć każdy wizytator szkolny”.

Zbigniew T. WIERZBICKI
absolwent szkoły średniej w Rydzynie

P.S. I jeszcze jeden kamyczek do ogródka Sz. Autorki: podpis pod zdjęciem szkolnym K. Jeleńskiego jest błędny, gdyż nie przedstawia on K.J. jako ucznia „Batorego” lecz ucznia Rydzyny, o czym świadczy odznaka Szkoły Rydzyńskiej w klapie marynarki mundurka uczniowskiego (na zdjęciu również rydzyńskiego).

Polemiki

O Polakach w Niemczech

Nawiązuję do przesłanego mi przez Pana artykułu Zenona Tarnowskiego pt. „Gorzki bilans. Polacy w Niemczech”. Sądzę, że autor ma sporo racji przede wszystkim w kwestii krytyki złego wynegocjowania przez polskich przedstawicieli Traktatu Polsko-Niemieckiego w zakresie zapewnienia realizacji praw i udogodnień dla mniejszości polskiej w Niemczech. Opiszę to na konkretnym przykładzie.

Otóż tłumaczeniem niektórych przedstawicieli władz federalnych konfrontowanych przykładowo z żądaniami, by wspomagały tworzenie placówek nauczania języka polskiego, wysuwanymi przez przedstawicieli poszczególnych organizacji polonijnych w Niemczech, jest wskazywanie na wyłączne kompetencje landów w zakresie szkolnictwa. Inaczej mówiąc, rząd RFN Układ podpisał, ale – nawet gdyby chciał – nie może w zasadzie zmusić władz poszczególnych landów do spełnienia jego postanowień, od których dobrej woli zależy zakładanie placówek nauczania języka polskiego. Błąd polskich negocjatorów polega na tym, że nie uwzględnili tego przy formułowaniu swych oczekiwań i żądań i nie zobowiązali władz federalnych do wypracowania mechanizmów dla realizacji w praktyce postanowień traktatowych na tym obszarze.

Nie chcę powiedzieć, że z tego powodu – w sposób niejako automatyczny – jest z tym wszędzie źle, gdyż np. w Berlinie, gdzie istnieje Towarzystwo Oświata (wspomagane przez Senat Berlina) prowadzące naukę języka polskiego, w pomieszczeniach klasowych pięciu szkół berlińskich i gdzie w jednej czy nawet już w dwóch szkołach średnich wprowadzono język polski jako język obcy do wyboru, a ponadto istnieją dwa polsko-niemieckie przedszkola, sytuacja nie jest najgorsza. Począwszy od tego roku działa tu także tzw. „Gimnazjum europejskie” z językiem polskim jako drugim językiem wy-

kładowym obok niemieckiego (na podobieństwo tego rodzaju szkół z językiem angielskim czy francuskim), a problem jedynie w tym, że brakuje wystarczającej liczby chętnych dzieci do drugiej klasy zerowej.

Natomiast, jak przynajmniej wynika z wypowiedzi niektórych działaczy polonijnych, np. w Hesji, tamtejsze władze nie wykazują zbyt wielkiego zrozumienia dla tego rodzaju potrzeb, a jak wspominałem, rząd federalny zmusić ich do tego nie może – tak przynajmniej stwierdził w czasie rozmowy na ten temat radca ministerialny Focki. To tylko jeden z przykładów niestaranności i lub też nieświadomości polskich negocjatorów, wykazanej podczas rokowań na temat sytuacji mniejszości w obu krajach. Przyznała mi to zresztą w zeszłym roku, podczas rozmowy na ten temat w Opolu, senator Dorota Simonides, która stwierdziła, że sprawy te przez stronę polską „nie zostały dostatecznie wzięte pod uwagę, a teraz usiłuje się to jakoś naprawić”. Problem w tym, że zapewne nikt nie będzie jeszcze raz negocjował Traktatu, a zawarte w nim zapisy dotyczące Polonii w Niemczech mogą być jedynie uzupełniane o bilateralne uzgodnienia pozatraktatowe.

We wspomnianym artykule autor powraca też do stałego problemu Polonii w Niemczech, tj. do jej rozdrobnienia organizacyjnego, przy braku jednego przedstawicielstwa na poziomie federalnym. Przyczyn tego stanu rzeczy dopatruje się w „rozbijackiej polityce” niektórych organizacji i działaczy polonijnych czy też władz niemieckich. Wspominałem już o tym w artykule pt. „Dialog na temat Polonii w Niemczech” zamieszczonym w *Kulturze* i muszę przyznać, że od tego czasu nic się nie zmieniło. Nadal istnieją dwa konkurencyjne obozy, których przedstawiciele zamiast się porozumieć nie szczerzą sobie nawzajem krytyki. Pomijam tu sprawę poszczególnych racji i argumentów obu stron i nie bronię ani nie usprawiedliwiam żadnej z nich. Natomiast jestem mocno o tym przekonany, iż to nie jakiś „spisek niemiecki” albo „nacisk Ambasady Polskiej” uniemożliwia ich porozumienie, tylko rywalizacja o prymat i związane z tym piastowanie stanowisk.

Nieco podobną sytuację w mniejszej skali można obserwować także w Berlinie, z tą różnicą, że rywalizacja między tutejszymi organizacjami jest już właściwie bardzo mała, gdyż zdefiniowały one w większości swe pola działania i nie wchodzą sobie w drogę, a ich różne oferty i pola działania nawet się niekiedy pozytywnie uzupełniają. Natomiast także one nadal nie posiadają jednego stałego przedstawicielstwa oprócz tzw. Polskiej Rady Konsultacyjnej, która ma stanowić

platformę dialogu tych organizacji, choć tak naprawdę istnieje tylko na papierze. Ich liderzy, jeżeli w ogóle, spotykają się, najczęściej w sposób przypadkowy, na oficjalnych imprezach w Przedstawicielstwie Ambasady Polskiej w Berlinie.

Z problemem rozbitcia organizacyjnego Polacy w Niemczech nie potrafili się zresztą uporać jeszcze przed wojną, co stwierdziłem, badając ten problem podczas zbierania materiału do broszury pt. „Polski Berlin” i – pozwolę sobie zacytować – opisałem w sposób następujący:

„Podobnie jak 100 lat później, także pod koniec 19 wieku wiele osób starało się doprowadzić do zmniejszenia liczby organizacji polskich i zjednoczenia ich w większych zrzeszeniach i wspólnych przedstawicielstwach. Udało im się to tylko w niewielkim stopniu. Jednym z przykładów takich działań było powołane do życia w roku 1865 Zrzeszenie pod Patronatem Najświętszej Matki Częstochowskiej”. Inna z takich prób zaowocowała w roku 1893 utworzeniem zainicjowanego przez Towarzystwo Przemysłowców Polskich w Berlinie ‘Komitetu polskich stowarzyszeń w Berlinie i okolicy’. Ponieważ tylko nieliczni przedstawiciele innych organizacji wzięli w tym udział, nie można było podjąć wiążących decyzji i realizować wspólnych projektów”.

I ostatnia ważna sprawa poruszana przez Zenona Tarnowskiego to kwestia polskich mass mediów. Nie chciałbym ponownie wnikać w kwestie Układu Niemiecko-Polskiego i stosunku poszczególnych władz landowych do polskich czasopism, wydawnictw czy też rozgłośni. Pragnę tylko wskazać na fakt, że w Berlinie ukazują się w miarę regularnie kilka czasopism, począwszy od informacyjnego *Kuriera Berlińskiego*, który ukazuje się raz na miesiąc w szacie graficznej gazety codziennej, po kwartalnik miejscowego KIK-u pt. *Słowo*, nieregularny kwartalnik literacki *Wir*, wydawany przez grupę literacką o tej samej nazwie, czasopismo młodych autorów pt. *Kolano*, czy też magazyn reklamowy *Kontakty*. Są też czasopisma (biuletyny) kilku organizacji polsko-niemieckich. Wszystkie one zostały założone przez ludzi, którzy nie czekali na pomoc rządu niemieckiego czy polskiego, tylko odczuwając potrzebę, zaczęli wydawać swe pisma, starając się pozyskiwać różnych sponsorów. Nie znaczy to oczywiście, że taka pomoc by im się nie przydała, ale zrzucanie wszystkiego tylko na brak pieniędzy i brak pomocy ze strony władz niemieckich czy polskich w tym względzie też nie oddaje całej prawdy.

Andrzej STACH

POLSKA – WSCHODNI SĄSIEDZI

16.6.98
W Klubie Księgarza w Warszawie odbyła się prezentacja „Niby dziennika” Zygmunta Mycielskiego, wydanego przez „Iskry”.

26.7.98
Zmarła w Warszawie w wieku 86 lat prof. Janina Kulczycka-Saloni, historyk literatury polskiej i badaczka epoki pozytywizmu.

7.8.98
Zmarła w Warszawie w wieku 64 lat Urszula Czartoryska, wybitny historyk i krytyk sztuki XX wieku, od szeregu lat współpracująca z Muzeum Sztuki w Łodzi.

1.9.98
Wydawnictwo Literackie w Krakowie oraz redakcja „Znak” przygotowują edycję „Dzieł zebranych” Czesława Miłozza. Całość jest obliczona na ok. 30 tomów.

6.9.98
Zmarł w Warszawie w wieku 59 lat Robert Bielecki – dziennikarz i historyk, długoletni korespondent Polskiej Agencji Prasowej w Paryżu, autor wielu książek poświęconych Francji i dziejom Wielkiej Emigracji.

28.9.98
Na III Zjeździe Europejskiej Rady Wspólnot Polonijnych, który odbył się w Domu Polonii w Pułtusku, wybrano nowego prezesa, p. Zygmunta Szkopiaka, b. prezesa Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. ERWP planuje otwarcie biura Polonii w Brukseli, które ma zająć się problemami Polaków mieszkających w państwach Unii Europejskiej. Domaga się ponadto uruchomienia stałego sekretariatu w Warszawie oraz powołania do życia Fundacji kardynała Stefana Wyszyńskiego. ■ Tadeusz Różewicz, poeta, dramatopisarz i prozaik otrzymał nagrodę im. Jana Parandowskiego za całokształt twórczości.

29.9.98
W Grodnie odbyła się konsekracja biskupia ks. Antoniego Dzieńmienki. W uroczystości wzięło udział wielu hierarchów z Polski, Niemiec, Rosji i Austrii. Był również białoruski minister d/s wyznaniowych. Ks. bp Antoni Dzieńmienka jest trzecim biskupem na Białorusi. Będzie biskupem pomocniczym diecezji grodzieńskiej. Przez wiele lat był proboszczem parafii w Nowogródku.

8.10.98

W Głębokiem koło Mińska została odsłonięta tablica poświęcona setnej rocznicy urodzin znanego pisarza Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Uroczystość została przygotowana przez władze miasta Głębokie, a fundatorem tablicy było Stowarzyszenie Ochrony Walki i Męczeństwa Warszawy. ■ W kościele św. Szymona i Heleny w Mińsku została otwarta biblioteka im. Adama Mickiewicza. Na otwarciu obecni byli przedstawiciele władz państwowych i miasta.

15.10.98

Zakład Literatury Współczesnej oraz Zakład Filologii Ukraińskiej Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie zorganizowały konferencję na temat: „Józef Łobodowski – rzecznik dialogu polsko-ukraińskiego”. ■ Prawosławnym ordynariuszem połowym WP został biskup Miron (Mirosław Chodakowski). Zastąpił abp. Sawę, który zrezygnował z tego stanowiska w związku z wyborem na metropolitę warszawskiego i polskiego. Biskup Miron ma 41 lat, w latach 1979-84 był namiestnikiem klasztoru św. Onufrego w Jabłecznej, później proboszczem w parafii zakonnej w Supraślu. W maju otrzymał święcenia biskupie i tytuł biskupa hajnowskiego.

23.10.98

Instytut Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie zorganizował międzynarodową konferencję „Granice i przemiany ‘przestrzeni narodowej’ w historii Europy Środkowo-Wschodniej”.

20.11.98

W Poznaniu staraniem Instytutu Zachodniego i Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej odbyła się międzynarodowa konferencja „Francja-Niemcy-Polska-Ukraina wobec wyzwań europejskich”. Na konferencji były trzy komisje zajmujące się następującymi tematami: 1. Suwerenność narodowa a integracja europejska, 2. Europejskie pogranicza, 3. Ukraina a nowy układ sił w Europie (poszerzenie Unii Europejskiej i NATO).

ZACHÓD

1.9.98

Wybitny historyk ukraiński, Wołodimir Kosik, stale zamieszkały w Paryżu, został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Ordre des Arts et des Lettres. ■ Po przejściu na emeryturę Karla Dedeciusa, nowym dyrektorem Niemieckiego Instytutu Polskiego w Darmstadt został politolog Dieter Bingen. Instytut zmieni swój profil, rezygnując częściowo z literatury pięknej na rzecz problematyki gospodarczej i społecznej oraz aspektów polsko-niemiecko-francuskich. W przyszłym roku mają być dokończone dwie serie wydawnicze: „Biblioteka Polska” i „Panorama literatury polskiej XX wieku”.

20.9.98

Edmund Neustein, księgarz i antykwariusz z Tel-Awiwu otrzymał wyróżnienie Księgarskiego IKARA'98, przyznanego mu w czasie Krajowych Targów Książki w Warszawie.

29.9.98

W Instytucie Polskim w Paryżu odbyło się spotkanie z Mariuszem Wilkiem z okazji ukazania się jego książki „Wilczy notes” w wydawnictwie słowo/obraz terytoria w Gdańsku.

1.10.98

W Connoisseurs' Gallery miał miejsce wernisaż obrazów i rysunków Grzegorza Jakubowskiego-B. de Weydenthala.

4.10.98

Zmarł w Warszawie w wieku 89 lat Tadeusz Wittlin, pisarz, publicysta. Przed wojną współredaktor *Cyrulika Warszawskiego*.

6.10.98

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu minister edukacji narodowej, prof. Mirosław Handke wygłosił odczyt „O problemach i zmianach w szkolnictwie wyższym w Polsce”.

9.10.98

W Księgarni Dobosz w Paryżu odbyła się prezentacja książki Philippe'a Samsona „Les Potocki de leurs origines à la fin de l'âge d'or polonais”.

10.10.98

W Bibliotece Emile Littre w Mesnil-le-Roi miał miejsce wernisaż wystawy poświęconej Xe Anniversaire de la Bibliothèque „Les écrivains mesnilois”. Na wystawie był przedstawiony również dorobek Instytutu Literackiego, którego siedziba mieści się właśnie w Mesnil-le-Roi.

13.10.98

Staraniem Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór w Instytucie Polskim poświęcony 20-leciu pontyfikatu Jana Pawła II. Wzięli w nim udział: ks. arcybiskup Józef Zyciński z Lublina, René Remond z Akademii Francuskiej oraz reżyser Krzysztof Zanussi. Animatorem wieczoru był Jean Offredo, redaktor telewizji francuskiej.

14.10.98

Zmarła w Londynie, w wieku 88 lat, Aniela Maria Raczyńska (*primo voto* Mieczysławska).

15.10.98

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Rostislav G. Zhbakov wygłosił odczyt o rozwoju nauki na Białorusi.

20.10.98

W Instytucie Polskim w Paryżu miał miejsce wieczór literacki Krzysztofa Jeżewskiego „La musique est préfiguration”.

26.10.98

W Centre de Civilisation Polonaise na Sorbonie w Paryżu miał miejsce odczyt p. Marty Wyki, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, pt. „Le contexte européen de la littérature polonaise du XXe siècle”.

3.11.98

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu, p. Piotr Skubiszewski, profesor w Centre d'Etudes Supérieures de Civilisation Médiévale uniwersytetu w Poitiers wygłosił odczyt „Grób Philippo Buanaccorsi w Krakowie” działacza politycznego, który zmarł ok. 1500 roku. Poprzednio, 27-go października, p. Marta Wyka wygłosiła odczyt pt. „Mickiewicz czytany przez Miłosza”.

19.11.98

Staraniem Towarzystwa AAA „Arche” 19 listopada o godz. 20.30 odbędzie się *Table Ronde* na temat „Korczak, rénovateur de la pédagogie et témoin du ghetto” w lokalu Towarzystwa: Espace Rachi, 39, rue Broca 75005 Paris. W *Table Ronde* weźmie udział m.in. Zofia Bobowicz, tłumaczka książek Janusza Korczaka na język francuski. Zgłoszenia przyjmuje sekretariat l'Arche, tel. 01.42.17.10.27, fax: 01.42.17.10.31.

Kronika australijska

W Australii odbyły się federalne wybory: zwyciężyła rządząca koalicja, w skład której wchodzi Partia Liberalna (odpowiednik brytyjskiej Partii Konserwatywnej) i Partia Narodowa (stronnictwo farmerów). Przegrała Australijska Partia Pracy. W kampanii wyborczej dominowały przede wszystkim problemy ekonomiczne. Koalicja wysuwała na pierwsze miejsce reformę podatkową, przez wprowadzenie podatku od towarów i usług. Podatek ten, jako VAT (Value Addex Tax), istnieje już w wielu państwach. Australijska Partia Pracy natomiast, w swojej kampanii wyborczej bardzo ostro kryty-

kowała podatek od towarów i usług i na pierwszy plan wystawiła konieczność obniżenia poziomu bezrobocia do pięciu procent, a które obecnie wynosi osiem procent. W Australii jest westminsterski system rządów, wzorowany na brytyjskim modelu oraz struktura federalna wzorowana na Stanach Zjednoczonych, która rozdziela uprawnienia na stanowe rządy oraz federalną Izbę Reprezentantów i Senat. W systemie westminsterskim premier i ministrowie powoływani są spośród członków parlamentu. Obie główne partie polityczne: Partia Liberalna i Australijska Partia Pracy nie mają obecnie większych różnic i sprzeczności w swoich założeniach ideologicznych i programach. Są bardzo zbliżone do politycznego centrum i obejmują szerszy przekrój elektoratu. Partia Liberalna nie reprezentuje już jak dawniej przede wszystkim biznesu a Australijska Partia Pracy – klasy robotniczej. W głosowaniu zwracano głównie uwagę nie na ogólne programy partii politycznych ale na to, czy ma być wprowadzona reforma podatkowa. ■ Duży kryzys ekonomiczny w Azji, z którą Australia ma bardzo bliskie handlowe powiązania, nie wpłynął do końca roku 1998 na większe osłabienie australijskiej gospodarki. Kryzys ekonomiczny w Azji powstał głównie w wyniku działalności banków, które udzielały pożyczek w wielkich sumach, bez wystarczającego zabezpieczenia, w okresie rozkwitu gospodarczego. W roku 1996 do państw azjatyckich napływał kapitał w skali rocznej w wysokości około stu miliardów dolarów, a w drugiej połowie roku 1997 w takiej samej wysokości ten kapitał był wycofywany, co spowodowało poważny kryzys i stagnację gospodarczą w tym rejonie. ■ Na wielkim obszarze Australii, obejmującym siedem milionów siedemset tysięcy kilometrów kwadratowych, zamieszkuje ludność licząca obecnie osiemnaście i pół miliona, w tym około jeden procent tubylców – aborygenów. W Australii w użyciu jest ponad sto trzydzieści języków i po angielskim następnymi miejscami zajmują włoski i grecki. ■ Profesor Jerzy Zubrzycki, najbardziej znana w Australii i poważana osoba z australijskiej Polonii, otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Został mu przyznany za jego dorobek naukowy. ■ Michał Filek, redaktor *Tygodnika Polskiego*, wydawanego w Melbourne, złożył rezygnację z funkcji redaktora tego pisma. W opublikowanym oświadczeniu podał powody swojej rezygnacji, między innymi, że „po pierwsze, realizowana przeze mnie linia pisma i jego koncepcja nie jest w pełni zgodna z

oczekiwaniami większości zarządu Stowarzyszenia” (Stowarzyszenie im. T. Kościuszki jest wydawcą *Tygodnika Polskiego*). W okresie prawie siedmiu lat redagowania przez Michała Filka, na łamach *Tygodnika Polskiego* ukazywało się dużo tekstów o tematyce krajowej, głównie z prasy pravicowej w Polsce. Nowym redaktorem został Zdzisław Derwiński, 42 lata, ukończył studia historyczne na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego i doktoranckie w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. W Australii przebywa od roku 1987. Przed nowym redaktorem stoją trudne zadania, przede wszystkim wyprowadzenie pisma z kryzysu finansowego, gdyż w ostatnich latach wydawnictwo to stało się deficytowe. Obecnie prasa polonijna w Australii, po okresie wielkiego jej rozwoju – kiedy w latach pięćdziesiątych ukazywało się pięć tygodników – zmalała do dwóch miesięczników i tylko jednego tygodnika. ■ Na podstawie publikacji Biura Imigracyjnych Badań, wydanej przez federalny australijski rząd, można przyjąć, że obecnie australijska Polonia liczy około stu pięćdziesięciu tysięcy osób i składa się z trzech grup. Pierwsza – z dawnej masowej emigracji, z pierwszych powojennych lat, zasiloną następnie, głównie w pierwszej dekadzie po roku 1956, zwiększonym dopływem, liczy obecnie już tylko około czterdziestu tysięcy osób. Grupa ta, ze względu na zaawansowany wiek, zmniejsza się dość szybko. Drugą z kolei grupę stanowią osoby przybyłe w znacznej liczbie, głównie w latach osiemdziesiątych, a następnie już w zmniejszonym stopniu na początku lat dziewięćdziesiątych. Grupa ta liczy również około czterdziestu tysięcy. Trzecia grupa australijskiej Polonii – to największa, bo licząca około siedemdziesięciu tysięcy i obejmująca osoby polskiego pochodzenia, urodzone w Australii. ■ Na olimpiadę, która ma odbyć się w roku dwutysięcznym w Sydney, buduje się stadion olimpijski na sto piętnaście tysięcy widzów, w tym tysiąc dwieście miejsc ma być dostosowanych dla niepełnosprawnych. Kierownikiem budowy stadionu jest Polak inżynier Edmund Obiała, absolwent Politechniki Poznańskiej, od 1981 zamieszkały w Australii. Stadion ten – jak określił wizytujący jego budowę prezydent Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego Juan Antonio Samaranch – będzie najnowocześniejszym nowoczesnym stadionem olimpijskim na świecie.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Listy do Redakcji

OSOBLIWA ALTERNATYWA

Szanowny Panie Redaktorze! W interesującym i w znacznej części trafiającym mi do przekonania eseju pt. „Osobliwości polskie”, zamieszczonym w 9-tym tegorocznym numerze *Kultury*, p. Andrzej Micewski wyliczając „dramatyczne i krwawe” wydarzenia w PRL wymienia również stan wojenny z grudnia 1981 dodając, iż „był on jednakże alternatywą interwencji sowieckiej w Polsce”. Poprzestając na tym jednym zdaniu autor zdaje się traktować swą ocenę jako pewnik historyczny nie wymagający podania źródeł, z których zaczerpnął on tę informację. Czyżby odnaleziono jakieś nowe, nieznane dotychczas dokumenty uzasadniające propagandowy straszak, którym autorzy stanu wojennego usiłovali przekonać społeczeństwo do zaakceptowania teorii „mniejszego zła”? Czy istotnie była to alternatywa wobec zagrożenia z zewnątrz, czy też alternatywa wobec jakiegokolwiek istotnego kompromisu z „Solidarnością”, którą od początku postanowiono tak zlikwidować, aby się już więcej nie odrodziła i nie zagroziła utratą monopolu władzy? „Będziemy bronić socjalizmu tak, jak się broni niepodległości kraju”. Któż to powiedział i kiedy? Wtedy, gdy kraj ten był demokratyczny i naprawdę niepodległy? Przecież „Solidarność” nie głosiła wówczas hasel antysocjalistycznych lecz starała się jeszcze szukać „socjalizmu z ludzką twarzą”. Ostateczne rozczarowanie nastąpiło trochę później, m.in. w wyniku stanu wojennego. A więc, jak to naprawdę było z tą alternatywą?

Z serdecznymi pozdrowieniami i głębokim szacunkiem

1.10.98

Andrzej ALBRECHT

Santiago de Chile, 1 sierpnia, 98

Drogi Redaktorze!

Raz jeszcze zmusić trzeba mojego starego Remingtona, Anno Domini 1925, by sklecić małą epistolę do Pana – już choćby ze względu na to by wiedział Pan iż tutaj za siedmiu górami i siedmiu

rzekami żyje stary wielbiciel *Kultury* i ten, który duchem zawsze i bardzo oddany jest całemu zespołowi miesięcznika. To że zawsze jeszcze bliski mi jest język polski zawdzięczam *Kulturze* i jej wydawnictwom, odwrotnie niż dzieje się to z całą resztą naszej polskiej tutaj kolonii. Zabawi Pana zapewne fakt o którym chciałbym Panu dzisiaj wspomnieć: otóż któreś z ostatnich niedzieli zabrałem na zebranie tutejszej Polonii całą walizkę numerów *Kultury* i jej wydawnictw, łącznie z książkami polskimi, które otrzymałem z księgarni polskiej z Wiednia. Po prostu dla doświadczenia otworłem walizkę mojego auta, wykładając książki z ogłoszeniem, że każda warta jest 1 dolara za sztukę. Wyobrazi sobie Pan ile egzemplarzy sprzedałem? ŻADNEGO! Niedowiary, ale to fakt, że tutaj w ojczyźnie Ignacego Domeyki czytelnictwo polskie zupełnie zamarło! Jak na tym ucierpiał nasz ojczysty język wspominać nawet nie warto, bo zmakaronizowany jest do reszty! A ja szczerę się posiadaniem dwóch metrów *Kultury* na półce mojej biblioteki i to w towarzystwie innych polskich wydawnictw.

Słę Panu i całemu zespołowi *Kultury*
serdeczności polsko-chilijskie,
oddany

Bogusław (Bob) BOROWICZ L.

14.9.98

Szanowny Panie Redaktorze!

W opublikowanych moich rozmowach z Juliuszem Hibnerem „Było to tak...” (*Zeszyty Historyczne* nr 124) wkradło się kilka błędów w nazwiskach: Krystyna Tempka a nie Lempska (str. 147), Dürmayer a nie Furmajer (str. 172), ks. Życiński a nie Życzynski (str. 166). Za błędy wymienione osoby bardzo przepraszam.

Bożena PUCHALSKA HIBNER

Sarasota, FL, 28 wrzesień 1998

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 7-8/1998 *Kultury* – przeglądając „Notatki Redaktora” – ze zdziwieniem dowiedziałem się że podobno byłem, jak Pan pisze, „...jednym z wybitnych aeronautów w St. Zjednoczonych” (sic!).

Podaje Pan tę informację powołując się na artykuł byłego konsula

generalnego Jerzego Surdykowskiego pt. „Odtajnione życiorysy”.

Zawiadamiam, że: 1^o, aeronautą (sic!) nigdy nie byłem; 2^o, nie znalazłem w wyżej cytowanym artykule jakiegokolwiek wzmianki n.t. temat.

W związku z pewną konsternacją jaką ta wiadomość wywołała wśród znajomych i przyjaciół, uprzejmie proszę o zamieszczenie spostowania tej błędnej informacji w najbliższym numerze Pana publikacji.

Pozostaję z szacunkiem

Zdzisław Julian STAROSTECKI

SPROSTOWANIE

Szanowny Panie Redaktorze,

Do wydanej w roku 1997 przez CZYTELNIKA w Warszawie korespondencji Pana i Andrzeja Bobkowskiego (1946-1961) zakradł się błąd, który chciałbym sprostować. Mianowicie w przypisach na stronie 699 książki figuruje określenie: „p. A. Bohomolec”, którą to wydawca opatruje objaśnieniem, że chodzi tu o „Adelę Żeleńską, żonę Władysława, tłumaczkę”. Otóż pomyłono tu dwie osoby i dwie epoki. A. Bohomolec to nie Adela a ANNA (młodsza siostra mojej żony), którą wspomina Andrzej Bobkowski, gdyż w latach 40-tych współpracował z nią w ramach francuskiego Czerwonego Krzyża opłacanego przez rząd polski, kierując opieką nad rozproszonymi Polakami we Francji. Anna Bohomolec rozszerzyła swoją działalność organizując zaopatrywanie polskich jeńców wojennych i więźniów w obozach koncentracyjnych paczkami z żywnością i lekami. Za swoją działalność ANNA Bohomolec otrzymała po wojnie, od rządu polskiego na uchodźstwie, Złoty Krzyż Zasługi a ponadto została udekorowana odznaczeniem polskiego Zakonu Kawalerów Maltańskich. Natomiast Adela – moja późniejsza żona – w czasie wojny pracowała w Polskim Ministerstwie Informacji w Paryżu a potem w Londynie jako Adela Maria Dziadulska. Jej ówczesny mąż, ppłk Zdzisław Dziadulski był w niewoli sowieckiej w Starobielsku do kwietnia 1940 r., potem jego kontakt z żoną urwał się. Odnalazł się na liście oficerów polskich zamordowanych w Charkowie. Adela Maria Dziadulska pracowała po wojnie we Francji jako tłumacz z angielskiego na francuski w międzynarodowej organizacji pomocy ekonomicznej (OECD). W r. 1958 jej mąż został uznany za zmarłego. Poślubiła mnie w r. 1959. Po wojnie przetłumaczyła z polskiego na francuski książki Józefa i Marii Czapskich. Tak jak przedtem, swoje tłumaczenia podpisywała A.M. Bohomolec – co mogło zmylić autora przypisów – z jednym wyjątkiem tłumaczenia na język francuski

książki Marii Czapskiej „Czas odmieniony” (Instytut Literacki, 1978) przełożonej przez moją żonę pod tytułem „A travers la tourmante” i wydanej przez Editions L'Age d'Homme, Paryż 1980. Dyrektor tego wydawnictwa z siedzibą w Lozannie, Jugosłowianin Dymitriewycz, pozyskany do tego wydania przez Józefa i Marię Czapskich, zaprzyjaźniony z nimi w tym okresie, jak się okazało wielki bałaganiarz, dwukrotnie zgubił przygotowany na jego prośbę tekst okładki i bez wiedzy i zgody tłumaczki podał na niej „traduit du polonais par A.M. Żeleński”, zamiast „par A.M. Bohomolec”. Protesty mojej żony były spóźnione i daremne. Później dowiedzieliśmy się, że i inni autorzy i tłumacze mieli z nim różnego rodzaju kłopoty.

W r. 1993 A.M. Żeleńska została odznaczona za pracę społeczną we Francji Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarła w Paryżu w 1997 r.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Władysław ŻELEŃSKI

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{ème} trimestre 1998.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,

164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1998			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hesslerstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5, ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 600.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 504 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY PIĄTY

zawiera opracowania: A. Pospieszalski: *Tło naszego dwutysiąclecia*; P. Mitzner: *Mój ojciec konspirator*; A. Grzywacz: *Funkcjonowanie Oddziału II Sztabu Głównego w 1939 roku*; I. Torbakow: *Swój czy obcy? Stereotyp Ukraińca w Rosji XVII-XVIII wieku*; F. Charwat: *Rok stosunków polsko-litewskich 1938-1939*; M. Siekierski: *Franciszek Charwat – nota biograficzna*; A. Dmuchowska: *Polska droga przez mękę*; P. Wandycz: *Nowe książki*; P. Niwiński: *„Pany i rezuny”*; M.K. Dziewanowski: *Nowe spojrzenie na historię Europy*; T. Wyrwa: *Polacy o powojennej Europie na łamach La France Libre*; K. A. Kuczyński: *Rumuńskie lata płk. Józefa Becka*; A. Grzywacz: *„Studia Rzeszowskie”*; T. Włodek: *Krzyżacy*; A. Micewski: *Bolesław Piasecki w 1968 roku* oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00